



Justyna Wydra

ESESMAN
I ŻYDÓWKA
WOJNA I MIŁOŚĆ

ZiSK i S.A.
WARSZAWA 2013

JustynaWydra

**Esesman i Żydówka
Wojna i Miłość**

Część pierwsza

W o j n a

KOŁA POCIĄGU STUKAŁY MIAROWO, napotykać łączenia rozgrzanych od upału szyn, gdy stalowa gąsienica, której głowę tworzyła węglowa lokomotywa, człony ciała zaś budowały kolejne bydlące wagony, posuwała się do przodu.

Był koniec kwietnia, ale świat jakby zapomniał o wiosnie, poddając się całkowicie złudzeniu, że oto nadeszło już lato. Temperatury osiągnęły wartości lipcowe, ignorując maj i czerwiec, drobne, przypominające kałuże, leśne bajorka, w których żaby zwykły składać skrzek, dawno wyschły, obnażając brzydką, popękaną ziemię o bagiennym zapachu. Na takiej glebie nie miało prawa wyrosnąć nawet źdźbło trawy.

Ciepłe dni nadeszły w tym roku późno, za to gwałtownie, ożywiając smutne, wojenne krajobrazy milionem młodych liści i wielobarwną tęczą wiosennych kwiatów. Pyszniły się nimi teraz podleśne łączki i zagajniki, które podczas swej monotonnej podróży mijał pociąg towarowy, posuwający się wolno w kierunku stacji Auschwitz, dawniej, w czasach pokoju nazywanej Oświęcimem.

Wagonów nie wypełniały jednak towary ani rzeźne bydło, jak można byłoby się spodziewać po tego typu składzie. W ciemnych, pozbawionych okien i dostępu świeżego powietrza wnętrzach zamknięci byli ludzie. Ściśnięci niczym sardynki w puszce, wymęczeni upałem, pragnieniem oraz własnym strachem, dawno już przestali prosić swoich prześladowców o otwarcie drzwi, wodę lub możliwość wyjścia do toalety. Powoli, jeden po drugim, Żydzi z krakowskiego getta zaczęli rozumieć, że wbrew temu, co powiedziano im przed podróżą,

nie zostaną przesiedleni, aby na wschodzie pracować dla Trzeciej Rzeszy. Przyszłych robotników nie traktuje się w taki sposób.

Mimo że Krakowa i Oświęcimia nie dzieli znaczna odległość, w drodze byli już bardzo długo — całą noc i kilka porannych godzin, z czego większość pociąg stał na boczniczy krakowskiego dworca, szczelnie zaplombowany i pilnowany przez liczne esesowskie patrole z psami, tak aby żadnemu przymusowemu pasażerowi linii Kraków—Oświęcim nie przyszło do głowy rezygnować z podróży. W tym czasie nikt nie interesował się losem zamkniętych w wagonach ludzi. Pozwolono im krzyczeć do woli, całkowicie ignorując desperackie prośby o ratunek dla mdlejących z gorąca dzieci i starców.

Kiedy wreszcie ruszyli, transport był uboższy o kilka dusz, które zdążyły opuścić ten padół łez. W pociągu pozostały za to ich zbędne teraz ciała, rozkładające się w zastraszającym tempie pod wpływem gorąca wypełniającego duszne wnętrza. Wraz z pierwszymi promieniami słońca, rozpraszającego ciemność poprzez szpary w deskach, skazani na śmierć ujrzeni to, czego wcześniej mogli jedynie domyślać się po zapachu i wstydliwych dźwiękach dobiegających od strony towarzyszy podróży. Ludziom zaczęły puszczać zwieracze.

* * *

Pociąg zwolnił, wjeżdżając na kolejowy nasyp, z obu stron ograniczony znaczną stromizną osypującego się żwiru. Gdy skład znalazł się na zakręcie, na samym środku wzniesienia, jeden z bydlęcych wagonów nagle ożył i spomiędzy jego kół zaczęły odrywać się skulone sylwetki. Jedna za drugą, toczyły się w dół żwirowego zbocza, to z prawej, to z lewej jego strony. Znalazłszy się na dole, tajemnicze postacie szybko znikwały w porastających okolicę gęstych zaroślach. Załoga znajdującego

się na dachu pociągu karabinu maszynowego dopiero po chwili zorientowała się, co się dzieje i dzięki temu kilku Żydom udało się umknąć. Reszta nie miała tyle szczęścia, Niemcy szybko nadrobili bowiem swój błąd i ciszę poranka przerwał terkot broni i ochryple krzyki tych, których dosięgły kule. Za szczęściarzami, kibicującymi kolejnym uciekinierom z ukrycia, wypuszczono patrole z psami. Żaden Żyd z tego transportu nie miał prawa ujść żywy.

* * *

Deborę wyrwał z letargu odgłos silnika motocykla, potem zaś trzaśnięcie łamanej gałązki, dźwięk, który w tym akurat momencie mógł wywołać w ociężałym z przerażenia umyśle tylko jeden obraz — miażdżącego leśne poszycie ciężkiego, wojskowego buta i wyrastającej z niego nogawki munduru esesmana. Mózg krzyczał „uciekaj”, ale ciało ani drgnęło. Po pierwsze, nie miała już dokąd uciekać, po drugie zaś, lewa noga, nieszczęśliwie skręcona w kostce podczas desperackiego skoku z pędzącego pociągu, nie była już w stanie dźwigać jej ciężaru.

Debora mogła więc jedynie modlić się, aby pierwszy nie dopadł jej pies i aby nadchodzącemu oprawcy nie przyszło do głowy zmuszać jej do jakiegokolwiek wysiłku. W obecnym stanie ducha zdecydowanie wołała, żeby Niemiec okazał się człowiekiem rozsądnym. I żeby strzelał celnie.

Mimo że spodziewała się tego widoku, w momencie gdy anioł śmierci we własnej osobie wyłonił się zza drzew, dech jej zaparło i przez chwilę miała wrażenie, że jego interwencja nie okaże się konieczna — zaczęła wręcz dusić się z przerażenia. Histerycznie ściśnięte gardło nie przyjmowało powietrza. Nie mogła też mówić, więc gdy Niemiec dostrzegł ją i skierował się w stronę piaskowego dołka stanowiącego tymczasową kryjówkę młodej Żydówki, patrzyła tylko na niego, bezmyślnie mrugając oczami. Już sam mundur oficera SS, z patkami kapitana na kołnierzu, wprawiał w przerażenie, wywołując skojarzenia ze śmiercią, cierpieniem,

bestialstwem — do wyboru. Do tego dochodził jakiś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, obojętna, podobna do maski twarz o twardych, mocnych rysach i wąskie szparki oczu w kolorze stali, w których nie sposób było dopatrzeć się cienia jakichkolwiek uczuć. Oczy te intensywnie się w nią wpatrywały. Musiało go coś zainteresować, bo esesman zbliżył się na taką odległość, że wyciągając rękę, mogłaby śmiało rozorać mu paznokciami policzek. Kucnął przy niej, choć wyglądało to dość dziwnie, bo o ile prawą nogę zgiął zupełnie zwyczajnie i oparł na niej cały ciężar ciała, o tyle lewą, wyprostowaną, umieścił z przodu, wyraźnie ją odciążając. Teraz, z twarzą na poziomie oblicza młodej Żydówki, przekrzywił lekko głowę, kontynuując analizę. Przypominał przy tym drapieżnika przyglądającego się z cierpliwością wytrawnego łowcy swej dogorywającej ofierze. Drapieżnika, który ocenia, czy warto marnować energię na dobijanie zdobyczy, czy może lepiej poczekać, aż zwierzyna umrze bez interwencji, ze strachu lub upływu krwi.

Nie było to zbyt przyjemne dla Debory, było za to bardzo dziwne, bo Niemiec powinien przecież najzwyczajniej w świecie wyciągnąć broń i strzelić, zamiast marnować swój czas na kontemplację rysów twarzy ofiary. Zaistniała sytuacja całkowicie sparaliżowała jej zazwyczaj błyskotliwy umysł, przestawiając myśli na absurdalne tory i dziewczyna zaczęła po prostu zastanawiać się nad wiekiem tego mężczyzny. „Nie może być wiele ode mnie starszy — rozważała. — Twarz ma poważną, ale widać, młodą. Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Nie, nie ma trzydziestu lat. Jest po prostu wielki i ponury, to i mundur dodają mu powagi”.

Analiza jej osoby chyba się zakończyła, bo Niemiec przechylił ciało do tyłu i gwałtownie usiadł w piasku sosnowego zagajnika tuż obok niej.

Zapalił, kierując wcześniej w stronę dziewczyny otwartą papierośnicę. Odmówiła, wolno kręcąc głową, więc wzruszył

ramionami i skupił się na uruchamianiu zapalniczki, która przez chwilę uparcie odmawiała współpracy, by wreszcie zaskoczyć. Mocno się zaciągnął i, ni z tego, ni z owego, odezwał do niej:

— Uciekłaś z transportu do Oświęcimia, hę? — zaczął, a gdy nie odpowiadała, kontynuował: — No przestań, przecież wiem, że znasz niemiecki.

Zdębiała. Skąd on to wiedział? Oczywiście, mógł blefować, tylko — po co? A poza tym czuła, że on naprawdę WIE. Nadal się jednak nie odzywała, ale właściwie nie musiała.

Niemiec znacząco pociągnął nosem i powiedział:

— Wcale nie potrzebuję pytać. Gdybym nawet nie wiedział, że trwa obława na zbiegłych Żydów, po zapachu domyśliłbym się, że zwiataś z wagonu bydłęcego.

To była sprytna prowokacja z jego strony, bo w tym momencie Debora nie wytrzymała:

— Nie chciałam iść na rzeź jak... jak owca! — odwarknęła mu podniesionym głosem, a potem rozplakała się pod wpływem gwałtownie uwolnionej fali emocji, które do tej pory jakoś udawało jej się tłumić. Płakała coraz intensywniej, bo uświadomiła sobie, że jej obecne położenie nie jest wcale lepsze od sytuacji tych, którzy pozostali w transporcie. Siedziała pod lasem, w pół drogi między Krakowem i Oświęcimiem, na kompletnym odludziu, ze skrzyconą nogą, czując na plecach oddech obławy, za jedyne towarzystwo mając tego przedziwnego Szkopa, który pewnie najzwyczajniej w świecie był nienormalny. W tej sytuacji patrol z psem nie wydawał się jej najgorszym wyjściem.

— Na imię masz Debora, prawda? — Niemiec odezwał się między jednym a drugim dmuchnięciem papierosowym dymem. Widząc prawdziwą panikę w jej oczach, postanowił widocznie zakończyć tę zabawę w kotka i myszkę. — Ty mnie pewnie nie pamiętasz, ale ja ciebie jak najbardziej. Zwykle pamięta się ludzi, którzy uratowali ci życie. — Niespodziewanie uśmiechnął się szeroko. Uśmiechał się w brzydki, niesympatyczny sposób.

Spomiędzy rozciągniętych ust widać było równe białe zęby, lekko rozchylone tak, że odsłaniały koniuszek języka. Cała twarz zmarszczyła mu się przy tym, upodabiając się do pyska ziającego wilka. Bardzo adekwatnie do sytuacji.

Potem z pewnym trudem wstał i uniósł lewą nogawkę. Noga kończyła się nieco poniżej kolana, dalej wyrastała z niej drewniana proteza w wojskowym bucie.

— We wrześniu trzydziestego dziewiątego leżałem w podobnym lasku i zdychałem z upływu krwi. Motocykl, którym jechałem, trafił na minę. Wyrzuciło mnie w górę razem z maszyną, potem ona, spadając, zmiażdżyła mi nogę, a jakiś ostry odłamek metalu musiał przeciąć tętnicę, bo sikało w górę chyba na metr. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w człowieku jest tyle krwi — trawa dookoła mnie wyglądała jak po świniobiciu.

Ta mina to był wstęp do zasadzki, jaką na mnie i moich ludzi przygotowali Polacy. Wszystko działo się tak szybko, że żaden z chłopaków nie zdążył przyjść mi z pomocą. Nie upłynęło pewno nawet pięć minut, jak wszyscy poza mną zginęli od kul. Nie było więc nikogo, kto mógłby zatamować krew, a ja słabłem. Pamiętam, że w tych ostatnich chwilach życia stwierdziłem, że z Polaków to jednak twarde skurczysyny. Przekraczając polską granicę, byłem pewien łatwego zwycięstwa, a tu proszę, jaka brzydka niespodzianka.

Do tej pory wędrował, dwa kroki w jedną — zwrot — dwa kroki w drugą, teraz stanął i zwrócił twarz ku Deborze:

—I wtedy, kiedy myślałem, że już po mnie, pojawił się polski patrol medyczny. Dwóch lekarzy i dwie sanitariuszki — kiwnął z zadowoleniem głową, widząc, że dziewczyna zaczyna kojarzyć, o czym mówi.

—Założyłam opaskę uciskową.

—Tak. Wzruszyły cię moje skamlenia...

* * *

Debora zgłosiła się do służb medycznych natychmiast, gdy żołdacy Hitlera napadli na Polskę bez ostrzeżenia. Miała podstawy do tego, by służyć krajowi w ten właśnie sposób, ponieważ latem ukończyła kurs medyczny organizowany dla harcerek z myślą o przyszłych działaniach wojennych. Wojna wisiała w powietrzu, rozmawiano o niej w domach i kawiarniach, dyskutowano na temat sojuszu z Francją i Wielką Brytanią, szacowano liczebność wojsk własnych i hitlerowskich. Mimo że Debora wspominała potem tamto lato jako ostatni czas beztroski, szkolila się przecież na poważnie, choć oczywiście nie zdawała sobie sprawy z grozy dni, które nadejdą. Nikt chyba nie był w stanie wyobrazić sobie ogromu zbliżającego się koszmaru. Gdy Niemcy napadli na Polskę, Singerowie mieli zamiar ewakuować się przez Rumunię do Francji. Zostali w kraju ze względu na decyzję młodszej córki, która zakomunikowała im, że mogą jechać, ona zostaje, by pracować jako sanitariuszka. Rodzice Debory zrezygnowali więc z ucieczki, nie chcąc zostawiać latorośli samej... Wielokroć wyrzucała sobie tamtą nierozważną decyzję, która w konsekwencji spowodowała śmierć matki i ojca.

Pamiętała tamtą sytuację. Była połowa września, tuż przed zdradzieckim atakiem wojsk sowieckich na wschodnią granicę Rzeczypospolitej. Choć swoją misję medyczną pełniła zaledwie od dwóch tygodni, Deborze wydawało się, że życie w drodze, spanie w chłopskich chatkach i stodołach, opatrywanie ran, tamowanie krwi i kojenie przerażenia młodych chłopaków, nagle skonfrontowanych z własną śmiertelnością, to los, który przypisano jej całe lata, wieki temu. Mimo to, wciąż się jeszcze przejmowała każdym przypadkiem, pamiętała wszystkie twarze, smutne, wystraszone, często po prostu wdzięczne oczy rannych, którym zdołała pomóc. Także martwe spojrzenia tych, których uratować nie mogła... Nie tylko ona, nikt wokół nie zdawał sobie sprawy z tego, że wydarzenia owej wyjątkowo pięknej jesieni stanowią zaledwie preludium do kontaktu ze śmiercią w skali,

która czyniła umieranie czymś tak zwykłym, że aż banalnym. Tamtego dnia jednak każdy martwy żołnierz robił na niej jeszcze wrażenie, wszyscy ranni niezależnie od narodowości budzili współczucie.

Wraz z drugą sanitariuszką Anusią siedziały na skraju sosnowego lasu, wystawiając twarze do słońca, które solidnie grzało, obiecując utrzymanie letniej opalenizny. Lekarze rozlokowali się obok, także nie znajdując nic do roboty w to senne, późnoletnie popołudnie. Chwilowo ich mały oddziałik medyczny znalazł się w miejscu, gdzie nie toczyły się żadne walki, nie było wymagających pomocy kolumn uchodźców, nikogo, komu trzeba nieść ratunek. Dziewczyny paplały o niczym, wymieniając się wakacyjnymi wspomnieniami. Poznały się kilka dni temu, kiedy przydzielono je do wspólnych zadań, ale od razu przypadły sobie do gustu. W tym samym wieku, tuż po ukończeniu gimnazjum, obie z rodzin inteligenckich, choć Anusia z polskiej, Debora zaś z żydowskiej, obie z planami na studia, z podobnym sposobem patrzenia na świat i identycznym ciętym poczuciem humoru. Towarzyszący im dwaj młodzi lekarze żartowali, że przy dziewczętach trzeba uważać na słowa, bo można oberwać rykoszetem własnego dowcipu.

Senną sielankę przerwało im nagłe pojawienie się oddziału polskich żołnierzy, maszerujących krok za krokiem w ciszy, bez uśmiechu, bez jednego słowa. Żołnierze polskiej armii Małopolska przebijali się z okrażonego Przemyśla w stronę Lwowa. Na drodze stała im XIV armia niemiecka, dowodzona przez Wilhelma Lista, wzmocniona przez doborowy pułk pancerny SS Germania.

Rozpoznając swoich, dziewczyny pomachały wesoło młodym wojakom, kilku nawet odmachało, ale zaraz dowódca oddziału bezgłośnie skarcił gestem zarówno swoich podopiecznych, jak i niesforne panienki. Przykładając palec do ust, nakazał im być cicho i schować się za pobliskim

pagórkiem, co też służby medyczne niezwłocznie uczyniły, wycofując się z przestraczem z miłego, spokojnego lasku, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak odległy od wojny. Swoim ludziom dowódca wydał rozkaz rozlokowania się i zaminowania piaszczystej drogi biegnącej wzdłuż zagajnika, dokładnie w miejscu, gdzie Anusia z Deborą chwilę temu wyciągały ku słońcu zgrabne nogi. Pół godziny później lasek wypełnił się dymem pożarów, słodko—metaliczną wonią krwi i jękami nielicznych rannych polskich piechurów...

Debora usłyszała błagania w momencie, gdy dostali rozkaz wymarszu. Polski oddział zabrał swoich rannych, pozbierał broń i przegrupował się, szykując do kolejnej walki. Młoda Żydówka już—już miała dołączyć do odchodzącej Anusi, gdy nagle wydało jej się, że słyszy skamlenie psa. „Szczeniak — pomyślała. — Tu jest szczeniak”. Lubiła psy, więc odruchowo zaczęła rozglądać się wokół.

— Debora, chodź, musimy iść dalej! — krzyknął jeden z lekarzy, robiąc przywołujący ruch ręką.

Odwróciła się i położyła palec na ustach. Nastawiła uważniej ucha. Skamlenie ustało. Zamiast tego usłyszała jedno słowo, wypowiedziane płaczącym głosem po niemiecku:

— *Hilfe.*

Zlokalizowała źródło dźwięku. Wolno obróciła się w jego stronę. Pozostali też to usłyszeli, bo za chwilę miała za plecami drugą sanitariuszkę i obu lekarzy.

Nic dziwnego, że go wcześniej nie zauważyli. Niemiec leżał osłonięty i częściowo przygnieciony pogiętymi resztkami maszyny, która niedawno była zapewne motocyklem. Zgubił hełm, więc ponad kołnierzykiem mundurowej bluzy jaśniało bardzo młode, niemal dziecinne jeszcze oblicze. Rysów trudno było się doszukiwać, tak bardzo zostały zatarte przez ból i przerażenie. Cały drżał. Rozgorączkowane oczy tańczyły niespokojnie, nie zatrzymując się na dłużej na żadnej z

czterech obserwujących go twarzy.

—To nie szczeniak — powiedziała wolno Debora po niemiecku.

—Nie szczeniak, ale skamle jak pies. No i dobrze, bo zdycha jak zwierzę. Zostawmy go, to esesman. Jeszcze jednego mniej. — Jeden z lekarzy popatrzył na Niemca z należną tamtemu pogardą. Automatycznie kontynuował rozmowę po niemiecku, zresztą chciał, żeby tamten go rozumiał.

—Krzysztof, nie możemy go tak zostawić. Jesteś lekarzem, masz pomagać ludziom, pamiętasz? — Debora już postawiła swoją torbę medyczną obok Niemca i czegoś w niej szukała.

—Nic nie muszę. Ten facet to morderca. Na pewno pięknie ci podziękuje za uratowanie życia. Rób co chcesz, Debora, tylko się pospiesz. — Machnął ręką, gdy zorientował się, że dziewczyna go nie słucha.

Cała trójka oddaliła się w stronę lasu, tymczasem Debora znalazła w torbie to, czego szukała. Zacisnęła na krwawiącej nodze esesmana opaskę. Poczekała, aż ciurkający strumień krwi straci na sile i zadowolona z rezultatów swojej pracy wstała, by oddalić się bez słowa.

Niemiec nadspodziewanie silnie chwycił ją za rękę. Mocno się na niej oparł i podniósł tułów niemal do pionu. Dziewczynie aż zakręciło się w głowie z wysiłku. Popatrzyła na niego przerażona, szeroko otwartymi oczami.

— *Danke* — to było jedyne słowo, na jakie było go jeszcze stać. Potem puścił jej rękę i stracił przytomność.

Debora uciekła z krzykiem.

* * *

—Wiele razy później wyrzucałam sobie głupią szlachetność. Miałam mnóstwo okazji, żeby żałować, że nie posłuchałam reszty i pomogłam Frycowi.

—Nie mam na imię Fryc. Hauptsturmführer Bruno Kramer.

— Ukłonił jej się.

—Fryc to takie określenie Niemca. Obrażliwe.

—Wiem, ale to dobra okazja, aby się przedstawić. A więc, Deboro—Żydówko, jak widzisz, jestem twoim dłużnikiem. Jak mogę ci pomóc?

„Pomóc? — pomyślała Debora. — Boże mój, on ze mnie kpi, prawda? Zaraz wszystko się wyjaśni. Zawoła kilku innych morderców i razem będą się ze mnie naigrywać, a potem któryś wyciągnie pistolet i obojętnie strzeli mi w głowę. Ten tutaj nasyci swoją zwyrodniałą potrzebę rozrywki i już obojętnie będzie się przyglądał mojej śmierci. Tyle razy zmuszona byłam patrzeć na takie sceny w getcie...”

Jej twarz musiała chyba zdradzać myśli, bo Niemiec pochylił się w jej stronę i szepnął:

—Nie bój się, nie mam zamiaru cię zabijać. Dokąd planowałaś uciec?

—Możesz mnie zawieźć do Krakowa?

Kiwnął głową.

—Mogę, tylko co dalej?

—Ktoś się tam mną zajmie. Po aryjskiej stronie.

Podał jej rękę. Dziewczyna z trudem wstała, ciężko oparła się na jego ramieniu i kuśtykając, ruszyła w stronę zaparkowanego nieopodal motocykla.

* * *

W ten nietypowy sposób Debora wracała do miejsca, z którego zaledwie dzień wcześniej wywożono ją bez zachowania jakichkolwiek zasad humanitaryzmu. Głupio wpadła i sama do siebie miała o to pretensje. Los obdarował ją przecież tzw. dobrym wyglądem, dzięki fałszywej kenkarcie uchodziła za Aryjkę. Działając w polskim ruchu oporu, pośredniczyła w dostarczaniu jedzenia i lekarstw nielicznym już rodzinom żydowskim z dziećmi. W drugą stronę pomagała wyprowadzać małych mieszkańców

getta, których rodzice zdecydowali się powierzyć opiekę nad swoim potomstwem gojom. Dzieci uratowane w ten sposób traciły tożsamość, żydowskie imiona i pamięć o rodzinach umierających po „tamtej” stronie miasta. Dlatego, mimo dramatycznej sytuacji, niewielu Żydów decydowało się zaufać polskiej armii podziemnej i oddać swoje dzieci przybranym rodzicom. Stąd ruch oporu natychmiast reagował, gdy któraś z matek z getta decydowała się na ten krok.

I właśnie takie zdarzenie sprowadziło nieszczęście na Deborę. Zgłosiła się do niej młoda kobieta, osierocona przez męża i starszego, pięcioletniego synka. Przy życiu pozostała ona i młodszy chłopczyk, trzyipółletni, poważny malec. O ile jego starszy braciszek, podobnie jak rodzice, nie miał szans po aryjskiej stronie z powodu swego wybitnie semickiego wyglądu, o tyle on wyróżniał się blond loczkami i niebieskimi ślepkami patrzącymi przenikliwie na otaczający świat. Któraś z jego prababek musiała zgrzeszyć z chrześcijaninem i zrzędzeniem losu w tym żydowskim chłopczyku zagrało dziedzictwo polskich przodków.

W ostatniej chwili matka zdecydowała się ocalić dziecko. Sama umierająca z głodu i oszalała z rozpacz po stracie bliskich, nie była w stanie dłużej chronić synka.

Trzeba było się śpieszyć. Żegota, polska organizacja ratująca Żydów, otrzymała informację, że Niemcy szykują dużą wywózkę z krakowskiego getta do Oświęcimia i zainteresowani będą przede wszystkim „nieprzydatnym elementem żydowskim”, tymi, którzy nie mogą pracować — starcami, kalekami, chorymi i dziećmi. Życie małego Josefa było więc po wielokroć zagrożone.

Procedura wyprowadzania dziecka na aryjską stronę zakładała, że pożegnanie nastąpi w obrębie bezpiecznego lokalu i dalej mały uciekinier pójdzie w towarzystwie kuriera, który przeprowadzi go przez wyłom w murze i przekaze drugiemu kurierowi po aryjskiej stronie miasta. Absolutnie niedopuszczalne było, by członkowie rodziny odprowadzali dziecko. Pożegnania

mogły łatwo przerodzić się bowiem w burzliwe sceny rozpacz, co na pewno zwróciłoby uwagę przechodzących patroli.

I właśnie tę zasadę złamała Debora. Już kiedy przyszła po chłopca w umówione miejsce, widziała, że będą kłopoty. Matka, czarnowłosa istota o ptasiej twarzy, patrzyła na kurierkę z obłędem w bladoszarych oczach, traktowała nie jak wybawicielkę, lecz wroga, złodziejkę, która przyszła zabrać jej najcenniejszy skarb. Czepiała się dziecka, nie chciała wypuścić go z ramion. Wreszcie oświadczyła, że nie puści synka samego, ponieważ musi naocznie się przekonać o powodzeniu akcji.

Nie było czasu na negocjacje. Debora miała do wyboru — zabrać matkę ze sobą albo zrezygnować z ratowania dziecka. Zdecydowała, że mimo niesprzyjających okoliczności spróbuje pomóc malcowi. Złe przeczucia jednak jej nie opuszczały. Całą drogę towarzyszyło im ciche zawodzenie kobiety, która za chwilę miała na zawsze pożegnać swe dziecko. Młoda matka rozglądała się przy tym nieufnie na wszystkie strony, uciekała wzrokiem przed każdym ciekawskim spojrzeniem przechodnia i w odpowiedzi na zainteresowanie przechodzących zatrzymywała się, obronnym gestem obejmując Josefa. Widok dwóch mijających ich małą grupkę esesmanów wywołał u niej atak paniki, z wielkim trudem stłumiony przez Deborę. Niestety, rozbiegany wzrok i nerwowe gesty matki zwróciły uwagę Niemców. Jak wytrawni myśliwi tropiący zwierzynę, udali, że stracili nimi zainteresowanie i odeszli, uspokajając obie kobiety. Musieli jednak je śledzić, bo pojawili się pod murem getta dokładnie w momencie, w którym Debora próbowała oddzielić Josefa od matki, by przekazać chłopca polskiej przedstawicielce ruchu oporu, czekającej po aryjskiej stronie.

Szybko zorientowali się w sytuacji. Oto rozpaczająca młoda Żydówka tuląca dziecko i druga młoda kobieta starająca się przekonać tamtą, by wypuściła chłopca. Odsłonięty otwór w murze oddzielającym getto od polskiej części miasta, mały

plecaczek, który dzieciak przed chwilą jeszcze niósł na plecach, znikający w otworze, policzek wymierzony matce na otrzeźwienie przez drugą z kobiet. Podziałało. Josef znalazł się w ramionach Debory. Było już jednak za późno. Padł strzał i ta, na której twarzy przed sekundą grała jeszcze matczyna rozpacz po stracie dziecka, upadła do tyłu z rozrzuconymi ramionami, całkowicie zaskoczona tym, co się stało. W oczach umierającej malował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Patrząc na nią, Debora przypomniła sobie zasłyszana kiedyś historię o ludziach, którzy nie zdążyli zdać sobie sprawy z tego, że umierają. Podobno wracają na ziemię jako zjawy, pojawiając się w okolicy miejsca, w którym zginęli, tak długo, aż ktoś im nie uświadomi, że są martwi. Ta żydowska matka będzie tak krążyć i wołać swego synka do końca świata. Jeśli kiedyś w tym miejscu ktoś postawi dom, jego mieszkańcy nie zaznają spokoju od jej jęków i płaczu.

Widząc, co stało się z mamą, malec rozplakał się i bijąc na oślep małymi piąstkami, próbował wyrwać się swojej opiekunce. Teraz uwaga esesmanów skupiła się na tej dwójce. Jeden z nich bez słowa podszedł do dziewczyny i wyrwał jej dziecko.

— Chciałaś go przekazać na tamtą stronę? — wysyczał po niemiecku przez wykrzywione w złośliwej satysfakcji usta. — Proszę bardzo — zaśmiał się szyderczo i zamachnął tak, jakby w rękach trzymał worek kartofli, nie zaś małe, płaczące dziecko.

Niemiec był bardzo wysoki, tykowaty. Ręce w zbyt krótkich rękawach munduru zdawały się nie mieć końca. Patyczak na cieniutkich nogach był jednak bardzo silny, bo z łatwością przerzucił malca nad murem getta. Debora bezradnie patrzyła, jak chłopiec wypuszczony w powietrze w obronnym geście rozkłada bezradne rączki i przez chwilę szybuje w górę jakby wbrew prawom grawitacji, potem zaś znika jej z oczu po tamtej stronie miasta. Usłyszała jeszcze tylko krótki krzyk przerażenia, gdy zbliżał się ku ziemi i obrzydliwe plaśnięcie, kiedy ta ziemia przyjęła go, łamiąc dziecku kark. Polska kurierka nie pospieszyła

na ratunek, widocznie uciekła, spłoszona strzałami w getcie.

Potem zapadła przerażająca cisza, nieznośnie dzwoniąca dziewczynie w uszach. Miała wrażenie, jakby znalazła się nagle w bryle lodu, skutecznie oddzielającej ją od otaczającego świata, pozwalającej jedynie obserwować otoczenie i bezradnie patrzeć na to, co będzie działo się dalej. Zdawała sobie sprawę, że teraz nadeszła jej kolej, że zaraz zginie, ale nie była w stanie wykonać żadnego obronnego gestu, nie mogła nawet wydobyć słowa. Co zresztą miała powiedzieć tym mordercom?

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie zabili jej jednak, tylko popędzili w stronę dworca kolejowego, gdzie już spędzano innych Żydów przeznaczonych do wywózki. Może zabijając matkę i dziecko, zaspokoili już swoją żądzę mordy? Może im się znudziło? A może po prostu chcieli mieć pretekst, by podejść i popatrzeć na zrozpaczonych, szykujących się do drogi ludzi, którzy wciąż łudzili się co do celu podróży. Esesmanów musiało bardzo bawić obserwowanie nerwowej krzątaniny Żydów, wzajemne nawoływanie, poszukiwanie zagubionych członków rodzin, sprawdzanie, czy zostało zabrane wszystko, co niezbędne do przeżycia na zimnym i niegościnnym wschodzie Europy. Złudzenia rozwiały się częściowo, gdy na stację wolno podjechał pociąg towarowy z otwartymi drzwiami wagonów. Jak na komendę Niemcy z eskorty transportu rzucili się na zgromadzonych na rampie ludzi, szczując ich psami, bijąc i kopiąc kogo popadło, kierując w stronę podstawionego składu i wpychając na siłę do każdego z wagonów wprost niewiarygodną liczbę osób. Bardzo szybko drzwi przepelnionego pociągu zostały zatrzaśnięte i zaplombowane. Ku niebu uniósł się lament dobywający się z tysiąca gardeł ludzi zamkniętych w wagonach.

* * *

Wszystkie te wydarzenia przesuwają się ponownie przed oczami Debory, skulonej obecnie pod kocem w trzęsącej się

bocznej przyczepce motocykla niezwykłego sojusznika. Niemiec nie mógł jej wieźć za sobą na siodełku, bo za bardzo rzucałyby się w oczy jej potargane włosy i brudny strój. Podróż wydawała się nie mieć końca, po drodze zatrzymały ich dwa niemieckie patrole, wtedy ukrytej pod cienką warstwą materii Deborze wydawało się, że zdradzi ją łomot przerażonego serca. Prawdę mówiąc, podczas pierwszego przymusowego postoju myślała po prostu, że dała się nabrać jak dziecko i za chwilę Hauptsturmführer Kramer uniesie koc i odda ją w ręce żołnierzy. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Nowo poznany niespodziewany sprzymierzeniec nie zdradził Debory, a mundur oficera SS budził respekt w żandarmach i nie doszło do rewizji zawartości kosza.

Wreszcie dziewczyna poczuła, że koła motocykla wjeżdżają na nierówny krakowski bruk. Po chwili maszyna zatrzymała się, koc został uniesiony i znów miała możliwość przyjrzeć się obliczu swego wybawcy, tym razem bardzo niewyraźnemu w świetle jedynej latarni.

—Proszę, oto Kraków. Gdzie mam cię zawieźć, bo dawno wybiła już godzina policyjna i nie powinnaś sama włączyć się po mieście — stwierdził ów anioł.

—Muszę gdzieś poczekać do rana. O tej porze nikogo nie zastanę... — Ugryzła się w język. Anioł, nie anioł, nie powinna rozmawiać z Niemcem o swych przyjaciółach z polskiego podziemia.

—Czyli co, dziś nie masz gdzie spać? — Kramer taktownie udał, że nie dosłyszał wahania w jej głosie.

Pokręciła głową.

— W takim razie zapraszam do mnie. Wykąpiesz się, bo na mój nos najwyższa na to pora, opatrzymy nogę, jutro pójdziesz, dokąd tylko będziesz chciała. Nie bój się, nic ci nie zrobię — dodał, widząc, że jego sugestia za chwilę spotka się z gwałtowną odmową.

W ten o to sposób Debora Singer, niedoszła ofiara obozu

koncentracyjnego Auschwitz, młoda Żydówka, która o tej porze mogłaby dla świata być już tylko wspomnieniem kobiety, rozwiewającym się wraz z dymem krematoryjnym, trafiła do mieszkania hauptsturmführera SS. Co więcej, skorzystała z okazji i wykąpała się w wannie pełnej gorącej wody, umyła włosy, a gdy opuściła łazienkę, gospodarz czekał na nią z opatrunkiem na skręconą kostkę. Gwoli ścisłości należy dodać, że obecny rezydent mieszkania na pierwszym piętrze krakowskiej kamienicy zajmował je bez zgody prawowitych właścicieli. Żydowska rodzina Goldbaumów, przed wojną posiadaczy tego i kilku innych budynków w sąsiedztwie krakowskiej starówki, jedna z pierwszych trafiła do Oświęcimia zadenuncjowana przez złośliwego sąsiada, zazdroszczącego bogatym Żydom rodzinnego szczęścia i majątku. Nareszcie mógł się odegrać i udowodnić tym zarozumiałcom, że na każdego przychodzi kolej! Usłużnie pobiegł więc do Niemców, gdy tylko wyniuchał, kto i gdzie ukrywa Goldbaumów razem z ich złotem. Komendantowi krakowskiego gestapo było w to graj — Żydów i pomagających im Polaków wysłał tam, gdzie ich miejsce, majątek ruchomy przejął w prywatne posiadanie, nieruchomości zaś przekazał na lokale mieszkalne dla oficerów krakowskiego sztabu SS. Sąsiad nienawistnik nie wzbogacił się na ludzkiej krzywdzie ani o grosz, jednakże jak wiadomo, satysfakcja z dobrze wypełnionego obywatelskiego obowiązku jest rzeczą bezcenną...

* * *

Bruno Kramer nie przyłożył ręki do tej brzydkiej sprawy, ale historię swego lokum znał. Nie spędzała mu snu z powiek. Swobodnie korzystał z luksusów, w jakie Goldbaumowie wyposażyli pięciopokojowe mieszkanie. Esesman zajmował je sam, będąc na tyle istotną personą w krakowskiej komendanturze, aby tego typu przywilej stanowił oczywistość dla podwładnych i kolegów. Nie zatrudniał stałej służącej, nie lubił bowiem, gdy

kręcili się wokół niego obcy. Za jedyne codzienne towarzystwo miał wielkiego białego perskiego kota, także spadek po poprzednich lokatorach. Kot go szczerze nienawidził, co objawiał przy każdej okazji prychnieniem i drapaniem w odpowiedzi na nierozważną próbę głaskania, pozwalał się jednak łaskawie karmić, co Bruno czynił nader chętnie, gdyż cenił tego kociego indywidualistę za jego niezachwiane poglądy. Był jedną z niewielu żywych istot, które miały odwagę otwarcie okazywać mu pogardę. A przecież esesman wiedział, że gdyby to tylko było możliwe, niemal każdy mieszkaniec tego miasta chętnie skazałby go na długą śmierć w męczarniach. Poza tym, pers, ochrzczony przez Niemca „Bandytą”, wieczorami zwykł mruzczyć usadowiony w najlepszym fotelu w salonie, co stanowiło miłe urozmaicenie ciszy panującej w pustym mieszkaniu. Kramer tolerował ponadto w swoim lokum cotygodniowe wizyty sprzątaczkii, prostej polskiej kobiety w bliżej nieokreślonym wieku, która, poza poważnym podejściem do swego zajęcia, miała jedną cenną cechę — udawała, że ani w ząb nie zna niemieckiego, co uwalniało oboje od konieczności konwersacji.

Adiutant młodego hauptsturmführera, sturmmann Klaus Polotzek, rzadko odwiedzał swego szefa w domu. Oczywiście, do jego zwyczajnych obowiązków należało utrzymywanie w najlepszym porządku munduru, broni i butów oficera, któremu służył, ale nie wymagało to częstych wizyt u przełożonego. Bruno nie zwykł spoufalać się z podwładnymi, choć na swój sposób lubił Polotzka, może dlatego, że ten śląski chłopak spod Raciborza przypominał mu jego samego milczącym sposobem bycia i chłodnym podejściem do wielu spraw. Spotkał go w roku czterdziestym podczas belgijskiego blitzkriegu, dokąd obaj podążali w pancernym oddziale SS tuż za Wehrmachtem. Oddział ów miał jedno zadanie — likwidowanie zbrojnego oporu ludności cywilnej na tyłach własnych wojsk. Klaus, poza wieloma innymi zaletami, okazał się człowiekiem dyskretnym, nie doniósł

bowiem na Brunona gestapo. Miał okazję, asystując swemu przyszłemu szefowi w nieudanej egzekucji dwóch nastoletnich synów miejscowych chłopów. Kramer, mimo iż dowodził kilkunastoosobowym oddziałem, poinformował podwładnych, że sam zlikwiduje bandytów i poprowadził płaczących chłopaków w las, cały czas trzymając ich na muszce karabinu. Gdy byli już na tyle daleko, że nikt nie mógł ich zobaczyć, popchnął ich i szeptem kazał spieprzać tak daleko, jak tylko będą w stanie, po czym puścił serię w pobliskie krzaki. Mimo wyraźnych rozkazów zwierzchności nie zamierzał wygrywać wojny, zabijając dzieciaki. Traf chciał, że nieopodał wypróżniał się sturmmann Polotzek, starając się pozbyć z organizmu skutków libacji z poprzedniego wieczora. Kule świsnęły tuż obok jego głowy, przerażony i nieco zamroczony jeszcze alkoholem uniósł się do pozycji stojącej i z opuszczonymi spodniami poprosił o darowanie życia.

— Wyłaź — oficer ponaglił go, bronią wskazując miejsce, gdzie ma stanąć.

Klaus szybko uzupełnił braki w odzieży i spełnił polecenie.

—Co widziałeś?

—Melduję, że nic, panie Hauptsturmführer . Ja tylko chciałem się w spokoju wy... Przepraszam, udałem się w to miejsce za potrzebą. Jak człowiek sra, znaczy załatwia potrzebę, to niczego dookoła siebie nie widzi. A jak nawet widzi, to go to nie interesuje.

—Jak się nazywasz?

—Klaus Polotzek, sturmmann. Służę pod kolegą pana kapitana, Hauptsturmführer em Niebem.

—Polotzek, człowieku, Niebe nie jest moim kolegą.

—A moim przełożonym niestety jest. — Tu Klaus westchnął wymownie. Wspomnienie o jakimś Niebem momentalnie zawiązało nić sympatii między Kramerem i Polotzkim. O ile swoją powierzchownością tłustego i sprośnego prosiaka

hauptsturmfiihrer Otto Niebe mocno odbiegał od wizerunku teutońskiego herosa, co jeszcze Bruno, jako zdeklarowany heteroseksualny samiec, mógłby mu wybaczyć, o tyle charakterem, a w szczególności zachowaniem niemal zbliżał się do ideału tępego nazisty, którego usta pełne są frazesów na temat wielkości Hitlera, nieomylności Himmlera i naturalnej predyspozycji Niemców do przewodzenia światu. I to jeszcze byłoby znośne, zwłaszcza w pierwszych miesiącach wojny, kiedy ostateczne zwycięstwo wydawało się na wyciągnięcie ręki i nawet taki sceptyk jak Kramer nie ważył się go negować. Ale już osobliwe poczucie humoru Niebego, którego śmieszyły wyłącznie skojarzenia z tylną częścią ciała analizowaną, jeśli tak można powiedzieć, z różnych stron oraz ludzkie nieszczęścia, połączone z jawnie okazywaną pogardą wobec wszystkich, których uważał za słabszych od siebie, uprawniały Brunona do oburzenia się na insynuację, jakoby Niebe był jego kolegą. Polotzek postrzegał świat podobnie do Kramera i dzięki temu uwolnił się od wątpliwej przyjemności obcowania z „tą szują Niebem”, jak lubił gadać sam do siebie. Kramer był wtedy na etapie poszukiwania nowego adiutanta, jako że człowiek, który do tej pory sprawował tę funkcję, został mu przydzielony odgórnie i wybitnie go drażnił swoim gadulstwem. Szybko więc wystarał się o zmianę przydziału Polotzka, podsuwając jednocześnie Niebememu innego adiutanta, świeńskiego blondyna, głupiego i okrutnego. I w ten sposób udowodnił po raz kolejny, że podobieństwa się przyciągają...

* * *

Tak zaczęła się ta z reguły milcząca przyjaźń dwóch ludzi z kompletnie różnych stron Tysiącletniej Rzeszy, którzy pewnie nigdy by się nie spotkali, gdyby nie wojna. Poza zbliżonym wiekiem, Brunona i Klause różniło niemal wszystko — pochodzenie, wykształcenie, stopień w SS i motywy, dla których obaj trafili do tej zbrodniczej formacji. Klaus znalazł się w niej od początku z

przymusu, Bruno początkowo z wyboru. Okazało się jednak, że łączy ich odraza dla bestialstwa, jakie czarna gwardia Hitlera przejawiała w stosunku do ludności cywilnej na podbijanych ziemiach.

W kolejnych dniach Polotzek dowiódł swej dyskrecji, w związku z czym nikt Brunona nie aresztował i młody kapitan nie został rozstrzelany przez własnych ludzi.

Jak dotąd obaj na tej zamianie dobrze wychodzili, w miarę możliwości mało wtrącając się nawzajem do swoich spraw. Do ponadstandardowych zadań adiutanta Kramera należało odbieranie telefonu od przełożonego o każdej porze dnia i nocy, zwłaszcza nad ranem, gdy Bruno, bełkocząc niewyraźnie, przepitym głosem domagał się odwiezienia do domu. Zdarzało się to coraz częściej w miarę trwania wojny, ponieważ liczba ofiar rosła po obu stronach wraz z postępami wojsk niemieckich, a terror wobec cywili wzmógł się jeszcze po klęsce stalingradzkiej. Bilans zbrodni obciążał sumienia wszystkich Niemców zdających sobie sprawę z ich ogromu i metod stosowanych wobec podbijanych narodów. W szczególności dotyczyło to formacji, które bezpośrednio brały udział w regularnym wyniszczaniu autochtonów. Esesmani rozmaicie odreagowywali własne bestialstwo. Niektórzy przechodzili nad nim do porządku dziennego, po prostu „wykonując rozkazy”, morderstwa na kobietach i dzieciach traktując jako część obowiązku wobec Rzeszy i zapominając o zbrodniach w momencie przekroczenia progu własnego domu. Inni zatracali się w okrucieństwie, mszcząc się na ofiarach za coraz bardziej obciążone sumienia. Byli wreszcie i tacy, którzy mordowali z przekonania lub dla sadystycznej przyjemności zadawania bólu.

Bruno nie należał do żadnej z tych kategorii. Już w trzydziestym dziewiątym w Polsce, w pierwszych dniach kampanii wrześniowej przekonał się, czym jest niemiecka sprawiedliwość, jak niewiele dzieli dwudziestowiecznego intelektualistę od

barbarzyńcy, jak bezmyślnie jego żołnierze wykonują rozkazy, strzelając do bezbronnych ludzi. A potem było gorzej — pacyfikacje całych wsi, wysiedlenia, spędzanie Żydów do gett, pokazowe egzekucje, wywózki do obozów koncentracyjnych... Wszystko to przeprowadzane z zimną pogardą wobec „podludzi”, z systematycznością mechanizmu, w którym hauptsturmführer Kramer miał być sprawnym trybikiem. Nie stał się nim nigdy. Mając na rękach krew wielu ludzi, pamiętał twarze wszystkich tych, którzy zginęli z jego rozkazu albo z jego ręki, zmarli prześladowali go w nocy, na długie lata odbierając łaskę spokojnego snu. Szybko zaczął unikać sytuacji, w których musiałby wziąć odpowiedzialność za komendę „ognia”, wskutek czego do jego kolekcji koszmarów dołączyłyby kolejne błagające o litość lub też pełne nietajonej nienawiści oczy. Tym samym tracił powoli zarówno zaufanie frontowych przełożonych, którzy przenieśli go na tyły, do zadań sztabowych, jak i szacunek do siebie, ponieważ nie widział innego honorowego wyjścia z sytuacji poza strzeleniem sobie w głowę, a tego zrobić nie był w stanie, uczciwie sam przed sobą przyznając się do tchórzostwa. Męczył się więc dalej, widząc bezsens tej wojny i z pesymistyczną pewnością przewidywał jej koniec. Zbrodnie muszą zostać ukarane...

* * *

Może wydać się dziwne, że ktoś taki w ogóle znalazł się w szeregach SS — cyniczny, pozbawiony złudzeń, odarty z wiary w cokolwiek. A przecież nie zawsze tak było. Bruno dołączył do elitarniej gwardii Himmlera z wyboru. Miał jasno wytyczoną drogę — po maturze szkoła oficerska i służba ojczyźnie w każdym tego słowa znaczeniu. I oczywiście walka z wrogiem na wszystkich polach. Także zabijanie, jeśli przyjdzie taka konieczność, bo przecież wróg nie zawaha się użyć wszelkich środków, by zniszczyć niemieckiego ducha i zdrową tkankę

narodu. Dawanie przykładu swoją osobą, swoją postawą, szlachetną rycerskością, przewodzenie nadludziom — w wieku osiemnastu lat czuł się stworzony do tego, by należeć do elity elit — zawsze wiernych, zawsze honorowych, gotowych do największych poświęceń dla Fuhrera i Vaterlandu.

Co zamierzał, wykonał, bo zawsze był uparty i konsekwentny. Prawdą jest, że już w szkole dla przyszłych oficerów SS obrana droga życia zaczęła go uwierać — a to z kanonu lektur usuwano jakiegoś autora, ponieważ jego poglądy okazały się nagle niezgodne z niemieckim duchem, a to z sąsiedztwa zniknął kolega o zbyt semickich rysach, w towarzystwie pośpiesznie i byle jak spakowanej rodziny, a to zlikwidowano lokalną gazetę, a redaktora naczelnego zamknięto w Dachau — niby drobne sprawy, ale dla Brunona, wychowanego w dziwnej mieszaninie mieszczańskiego konserwatyzmu i wolnomyślicielstwa przynależnego artystom, były one trudne do przełknięcia.

Droga do bohaterstwa okazywała się nieco bardziej wyboista, niż przypuszczał, ale brnął nią dalej, na złość matce i starszemu bratu. Zrezygnować? I przyznać się do pomyłki? Nigdy! Prędzej zginie, niż powie Hugonowi Kramerowi: „Bracie, miałeś rację, a ja byłem idiotą”.

Analizując głębiej pobudki, dla jakich Bruno Kramer stał się hauptsturmführerem Kramerem, trzeba bliżej przyjrzeć się jego sytuacji społeczno—rodzinnej, owej „mieszaninie mieszczańskiego konserwatyzmu i wolnomyślicielstwa”.

Wczesne dzieciństwo upływało mu nader przyjemnie w wielkomijskiej atmosferze Berlina, potem nieco bardziej dusznym świątku faszycującego Monachium. Zawsze w dostatku, w kokonie matczynej miłości i ojcowskiej troski o zdrowy kręgosłup moralny potomka, co w praktyce przekładało się na to, że w reakcji na poszarpane na płocie kolano matka go przytulała i karmiła słodyczami, a ojciec wymierzał karę za

pomocą wiszącej na ścianie sieni dyscypliny. Rodzinę Brunona można byłoby określić jako typową dla niemieckiej klasy średniej — na utrzymanie dzieci i małżonki ojciec zarabiał ciężką pracą we własnej firmie handlującej z kim i czym się dało, matka prowadziła dom i doglądała dwóch dorodnych synów — Hugona i dwa lata młodszego Brunona. Tyle że rodzice różnili się pochodzeniem społecznym i poglądami na świat. Gdyby nie wielka miłość, jaka połączyła w młodości państwa Kramerów, Elizabeth Kramer mogłaby nosić, przed o wiele bardziej arystokratycznym nazwiskiem, o wiele bardziej arystokratyczny tytuł niż samo „Frau”. Pozwalało jej na to wystarczająco dostojnie brzmiące nazwisko panięńskie oraz okazały posąg, jaki wносиła w małżeństwo. W ten posąg wchodził między innymi mały hotelik u podnóża gór na południu Niemiec... Rozpacz szlachetnie urodzonych dziadków Brunona była ogromna, gdy promienna jak wiosenny pęk różany Elizabeth przedstawiła im swego narzeczonego. Ślub okazał się konieczny, ponieważ Hugo już—już pukał do drzwi tego świata. Nic dziwnego więc, że Georg Kramer nie cieszył się wielką sympatią swych szacownych teściów.

Ten potomek prostej rodziny, sam ambitny i gotowy swej wybrance nieba przychylić ciężką pracą własnych rąk, do osobistego wkładu w niewątpliwy mezalians zaliczał: pochodzenie robotnicze, aczkolwiek wykształcenie wyższe ekonomiczne, okupione szeregiem wyrzeczeń, postrzeganie świata tak wąskie, że z trudem i z rzadka wychylał nos z za tego kołnierza przekonań i poglądów, oraz tak zwaną gołą dupę, czyli materialnie absolutne zero.

Niemniej jednak pierwsze lata wspólnego pożycia stadła Kramerów upłynęły w zgodzie, czego dowodem były narodziny Brunona dwa lata po starszym bracie. Ojciec dorabiał się dzięki własnym ambicji i sprytowi oraz posagowi matki, ona zaś wychowywała dzieci i „bywała”. Początkowo na salonach berlińskich, potem w nieco mniejszych monachijskich, zawsze jednak

w dobrym towarzystwie, zabawiając zgromadzonych anegdotkami z życia sfer oraz grą na fortepianie, którą to umiejętność opanowała w stopniu godnym podziwu. Talentu miała w tej dziedzinie mniej, za to nadrabiała sumiennymi ćwiczeniami — efekt okazał się bardzo przyzwoity.

Kramerowie opuścili Berlin w pogoni za pieniędzmi. W południowoniemieckim Monachium ojciec widział większe możliwości rozwoju niż w przeludnionej stolicy. Matka nie buntowała się — teraz miała bliżej do rodziców, osiadłych na stare lata w podgórskim rejonie Badenii. W nowym miejscu zamieszkania nadal kultywowała bujne życie towarzyskie, ubarwiając je wyjazdami „na wieś” do dziadków. Bruno i Hugo niemal od niemowlęctwa byli jej towarzyszami, zarówno w życiu salonowym, jak i wiejskich eskapadach.

To były szczęśliwe lata. Przebywając prawie cały czas z matką, chłopcy rośli w atmosferze beztroski, swobody ocierającej się o próżniactwo i w umiłowaniu sztuki we wszystkich jej przejawach. W rodzinnym majątku dziadków całe dni spędzali na konnych lub pieszych wędrowkach po okolicy, w miejskich salonach poznawali wszelkiej maści bywalców — artystów, filozofów, pisarzy, ludzi ciekawych, oryginalnych, mających tak wiele do powiedzenia, że gotowi byli mówić nawet wówczas, gdy całą publikę stanowiło dwóch małych chłopców. W tych czasach Hugo i Bruno byli zawsze razem, połączeni szczerym i mocnym uczuciem, jakie bywa przywilejem rodzeństwa, które dzieli niewielka różnica wieku, wszystko inne zaś łączy. I choć w tej parze Hugo zapowiadał się na intelektualistę, Bruno reprezentował raczej typ sportowo—awanturniczy, świetnie się uzupełniali, wzajemnie wspierali i cieszyli swoim towarzystwem.

Ojca w owych dniach prawie nie widywali, co nie martwiło ich zbyt, jako że dobrze znali jego ostre metody wychowawcze. Z reguły zajęty, przebywał głównie w biurze lub załatwiał ważne sprawy biznesowe „w mieście”. Jeśli pojawiał się przed wie-

czorem w domu, to zawsze z plikiem papierów pod pachą lub wielką skórzaną teczką. Zamyślony, nieobecny. Do teściów nie jeździł, gdyż nie czuł się tam mile widziany, na salonach nie pojawiał się, choć jako mąż matki był zapraszany. Wolał jednak towarzystwo kolegów — drobnych biznesmenów jak on sam, z którymi łączyły go pochodzenie społeczne, wspólne tematy rozmów, często także wojskowa przeszłość w okopach Wielkiej Wojny. Oczywiście Georg Kramer miał przewagę nad swoimi *kamera—den* — w przeciwieństwie do nich dysponował zapasem gotówki, jaki jego żona wniosła w wianie.

Niestety, ufny w swoje talenty ekonomiczne, ojciec wolne pieniądze zainwestował na giełdzie. Kiedy do Niemiec zapukało widmo Wielkiego Kryzysu, na efekty tych inwestycji nie trzeba było długo czekać — wszystkie środki pieniężne przepadły, firma Georga stała się niewypłacalna, w dodatku jeszcze zadłużona. Trzeba było nagle sprzedać samochód, potem zaraz wielkie mieszkanie w centrum Monachium... I tak mieli szczęście, że udało się spłacić wierzycieli. Z czystym kontem, ciężarówką załadowaną do granic możliwości, rodzina Kramerów ruszyła do swego nowego domu — niewielkiego hoteliku u podnóża schwarzwaldzkich gór, marnej resztki posagu matki, która teraz miała im zapewnić dach nad głową i utrzymanie.

O ten hotelik rodzice toczyli zacięty spór, od kiedy Georg przyznał się żonie, że interesy idą kiepsko i z każdym dniem gorzej. Upierał się, by go sprzedać, a uzyskanymi środkami wesprzeć podupadającą firmę. I wtedy matka, ta wydawałoby się beztroska, fruująca kilka centymetrów ponad ziemią istota, powiedziała twarde „nie”. Elizabeth po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu zrobiła mężowi karczemną awanturę. Krzyczała tak głośno, że Hugo i Bruno słyszeli każde jej słowo, mimo iż zagoniono ich do odrabiania lekcji w bawialni, mieszczącej się w przeciwnym skrzydle mieszkania. Matka w furii wytykała po kolei wszystkie nietrafione inwestycje ojca, wypominała mu stracone

pieniądze, nierealne plany, na koniec zaś plebejskie zadufanie we własne możliwości. I powtórzyła, że hoteliku sprzedać nie pozwala, a ojciec ma teraz robić, co uważa za słuszne, by zapewnić jej i dzieciom godziwe utrzymanie.

Dla młodszego syna państwa Kramerów ten dzień okazał się przełomowym. Obaj bracia dorastali i z wiekiem coraz bardziej widoczne stawało się, iż starszy wdał się w matkę, młodszy zaś w ojca. Hugo nadal popierał Elizabeth we wszystkim, więc gdy ukochana mama wyśmiewała i krytykowała tatę, widać miała ku temu dobre powody. Bruno uznał zaś, że z tym plebejskim pochodzeniem matka przesadziła i nie powinna się tak wywyższać, w końcu dzięki plebejskiej pracy ona od tylu lat może nic nie robić. To wystarczyło, by w pokoju bawialnym doszło do bratobójczej bitwy. Bruno, choć młodszy od brata, był od niego wyższy, lepiej zbudowany i bardziej wprawiony w ćwiczeniach fizycznych. Po chwili siedział na Hugonie okrakiem i z tępą nienawiścią, metodycznie wymierzał mu ciosy pięścią — raz z prawej, raz z lewej strony twarzy. Hugo nawet już się nie bronił. Nie dałby rady Brunonowi. Cała złość uleciała z niego o wiele wcześniej i teraz czekał, aż minie bratu. I może tak by się nawet stało, chłopcy opamiętaliby się i pogodzili, ale w tym czasie Elizabeth zakończyła swoją litanię pretensji i ruszyła po synów. Gwałtownie otworzyła drzwi i z krzykiem rzuciła się ratować oblicze starszego przed furią młodszego. Na histeryczne krzyki matki Bruno zareagował jeszcze większym gniewem. Przez chwilę wydawało się, że opanował z nagłą obudzone mordercze instynkty, bo przestał bić Hugona. Wstał, wolno podszedł do matki i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

— Nie wtrącaj się, kobieto.

Elizabeth na chwilę straciła rezon. Młodszy syn stał przed nią z uniesionymi rękami, z dłońmi zamkniętymi w pięści, gotów do tego, by na nią skierować całą złość. Dlatego, że im przerwała, oraz dlatego, że upokorzyła ojca. Georg stał w progu i w bezruchu

obserwował całą scenę. To Hugo, z trudem podnosząc się z podłogi, interweniował:

—Nie waż się podnieść ręki na matkę!

—Zamknij się, z tobą już skończyłem. — Bruno nawet na chwilę nie odwrócił wzroku od twarzy Elizabeth. Matka i syn toczyli niemą walkę na spojrzenia. Żadne nie chciało spuścić wzroku, żadne nie zamierzało nawet w ten symboliczny sposób dać za wygraną.

Dopiero teraz wtrącił się ojciec:

— Dajcie spokój, mamy już dość kłopotów. Nie chcę, żeby przez problemy finansowe rozpadła nam się rodzina.

Bruno opuścił ręce, obrócił się na pięcie i wyszedł.

* * *

To był ten decydujący moment, kiedy role się odwróciły, nadszedł czas zmiany, pojawił się impuls, który pokierował dalszym życiem Brunona. Odsunął się od matki i brata, prawie przestał się do nich odzywać, całym sercem wspierając ojca. Gdy Georg długo nie wracał, Bruno szedł po niego do firmy i prowadził do domu nieszczęśliwego, zataczającego się człowieka, bełkoczącego na przemian o nieudacznikach i o tych, którzy naprawdę przyczynili się do jego bankructwa. Kto się krył za kryzysem? — oczywiście międzynarodowy spisek żydowski, uknuty specjalnie po to, by gospodarczo pokonać i upokorzyć Niemcy. Kto mógł coś na to poradzić? — tylko prawdziwi patrioci, narodowi socjaliści. Ojciec chadzał na ich spotkania, sam zapisał się do partii nazistowskiej, która rosła w siłę, ponieważ w Niemczech tamtych dni było wielu ludzi o historiach podobnych do tej, która spotkała Georga Kramera. Bruno z żywym zainteresowaniem brał udział w tworzeniu historii na nowo. Za namową towarzyszy partyjnych ojca zapisał się do Hitlerjugend, czym rozwścieczył matkę, i regularnie uczestniczył w zajęciach, pozwalając, by jad nienawiści swobodnie sączył się do jego uszu.

Tymczasem firma Georga Kramera poddała się ostatecznie, resztki majątku rodziców zostały wyprzedane, Kramerowie wyjechali na schwarzwaldzką prowincję. Ojciec całkowicie się załamał, uświadamiając sobie ostatecznie własną nieudolność, matka, nie bez złośliwej satysfakcji stwierdziła, że „tam przynajmniej nie ma tych hitlerowskich młodzieniaszków”.

Bruno od samego początku serdecznie nie cierpiał nowego domu. Z matką i bratem porozumiewał się półsłówkami, miejscowych górali po cichu nazywał matołami, długie godziny spędzał, włócząc się bez celu po okolicy. Pomagał w hotelu, bo o to prosił go ojciec, ale coraz bardziej odsuwał się od rodziny. Okoliczni ludzie również go nie lubili, tym bardziej że negatywnie odcinał się od „panienki”, jak nazywali matkę i młodego „panicza”, jak mówili o Hugonie. Tamta dwójka cieszyła się sympatią zarówno w wiosce, jak i wśród stałych gości, coraz liczniej odwiedzających pensjonat „Al—ter”. Bruno zaś zyskał sobie przydomek „ten mruk od Kramerów”.

Prowadzeniem interesu zajmowała się Elizabeth, mężowi pozostawiając jedynie kwestie zaopatrzenia. To ona trzymała w drobnej, aczkolwiek żelaznej dłoni całość spraw biznesowych — od finansów do zarządzania pracownikami, wszystko było na jej głowie. Nawet rozrywka, wieczorami bowiem dawała koncerty fortepianowe ku wielkiemu ukontentowaniu turystów.

Georg z każdym dniem cichł, wychudł i jakby skurczył się, stając się cieniem dawnego siebie. Nie wtrącał się w sprawy hotelu, pozwalał Lizzie podejmować decyzje wychowawcze, nie interesując się także zagadnieniami domowymi. A potem, któregoś zimowego dnia, tuż przed Bożym Narodzeniem 1932 roku, Georg Kramer powiesił się w szopie, w której trzymano bierwiona do kominka w salonie muzycznym.

O upokorzenie, załamanie psychiczne i w końcu śmierć ojca, Bruno oskarżał matkę, brata, cholerny Schwarzwald i oczywiście wszystkich wrogów Vaterlandu. Postanowił, że

będzie z nimi walczył, jak wreszcie dorośnie. Zaciął się w sobie, poprawił nie najlepsze dotychczas wyniki w szkole, uczył się, pracował i ciężko trenował fizycznie. Wszystko po to, by móc po maturze trafić do wymarzonej szkoły dla przyszłych elit wojskowych świeżo narodzonej Trzeciej Rzeszy.

* * *

Wiemy już, że Bruno Kramer spełnił swe chłopięce fantazje i bardzo się rozczarował, gdy dopuszczono go do panteonu esesmańskich oficerów. Ale cóż, chińskie przekleństwo mówi przecież: „Oby ci się spełniły marzenia”. Studia skończył z wyróżnieniem, ponieważ zaś szczególnie upodobał sobie zajęcia związane z mechaniką, więc trafił do wojsk pancernych. Poruszał się po Europie motocyklem, wszędzie wzbudzając strach i nienawiść, za sobą pozostawiając ziemię wypaloną ogniem i mieczem. I choć jak na esesmana nie wstawił się szczególnym okrucieństwem, wręcz przeciwnie, z biegiem czasu coraz więcej energii zużywał na unikanie swoich obowiązków żołnierskich, coraz gorzej znosił nagłe pobudki o trzeciej nad ranem, kiedy niespokojne sumienie dawało o sobie znać, przesuwając pod powiekami Brunona czerwony jak krew korowód ludzi, których pozbawił życia.

* * *

Spotkanie z Deborą, Żydówką, która kiedyś ocaliła mu życie, uświadomiło Kramerowi, że może zrobić coś przyzwoitego. Odwdzińczyć się tej dziewczynie i w ten sposób choć częściowo uspokoić własne sumienie. Nie był w stanie uciec od tego, by nocą, gdy ona spała w sąsiednim pokoju, nie zastanawiać się nad tym, co dalej. Czy przypadkiem sprawa nie skończy się tym, że on, esesman, będzie musiał ukrywać żydowską dziewczynę, narażając w ten sposób swoje, mimo wszystko dość wygodne, życie w okupowanym Krakowie.

Kiedy jednak wstał rankiem następnego dnia, Debory już nie było, a jedyny ślad jej nocnej bytności w jego mieszkaniu stanowiła pozostawiona na nocnym stoliku w mniejszej sypialni kartka. Na niej zaś tylko jedno słowo po polsku i po niemiecku — „Dziękuję”.

* * *

Upalny letni dzień roku czterdziestego trzeciego. Niedziela. Kraków powoli budzi się do życia, zmęczony panującym od wielu dni gorącem. W taką pogodę o wiele lepiej jest być kobietą w zwiewnej sukience niż mężczyzną w mundurze. Choć Bruno lubi, kiedy nadchodzą ciepłe dni. Polki są ładne, mimo okupacyjnej nędzy starają się na wszystkie sposoby dbać o siebie. Efekty tych starań hauptsturmführer Kramer, sączący powoli kufel piwa w letnim ogródku staromiejskiej kawiarenki, może swobodnie teraz podziwiać. Bez żenady obmacuje wzrokiem każdą przechodzącą dziewczynę, którą uzna za godną swego zainteresowania. Żadnej oczywiście nie zaczepia, na to nie pozwala mu stopień służbowy i poparta doświadczeniem świadomość, że Polki nie życzą sobie być adorowane przez Niemców. A na pewno przez Niemców służących w SS. Kilkakrotne wcześniejsze próby nawiązania kontaktu kończyły się przyspieszeniem kroku i paniką w oczach zagadniętej dziewczyny. W tym kraju nawet niektóre dziwki okazywały niechęć okupantom. Bruno siedzi więc sam na wiklinowym krzeselku i powoli sączy zimny napój. Stara się w ten sposób przywrócić do równowagi własne ciało i umysł, mocno zmęczone po wczorajszej pijatyce w mieszkaniu jednego z oficerów Wehrmachtu. Nie jest to łatwe, wstając rano z własnego łóżka, Kramer nie mógł sobie przypomnieć, jak się w nim znalazł, co właściwie stanowiło problem poboczny, niemal metafizyczne pytanie, w każdym razie w stosunku do zagadnienia podstawowego: „Jak pozbyć się szumu w uszach i potwornego bólu głowy?”. Jedyne rozsądne

rozwiązanie przyszło mu na myśl, gdy z okna swojej sypialni spojrzął na ulicę i znajdującą się naprzeciw bramy jego kamienicy knajpkę. Wziął więc szybko zimny prysznic, wciągnął na siebie mundur i dostojnym krokiem zszedł na dół. Lokal, do którego zmierzał, był właściwie jeszcze zamknięty, ale oczywiście natychmiast otworzył podwoje, gdy pod drzwiami stanął ponury esesman żądający piwa. Teraz! Natychmiast! Właściciel knajpki nie dyskutował, tylko od razu rozstawił osłonięty ogrodowym parasolem stolik i postawił przed „panem kapitanem” półlitrowy kufel wypełniony bursztynową zawartością. Bruno nie miał siły, by zastanawiać się, czy w ramach zemsty napluto mu do piwa. Było mu wszystko jedno.

Siedział teraz na krzeselku przed kawiarenką rozwalony jak basza, długie nogi wyciągając aż na chodnik i kontemplował chłód podanego napoju oraz odległe uroki Polek. Miał dobre miejsce obserwacyjne, tędy bowiem biegł jeden z traktów stanowiących najprostszą drogę do pobliskiego kościoła, gdzie już słyhać było dzwony. Bruno pomyślał smutno, że skoro dzwonią, to znaczy, że za chwilę rozpocznie się msza i ulica opustoszeje.

Zaraz, zaraz — oto z przeciwnej strony nadchodzi sympatyczna blondynka. Niesie papierową torebkę, z której co chwila wyciąga ciemnoczerwoną czereśnię. Wkłada owoc do ust, pestkę zaś chowa w dłoni. Ma jasną sukienkę do kolan, sandały na niewielkim obcasie. Idzie, ale sprawia wrażenie, jakby tańczyła. „Wygląda na szczęśliwą — myśli Bruno. — Może się zakochała?”.

Dziewczyna jest już na tyle blisko, że Niemiec może przyjrzeć się jej rysom. Ona również go widzi i na subtelnej twarzy przez krótką chwilę gości wyraz paniki. Szybko znika, na jej oblicze wraca uśmiech, ale ta chwila wystarcza, żeby młody oficer zwrócił na nią baczniejszą uwagę.

Wielkie, lekko wypukłe brązowe oczy, nieco zbyt duży nos, sprawiający wrażenie niedopasowanego do drobnej buzi,

wydatne, stworzone do całowania usta, charakterystyczny pieprzyk pod lewym nozdrzem, tylko kolor włosów nie ten — blond, zamiast ciemnych. „Znam cię, Deboro—Żydówko” — myśli Bruno i reaguje, nim dziewczyna zdąży go bezpiecznie minąć:

— Halo! — woła za nią. Nie używa imienia, bo pewnie już je dawno zmieniła na jakąś Zosię czy Katarzynę.

Ona udaje, że nie słyszy, więc Bruno wstaje i dogania ją kilkoma szybkimi krokami. Chwyta za ramię, a wtedy torebka wypada z jej rąk, czereśnie wysypują się na krakowski bruk. Debora podnosi wzrok i jej spojrzenie napotyka stalowe oczy mężczyzny.

— Nie poznajesz mnie? — Niemiec zwraca się do niej z wyrzutem.

Dziewczyna nie odpowiada, za to ramię, za które przytrzymuje ją Bruno, zaczyna drżeć. Potem dołączają do niego usta, podbródek i cała postać się trzęsie. Ze strachu.

— Nie bój się, nie miałem zamiaru cię przerazić — stara się uspokoić ją Kramer. — Ładnie ci w jasnych włosach — rzuca komplement, ale te słowa wywołują kolejną falę paniki.

„Idioto! — myśli Niemiec. — Przecież ona nie farbuje się dla urody”. Inna sprawa, że jej twarz, okolona chmurką jasnych włosów, faktycznie wygląda nieźle.

— Usiądziemy? — pyta, starając się rozładować atmosferę.

Dziewczyna bezdźwięcznie kiwa głową, prowadzi ją więc do swojego stolika. Zamawia dla niej kawę i ciastko. Milczą, czekając na kelnerkę.

Podchodzi do nich naburmuszona, w sztywno nakrochmalonym czepeczku i fartuchu. Obrzuca pogardliwym spojrzeniem Deborę. „Niemiecka dziwka” — mówią oczy kelnerki. Bez słowa stawia na stole zamówienie.

Dopiero gdy ona odchodzi i znowu są sami, Bruno przerywa ciszę:

— Cieszę się, że widzę cię całą i zdrową. Czasem zastanawiałem się, co się z tobą stało, czy odnalazłaś swoich polskich przyjaciół.

Dziewczyna kieruje na niego wzrok, kiwa głową.

— Odnalazłam — potwierdza krótko.

Znów zapada cisza. On nadal sący swoje piwo, ona machinalnie je ciastko. Rozmowa wyraźnie nie klei się, na zadawane pytania Debora odpowiada półsłówkami. Widać, że chce już iść. Bruno nawet to rozumie. W końcu stanowi dla niej zagrożenie, wie przecież, kim ona jest. Nie wie natomiast, jak powinien się obecnie do niej zwracać, bo przecież na pewno nie używa teraz imienia Debora. Pyta ją o imię i nazwisko, na co ona krzywi się i szepce:

—Proszę, nie...

—Chociaż imię. Nie mam zamiaru na ciebie nikomu donosić. Nie będę cię też śledził. Po prostu, chcę wiedzieć, jak masz na imię.

— Maria — rzuca przez ramię dziewczyna i zrywa się z krzeselka. — Do widzenia i dziękuję za kawę — dodaje jeszcze tylko i już jej nie ma.

* * *

Od czasu ich kwietniowego spotkania Debora zmieniła nie tylko kolor włosów. Modyfikacji uległa także jej rola w ruchu oporu.

Opuszczając nad ranem gościnne mieszkanie Goldbaumów, w którym pozostawiła śpiącego kota i chrapiącego głośno esesmana, dziewczyna udała się do domu swych polskich przyjaciół, Grażyny i Krzysztofa Orszańskich. Grażynkę poznała jeszcze w rodzinnym mieście Lwowie, gdzie obie dziewczyny serdecznie się zaprzyjaźniły, siedząc w jednej ławie gimnazjalnej. Krzysztof był natomiast jednym z dwóch lekarzy, z którymi we wrześniu trzydziestego dziewiątego służyła w patrolu

medycznym.

Aby dobrze odmalować tło losów Debory, trzeba się cofnąć do lwowskich czasów. Lwów — piękny, przesiąknięty wielonarodową kulturą, „Wiedeń wschodu”, ukochane miasto Debory, gdzie jej ojciec był znanym i uznanym okulistą, mama zaś równie utalentowaną, co modną skrzypaczką i nauczycielką muzyki. Sytuacja rodzinna Debory mocno odbiegała od tej panującej w domu Brunona. Tutaj nie było miejsca na mezalians — oboje rodzice pochodzili z zamożnych, spolszczonych rodzin żydowskich, mających szeroki krąg znajomych wśród żydowskiej i polskiej śmietanki towarzyskiej Lwowa. Od pokoleń mocno związani z Polską, pozostawali równocześnie na wskroś kosmopolitami — Józef Singer tytuł doktora nauk medycznych uzyskał w Berlinie, Salomeą Singer szlify muzyczne zdobywała w Wiedniu. Liczni przedstawiciele rodzin obojga małżonków rozsiani byli po całym świecie. Historia ich miłości rozpoczęła się banalnie i tkliwie, niczym w dziewiętnastowiecznym romansie dla niedojrzałych pańienek albo mocno przejrzałych kucharek. Oto on ujrzał ją po raz pierwszy podczas koncertu w lwowskiej filharmonii, gdzie wypatrzył swą przyszłą żonę pośród innych skrzypaczek. Pod koniec wieczoru czekał z bukietem kwiatów w dłoni. Ojciec powtarzał zawsze Deborze i jej siostrze Amelii, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, a on od razu wiedział, że się z matką ożeni. Na co Salomeą uśmiechała się tajemniczo, przymykała oczy i pod rozbawionym spojrzeniem obu dorastających córek stawała się na chwilę znowu tamtą młodą dziewczyną, która tak zauroczyła ich ojca. Amelia urodziła się pierwsza, Debora pięć lat później. Obie panny Singer przejawiały talenty muzyczne, z tym że o ile pierwsza z córek poświęciła się ćwiczeniom wokalnemu, o tyle druga skupiła swoje starania na instrumentach klawiszowych — fortepian stał się jej najbliższym przyjacielem już we wczesnym dzieciństwie. Grała pięknie i z pasją, chwalona przez nauczycieli i podziwiana przez przyjaciół

domu, licznie przybywających na minirecitale na pianino, skrzypce i wokół, organizowane przez kobiecą reprezentację rodziny Singerów. Ojciec siedział dumny wraz z innymi słuchaczami i mamrotał tylko „moje dziewczyny, moje dziewczyny”.

Jako zlaicyzowani Żydzi Singerowie nie obchodzili świąt religijnych, mimo to sławne były ich prozowane spotkania jasełkowe, podczas których kolędowało się wesoło przy wtórze polskich przyjaciół. Amelia wiodła prym w czasie tych występów, jej kryształowy głos wybijał się pięknie ponad śpiew lepszych i gorszych chórzystów. Grudniowe i styczniowe kolędowanie zapadło nie wiedzieć czemu Deborze najbardziej w pamięć i stało się symbolem ciepła rodzinnego domu, do którego wracała jeszcze po latach w momentach, w których potrzebowała duchowego wsparcia. W pamięci widziała wysoką sylwetkę ojca w eleganckim smokingu siedzącego na honorowym miejscu w ich wielkim salonie, smukłe postacie matki i siostry w długich wieczorowych sukniach i równie odświętnie ubranych gości, sytych świątecznymi potrawami, które spożyli w domu i głodnych muzycznych wrażeń, jakich mieli doznać tutaj. Siebie umiejscawiała w tych wspomnieniach zawsze na podeście dla pianisty, na okrągłym stołeczku, niby to skupioną na grze, ale obserwującą wszystkich spod przymkniętych powiek. W końcu kolędy nie stanowiły aż tak dużego wyzwania dla jej talentu muzycznego, by nie móc pozwolić umysłowi odpocząć, a oczom się rozejrzeć...

Wśród stałych bywalców domu istotnymi dla tej historii jest szczególnie troje gości: syn przyjaciela ojca z młodych lat, węgierski arystokrata Laszlo Demesz, serdeczna przyjaciółka Debory, Grażynka Wilinianka i Dawid Rosner, poeta i student historii.

Laszlo ożenił się z młodziutką Amelią i porwał ją do swego rodzinnego kraju na długo przed wybuchem wojny. Po napaści Niemiec na Polskę siostra próbowała wydobyć rodziców i

Deborę z Polski, jednak ci nie chcieli jechać, bo przecież Debora zatrudniła się jako sanitariuszka... Amelia wróciła do Polski w transporcie węgierskich Żydów w roku czterdziestym czwartym i trafiła od razu do komory gazowej. Jej arystokratyczny mąż nie wstawił się za nią, wręcz przeciwnie, milcząco przyklasnął działaniom faszystów, mocno zainteresowany nową kochanką. O śmierci siostry Debora miała dowiedzieć się dopiero po wojnie...

Program szkoły muzycznej Debora realizowała równocześnie z programem najlepszego lwowskiego gimnazjum. Podchodząc do matury w roku trzydziestym dziewiątym, szykowała się równolegle do studiów w miejscowym konserwatorium — Polskim Towarzystwie Muzycznym we Lwowie.

Lato spędziła jeszcze wesoło, początkowo w majątku rodziców najlepszej przyjaciółki Grażynki Wilinianki, potem na kursach medycznych, które organizowano dla kobiet i dziewcząt na wypadek, gdyby wojna z hitlerowcami jednak wybuchła.

Wojna, o wojnie, na wojnę — ten jeden temat był na ustach wszystkich w gorące dni ostatniego beztroskiego lata Debory, ostatniego beztroskiego lata Europy... O dziwo jednak, mimo że zdawano sobie sprawę z powagi sytuacji, ludzie patrzyli w przyszłość z optymizmem. Co prawda młodzież szykowała się do walki, wszędzie pełno było żołnierzy w eleganckich mundurach (szczególnie ułani budzili żywe zainteresowanie dziewcząt!), głośno debatowano o bieżącej polityce na każdym rogu ulicy, jednak nie widać było paniki. Raczej wszechobecne przekonanie, że zwyciężymy Niemców, pogonimy ich jak Sowieców w dwudziestym roku. Hitler nie jest szaleńcem i nawet jeśli odważy się zaatakować Polskę, będzie musiał cofnąć się przed potęgą połączonych sił Wielkiej Brytanii i Francji, które ruszą nam na ratunek. Przecież nasz rząd zadbał

o to, by podpisać stosowne umowy o wzajemnym wsparciu militarnym...

* * *

W lipcu i sierpniu trwał więc bal na Titanicu, a Debora Singer, młoda absolwentka najlepszego lwowskiego gimnazjum, korzystała z życia. W majątku hrabiego Wiliny doskonaliła trudną sztukę jazdy konnej, u boku mając Grażynkę, „najgorliwszą nauczycielkę jazdy wierzchem pod słońcem”, jak dogryzała przyjaciółce Debora, Poza przejażdżkami konnymi dziewczęta włóczyły się po okolicy piechotą, wylegiwały w słońcu nad mocno zarybionym stawem, gdzie ojciec Grażynki, hrabia Teodor Wili—na zwykły łowić ryby i skąd gonił obie panny, złoścąc się, że mu śmiechem ryby płoszą. Czasem dla zgrywy pomagały zbierać owoce w sadzie, zwozić siano z pól, albo wślizgiwały się do kuchni, by wielką drewnianą łyżką wyjadać kucharce z garnka gotujące się przetwory.

Wieczorami hrabina, mająca na uwadze, że w domu są dwie panny na wydaniu, urządzała potańcówki. Zjeżdżała się na nie młodzież z całej okolicy oraz oficerowie miejscowego garnizonu, szczególnie mile widziani przez licznie reprezentowaną płęć piękną ze względu na wytworne maniery i przyjemne dla oka męskie sylwetki odziane w eleganckie galowe mundury. Do tego wszystkiego przyszli obrońcy ojczyzny tańczyć potrafili wprost wspaniale. Jeden w drugiego wysokie chłopaki, zgrabne, z tych, co to im się nogi nigdy nie plączą i nie mają problemu ze sprawnym prowadzeniem tanecznej partnerki nawet w rytm najszybszej, najweselszej muzyki. Chłopcy malowani, sami wybierani...

Ciche modlitwy Eleonory Wiliny, która wśród zapraszanych gości uparcie wypatrywała przyszłego zięcia, nie zostały wysłuchane. Grażynka męża nie znalazła, bo też go i nie szukała. Owszem tańczyła, prawda, że flirtowała, ale na tym koniec. Była

dziewczyną inteligentną i mimo wesołego usposobienia nad wiek poważną, a przy tym niezależną. Nie chciała zostać panią na włościach ani żoną przy mężu. Zainspirowana szpitalnymi opowieściami ojca Debory, postanowiła iść w jego ślady i zostać lekarzem. Rodzice początkowo protestowali, jednak w końcu zgodzili się, że to nie jest zły wybór. „Dobrze, że nie chce być aktorką” — pocieszał żonę hrabia Teodor. Z początkiem sierpnia Debora odprowadziła przyjaciółkę na dworzec kolejowy i długo patrzyła, jak w dal zabiera ją pociąg do Krakowa. Tam Grażynka miała trafić pod opiekuńcze skrzydła ciotki Leokadii, która oferowała młodej krewnej wikt, opierunek i dyskretny nadzór na wyraźną prośbę ojca młodej hrabianki. Rok akademicki w Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego zaczynał się w październiku, sierpień i wrzesień miały upłynąć dziewczynie na zadomowieniu się w dawnej stolicy Polski.

* * *

Studiów nie zdążyła rozpocząć. W drugiej połowie września do jej studenckiego pokoju zapukała Debora. Przywiozła ze sobą przyszłego męża Grażynki. Krzysztof Orszański był jednym z lekarzy, który towarzyszył Deborze w jej medycznej misji na polach wrześniowych bitew. Przerzucani z miejsca na miejsce, młodzi medycy trafili w końcu w okolice Krakowa, gdzie ich oddziałik dostał się pod wrogi ogień niemiecki. Obaj doktorzy zostali lekko ranni, zdecydowali więc o chwilowym rozstaniu. Debora zaproponowała Krzysztofowi, by udali się do miasta, gdzie mieszka jej przyjaciółka, pochodząca zaś z tych okolic Anusia zabrała drugiego z lekarzy — Pawła, do swego rodzinnego domu w celu podratowania zdrowia.

* * *

W ten oto sposób Debora została swatką. Już wcześniej w liście pisanym do Wilinianki dość udanie odmalowała przyjaciółce

obraz przystojnego i sympatycznego doktora. Żartowała przy tym, że sama woli co prawda blondynów, jednak wie o upodobaniu Grażynki do mężczyzn w typie Włocha. Takiego też, lekko zaledwie draśniętego odłamkiem szrapnela, przywiodła ze sobą do domu cioteczki Leokadii. Debora dobrze знаła gusta serdecznej przyjaciółki. Zanim jeszcze Krzysztof całkowicie wydobrzał i wrócił do swych lekarskich obowiązków, dwoje najbliższych przyjaciół Debory ogłosiło zaręczyny. Ślub postanowili przełożyć na wiosnę, „gdy wypędzimy hitlerowców i bolszewików z Polski”, jak uzasadniał Krzysztof. Wszyscy wtedy wierzyli, że wojna potrwa najwyżej pół roku. Do tego czasu Grażynka miała mieszkać z ciotką i rodzicami, którzy uciekli ze Lwowa przed atakującymi ze wschodu Rosjanami. Pozostawili tam wszystko — rodzinną posiadłość, rodowe srebra, obrazy, dolary i akcje polskich przedsiębiorstw zakopane w ogrodzie pod ukochaną różą hrabiny Eleonory... Liczyli na szybki powrót do Lwowa i odzyskanie swej własności. Tuż po ich odjeździe bolszewicy żołnierze doszczętnie zrabowali pałac, torturami wymuszając na starym kamerdynerze Ignacym informacje na temat ukrytych skarbów. Relacja o tych tragicznych wydarzeniach dotarła do rodziców Grażyny za pośrednictwem udającego się na zachód kuzyna. Pan Teodor bardzo ciężko zniósł smutne wieści, przypłacił je atakiem serca, po którym nie wrócił nigdy do dawnej sprawności i wigoru. Misja utrzymania rodziny spoczęła na barkach pań z rodziny Wilina i Krzysztofa. Ślub przyspieszono. Orszański szybko znalazł zajęcie w jednym z krakowskich szpitali. W charakterze pomocy medycznej trafiła tam też Grażyna. Z racji pełnionych obowiązków oboje szybko zetknęli się z rodzącą się konspiracją. Mimo rozpaczki matki Grażynki zdecydowali się działać dla ruchu oporu w ramach swoich możliwości. Początkowo jedynie w charakterze służb medycznych, łąających poranionych w starciach z Niemcami bojowców, potem także dla Żegoty, stawiając na nogi wygłodzonych i chorych uciekinierów z

getta. Ten drugi aspekt ich działań wynikał naturalnie z przyjaźni z Deborą...

* * *

Debora Singer, przybywając do Krakowa, także zatrzymała się u ciotki Grażyny. Nie licząc przyjaciółki i jej przyszłego narzeczonego, nikogo tu nie znała. Wkrótce okazało się to bardzo korzystne — nikt jej nie znał, nikt nie mógł zadenuncjować. Już w październiku trzydziestego dziewiątego roku Niemcy zaczęli prześladowania Żydów. Początkowo przede wszystkim były to różnego rodzaju upokarzające ustawy zabraniające trzymania zwierząt, posiadania radia, korzystania ze środków komunikacji publicznej. Potem przyszło do zaborów mienia, odbierania lepszych mieszkań, wreszcie wysiedleń do getta i pierwszych zabójstw. Młoda Żydówka nie była bezpieczna poza czterema ścianami gościnnego mieszkania ciotki Leokadii. Nie chciała jednak siedzieć beczynn timer, zdając sobie sprawę, że stanowi finansowe obciążenie dla rodziny przyjaciółki. Na szczęście konspiracyjne kontakty Krzysztofa pozwoliły jej zmienić tożsamość i podjąć pracę. Początkowo jako Maria Starska pracowała w charakterze sanitariuszki w szpitalu. Szybko też wstąpiła do tworzącej się Żegoty. Pomoc zamykanym w gettach współbraciom uważała za swój moralny obowiązek. Była też pewna, że jej aktywność gorąco wsparliby rodzice, pozostali w okupowanym przez Sowieców Lwowie... Po ucieczce z transportu do Oświęcimia nie mogła wrócić do szpitala. Została pomocnicą w zakładzie fotograficznym pana Antoniego. Stary fotograf udostępniał swój lokal jako bezpieczną skrzynkę kontaktową ludziom z konspiracji.

* * *

Poza gorącą potrzebą stawienia czoła okupantowi, podziemnym działaniom Debory przyświecał jeszcze jeden, nie do końca uświadamiany sobie przez dziewczynę cel. Oszukać

samotność. Mieć kogoś, z kim stworzyć można namiastkę rodziny. Kto da, nawet złudne, poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Działać, by zagłuszyć krzyk serca, które protestowało przeciw utracie ukochanych osób — rodziców, siostry, Dawida...

* * *

Samotność i strach o bliskich. Te dwa odczucia stałe towarzyszyły mi w Krakowie. Początkowo najmniej bałam się o rodziców. Byli nadal we Lwowie, stosunkowo bezpieczni pod radziecką okupacją. Dotykały ich oczywiście wojenne nieprzyjemności — Sowieci dokwaterowali do ich mieszkania swojego oficera wraz z małżonką, ojcu zabrali złoty zegarek, często mama musiała nieźle się nabiegać, by kupić towary pierwszej potrzeby. No i było niebezpiecznie. Pijani żołdacy włóczyli się po mieście, szukając zaczepki. Jednak nikt specjalnie na nich nie polował. Żydowską inteligencję Rosjanie traktowali podobnie jak rodziny polskie. Czasem nawet lepiej — dużo gorszy los niż moich rodziców czekał rodziny tych, którzy walczyli w wojnie polsko— bolszewickiej w roku 1920... Wszystkiego tego dowiadywałam się z listów od mamy. Swym zrównoważonym, oszczędnym w słowa stylem, dosyć dokładnie odmalowywała rzeczywistość, w jakiej znaleźli się oboje — ona i ojciec. Wielu rzeczy musiałam domyślać się z milczenia między wierszami, z małych niedomówień, znanych tylko nam dwu przerośni, jakie mama musiała stosować ze względu na cenzurę. Pisała oczywiście nie do mnie, tylko do pani Leokadii. Wiedziała przecież, że w Krakowie, gdzie okupant znakował swoje rządy nie sierpem i młotem, lecz swastyką, muszę się ukrywać. Listy od mamy przestały przychodzić w lipcu 1941, zaraz po tym, jak Niemcy złamali pakt zawarty z ZSRS i podjęli swój śmiertelny Drang nach Osten. Dużo później dowiedziałam się, że moich rodziców spotkało niemal dokładnie to samo, co krakowskich Goldbaumów. Ktoś doniósł, że niedawno jeszcze gościli sowieckiego majora, komuś spodobało się ich mieszkanie,

ktoś inny zapukał nad ranem do ich drzwi i dał trzy minuty na spakowanie do walizek najpotrzebniejszych rzeczy. I – raus! — do getta! Potem zaś dalej, do Oświęcimia, jednym z pierwszych śmiertelnych transportów. Jako paliwo dla właśnie uruchamianych pieców krematoryjnych...

** * **

Kontakt z siostrą utraciłam jeszcze przed wojną. Nie z własnej winy — Laszlo wywiózł ją z Polski natychmiast po ślubie i kategorycznie zabronił wszelkich listów, telefonów i odwiedzin. Nie życzył sobie posiadać żydowskich teściów. To, co było między nim i Amelią, z pewnością można określić jako miłość. Złamał dla mojej siostry wszelkie zasady, popełnił mezalians na miarę skandalu obyczajowego. Ożenił się z Żydówką, uwiedziony jej urodą, inteligencją i prawdziwie królewskimi manierami. Z pewnością nie musiał się jej wstydzić w tak zwanym towarzystwie — moja starsza siostra dostała po przodkach to, co najlepsze — piękną twarz, kruczoczarne, spływające falami włosy, błyszczące fiołkowe oczy. Była zgrabna, co potrafiła doskonale uwidocznić strojem i gestem. Rodzice zadbali o staranne wychowanie nas obu, przy czym Amelia zdecydowanie naturalniej przyswajała dobre maniery. Bardziej zdystansowana, lepiej ode mnie opanowywała emocje, które, nawiasem mówiąc, chyba nie targały zbyt gwałtownie jej chłodnym umysłem. Nie zazdrościłam siostrze tego wszystkiego. Kochałam ją bezgraniczną miłością damy dworu i w dzieciństwie nieudolnie próbowałam naśladować. Do pierwszej poważnej różnicy zdań doszło między nami dopiero, gdy Amelia oświadczyła rodzicom, że wyjeżdża na Węgry i „przez jakiś czas” musi ograniczyć kontakty z nami. Nie rozumiałam, jak może rezygnować z własnej rodziny dla tego... utytułowanego hubka. Pieniądze? Tytuł hrabiny? Wielki świat? Czy to naprawdę było aż tak dużo warte? Dla Amelii — tak. Wreszcie mogła spełnić swój dziewczęcy sen o staniu się kimś lepszym. Pokażcie mi

dziewczynkę, która choć raz w życiu nie marzyła o byciu księżniczką... Nie chcę oceniać siostry. Za swój wybór zapłaciła najwyższą cenę. Ukochany mąż okazał się człowiekiem małego formatu. Potraktował Amelię jak zdobycz i pozbył się jej, gdy tylko na horyzoncie dostrzegł kolejne „damskie trofeum”. Może, gdyby nie wojna, małżeństwo mojej siostry skończyłoby się po prostu rozwodem. Jednak ponieważ w roku 1944 rozpoczęło się masowe „odżydzanie” Węgier... Laszlo skorzystał z okazji i pozbył się żony. O jej tragicznym losie dowiedziałam się dopiero po wojnie. Przez Czerwony Krzyż odnalazła mnie współwięźniarka z obozu, której umierająca na tyfus Amelia przekazała list do mnie.

** * **

Tęskniłam za rodzicami, brakowało mi siostry. Jednak na początku wojny to Dawid Rosner był tym, który kradł mi spokój chwili, gdy tylko na moment zostałam sama. Widziałam go w każdym szczupłym, lekko zgarbionym brunecie spotkanym na ulicy. Towarzyszył moim snom, przedsennym marzeniom, jego obraz pojawiał się na dnie moich oczu z powodu każdego, odległego nawet skojarzenia. Stokrotki? Pierwszy bukietik otrzymany od Dawida. Czarny kot przebiegł mi drogę? Dawid bezlitośnie wyśmiewał mój zabobonny lęk. Tomik poezji? Dawid zawsze nosił przy sobie notes i ołówek, na wypadek nagłego przyływu natchnienia... Miłość, jak wszystko na tej ziemi, jest nieodporna na upływ czasu. Gorąca tęsknota słabła, im dalej było od naszego rozstania. Rósł za to irracjonalny żal do Dawida o to, że zostawił mnie samą w tych ciężkich czasach...

** * **

To była moja pierwsza prawdziwa miłość. Taka, jaką romantyczni poeci określają czasem mianem „przeznaczenia”. Połączyła nas moja własna siostra. Piękna Amelia uwielbiała otaczać się wianuszkami przystojnych, wpatrzonych w nią

mężczyzn. Wszyscy byli młodymi, interesującymi ludźmi. Większość z pretensjami do sztuki. Reprezentowali różne narodowości, wszystkie sfery towarzyskie Lwowa, wyznawali odmienne religie i idee. Przyjmowani byli z otwartością w liberalnym domu Singerów. Wszyscy, poza Dawidem Rosnerem. Dawid trafił do naszego domu na jeden z „proszonych obiadów”, jakie organizowała moja światowa siostra. Ciekawych młodzieńców przyprawiała do naszego domu grupami. Lubiła podczas posiłku rzucać niby niewinną uwagę na jakiś gorący temat i z miną zadowolonej kotki obserwować, jak panowie podejmują dyskusję, zwalczając nawzajem swoje argumenty coraz mocniejszymi słowami. Moi rodzice zwykle nie angażowali się w te dyskusje, jednak pierwsza wizyta Dawida Rosnera skończyła się awanturą z moim ojcem. Młody poeta i student historii okazał się zapatrzonym w ZSRR, radykalnym komunistą. Nie wahał się głosić swoich marksistowskich poglądów głośno i dobitnie, nie okazując przy tym szacunku kompletnie odmiennemu podejściu gospodarzy. Tata wyrzucił go z domu i zabronił Amelii pokazywać się tu z „tym młodym idiotą”. Amelia posłuchała, w końcu Dawid był dla niej tylko kolegą. Ja przeplakałam całą noc. Rano miałam gotowy plan działania.

Przyczepiłam się do siostry jak rzep, wałęsając się z nią po lwowskich lokalach, kinach i parkach. Towarzyszyłam jej na piknikach, potańcówkach i proszonych herbatkach, licząc, że gdzieś w końcu natknę się na młodego Rosnera. Nigdy nie byłam specjalnie towarzyska. Tym bardziej kochliwa. Jednak tym razem czułam, że do mojego serca zapukała miłość, jakiej nie mam prawa zignorować. Dałam się więc porwać wirowi życia po to tylko, by stanąć z Dawidem twarzą w twarz. Nie miałam pojęcia, co będzie dalej. Przecież mu się nie oświadczę... Nawet go nie znam i szczerze mówiąc, nie mam żadnych przesłanek do tego, by sądzić, że mu się choćby podobam. Przy Amelii i jej równie pięknych przyjaciółkach jestem ledwie nieopierzonym kaczątkiem.

Nie wiedziałam zatem, czy moje działania mają sens, ale byłam w nich konsekwentna. I zostałam nagrodzona. Pewnego pięknego dnia spotkaliśmy się niby przypadkiem na plenerowym koncercie lwowskiej orkiestry symfonicznej. Był sierpień 1938 roku...

** * **

Okazało się, że kobieca intuicja mnie nie oszukała. Moje uczucia były odwzajemnione. Dawid, podobnie jak ja nie—przepadający za zbyt bujnym życiem towarzyskim, starał się „bywać”, wypatrując mnie w tłumie chichoczących młodych dziewcząt. Nie szukał kontaktu przez Amelię, upokorzony zachowaniem naszego ojca, jednak oczarowanie było widać zbyt intensywne, by mógł mnie całkowicie zapomnieć. Podobnie jak ja, zdał się na los — spotkamy się, spojrzymy sobie w oczy, potem „się zobaczy”. Tak też się stało — nagły rzut oka na znajomą twarz, chwila wahania i już byliśmy blisko. Najpierw grzeczne podanie ręki, potem całus w policzek, wreszcie objęcie ramieniem, rozmowa o wszystkim i o niczym, spacer. Miłość po prostu.

Szybko staliśmy się oficjalną parą. Planowaliśmy wspólną przyszłość. Ja jeszcze w gimnazjum, on kilka lat starszy student nauk historycznych. Rodzice początkowo absolutnie nie akceptowali mojego wyboru. Jak to tak? Ta rozsądniej sza, mądrzejsza córka wybrała dla siebie komunistę? W dodatku kim on jest — poetą? Ostatecznie, widząc mój upór i całkowitą odporność na racjonalne argumenty, pogodzili się z sytuacją. Zobowiązali mnie tylko do tego, bym przed ślubem ukończyła konserwatorium. Zgodziłam się.

** * **

Koniec lipca 1939. Majątek hrabiego Wiliny. Moje ostatnie beztrioskie wakacje właśnie dobiegały kresu. Za kilka dni miałam się stawić na kursie dla sanitariuszek. Zanim zdążyłam wyjechać, odwiedził mnie Dawid. Przywitaliśmy się smutno — mój ukochany dostał powołanie do wojska. Przyjechał się pożegnać. Porwał mnie wprost spod drzwi dworku moich

przyjaciół i zabrał na długi spacer w głąb parku porastającego posiadłość Wilina. Tam, nad urokliwym stawem, w którym beztrąsko pluskały kaczki i złote rybki, Dawid mi się oświadczył. Propozycja małżeństwa została przyjęta wraz ze skromnym pierścieniem oraz porcją niezdamnych pieszczot, które miały swój burzliwy finał na miękkiej, wysokiej trawie porastającej brzeg stawu. Zarośla życzliwie przystąpiły przed ciekawskimi nasze półnagie ciała, połączone dziewczynymi zmaganiem miłosnymi...

* * *

Tego dnia widziałam Dawida Rosnera po raz ostatni. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał. Wybuchła wojna, a ja nie miałam pojęcia, co się z nim stało. Nie było listów, telegramów, zawiadomień o śmierci. Jego stara, samotna matka także nie miała żadnych wieści o synu, o czym w liście napisała mi moja własna rodzicielka, która odwiedziła mą niedoszlą teściową w moim imieniu. Dawid Rosner przepadł jak kamień w wodę. Zaręczynowy pierścienek zmuszona byłam sprzedać, gdy nadeszły ciężkie dni okupacyjne.

Debora wchodzi do parku. Na najbliższej ławce czeka na nią Grażyna. Musiało stać się coś ważnego, bo spokojna zazwyczaj dziewczyna dziś nie może usiedzieć w miejscu. Co chwila nerwowo spogląda na zegarek, nogi, założone jedna na drugą, podrygują w szybkim tempie. Widząc Deborę, wstaje.

— Wiem, gdzie jest Krzysztof! — wyrzuca z siebie, gdy przyjaciółka zrównuje się z nią.

— Masz z nim kontakt? — Twarz nowo przybyłej momentalnie rozjaśnia się powracającą nadzieją.

— Ciii, usiądź — żona Krzysztofa przywołuje Deborę do porządku.

Obie siadają i dopiero wtedy Grażyna kontynuuje:

— Krzysztof jest w krakowskim więzieniu. Przesłał mi wiadomość przez uwolnionego współwięźnia. Trafił tam z

łapanki. Chcą go wysłać na roboty do Niemiec.

— Wszystko z nim w porządku?

— Teraz już tak, ale po obławie leżał w szpitalu. Niemcy zrobili kocioł, znaleźli się w nim chłopcy z AK i cywile. Krzysztof zdążył pozbyć się broni, jest poza podejrzeniami, ale w czasie wyłapywania zbiegów nawiązała się strzelanina. Krzyś został ranny. Nie bardzo groźnie, niemniej jednak kurował się kilka tygodni. Tylko dlatego jeszcze jest w Polsce.

— Boże, Grażynko, musimy mu pomóc!

— Jak? Już myślałam — łapówka, ktoś znajomy? Nic mi nie przychodzi do głowy. Przekupienie Niemców nie wchodzi w grę, nie mam takich pieniędzy, wysoko postawionego znajomego także nie posiadam...

Grażyna przerywa, bo widzi, że jej słowa przypominają coś Deborze, tamta siedzi bowiem wpatrzona w jakiś odległy punkt w innym czasie i przestrzeni i ucisza ją niecierpliwym gestem. Na koniec wzdycha, jakby pogodzona z własnymi myślami i obraca twarz ku przyjaciółce. Oczy ma pełne blasku, szybko oddycha:

— Ja mam wysoko postawionego znajomego — mówi, a widząc zaskoczone spojrzenie Grażyny, kontynuuje: — Spotkałam niedawno tego Niemca, który mi pomógł, kiedy uciekałam z transportu. To kapitan SS, on na pewno może coś zrobić.

— Jesteś pewna?

— Tego czy on zechce mi pomóc? Nie, tego nie jestem pewna. Ale wiem, że muszę spróbować. — Chwyta Grażynę za rękę. — Oboje tyle dla mnie zrobiliście...

— Zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz, dziewczyno?

— Grażka, ten Niemiec wie o mnie wystarczająco wiele. Miał mnóstwo możliwości, aby zrobić mi krzywdę, jednak nic mi nie jest. Czym więc ryzykuję? Najwyżej odmówi.

Mimo uspokajających słów, obie zdawały sobie sprawę, że

Debora ryzykuje o wiele więcej niż tylko odmowę. Tak naprawdę nie знаła tego człowieka. Wątpliwe, aby chciał za darmo wyciągać z więzienia Polaka, a nie dysponował majątkiem, który mógłby go skusić. Była za to ładna...

* * *

Upalny dzień kończył się burzliwym wieczorem. Debora spędzała go samotnie w tej samej kawiarence, w której kilka dni wcześniej spotkała kalekiego Hauptsturmführer a. Czekala, aż Niemiec powróci do domu, a kawiarniany stolik tuż przy przesłoniętym firanką oknie stanowił świetny punkt obserwacyjny. Od godziny siedziała nad filiżanką zimnej herbaty, nasłuchując warkotu silnika zbliżającego się motocykla i obserwując przetaczającą się na zewnątrz nawałnicę.

Zbliżała się godzina policyjna, miasto zaczął spowijać mrok, a Kramer się nie zjawiał. Debora już miała zrezygnować, gdy usłyszała niski dźwięk silnika wojskowego motocykla. Maszyna, wzbudzając po obu stronach fontanny wody, przemknęła obok kawiarni i zahamowała przed kamienicą, w której mieszkał oczekiwany przez nią człowiek. Sparaliżowana nagłym atakiem paniki patrzyła, jak kierowca wolno zsiada z motocykla i udaje się do domu.

Zamknawszy za sobą drzwi, Bruno pierwsze kroki skierował do łazienki. Po tak upalnym dniu zdecydowanie należała mu się kąpiel. Napuścił więc wody do wanny i zaczął zdejmować z siebie przemoczony mundur, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzył na wpół rozebrany, tylko w mokrych spodniach, z ręcznikiem na szyi.

Za progiem stała Debora—Żydówka, czereśniowa blondynka napotkana niedawno podczas pewnego leniwego, niedzielnego poranka. Ściągnął ją tu chyba myślami. Dziewczyna była zjawiskowa. Natura nie obdarzyła jej klasyczną urodą. Nawet przy dużej dozie dobrej woli trudno by ją nazwać pięknnością, a

mimo wszystko była po prostu urocza ze swymi wielkimi, wilgotnymi oczami koloru gorzkiej czekolady, z twarzą przypominającą pyszczek małego, futerkowego zwierzątka, z nieśmiałym uśmiechem czającym się stale w zakamarkach ust. Bruno bez słowa cofnął się w drzwiach, robiąc ręką zapraszający gest.

* * *

Pamiętasz tamto nasze spotkanie, Bruno?

Otworzyłeś szeroko drzwi na mój widok. Nie pytałeś, po co przyszłam. Po prostu zaprosiłeś mnie do pokoju, gdzie na stole stała patera, po brzegi wypełniona czereśniami. Powiedziałeś, że to na moją cześć i poprosiłeś, abym chwilę zaczekała, ty tylko weźmiesz szybką kąpiel.

Niecierpliwie oczekiwałam twego powrotu, w myślach układając przemówienie, jakie chciałam wygłosić tak płomiennie, aby natychmiast cię wzruszyć i skłonić do pomocy. Dyskretnie, na miękkich łapkach, podszedł do mnie biały perski kot, którego zapamiętałam z poprzedniej wizyty, i mrucząc, zaczął ocierać się o moje nogi. Choć spędziłam przecież noc w tym mieszkaniu, nie pamiętałam pokoju z czereśniami. Obok stołu, sof i foteli, stało tam również pianino. Wiedziona przemożną chęcią zagrania choć kilku dźwięków, usiadłam przy instrumencie i uniosłam wieko. Muzyka popłynęła sama. Tak mnie zastałeś — z przymkniętymi oczami, odchyloną głową, rękami biegającymi po klawiszach. Czy to wtedy się we mnie zakochałeś?

Grałam, do momentu, w którym zorientowałam się, że na mnie patrzysz.

— Ten instrument stoi nieużywany, od kiedy tu mieszkam — powiedziałeś. — Ostatnio kazałem go nastroić. — Uśmiechnąłeś się.

Twoja twarz wygląda ciekawie, kiedy zdobi ją uśmiech. Niezbyt ładnie, może nieco zwierzęco, ale ciekawie. Oczy, zwykle zimne i

nieprzystępne, ożywiają się, a rysy łagodnieją. Znika tępy brutal, a jego miejsce zajmuje wówczas całkiem sympatyczny facet. Przystojny brzydał. Taki paradoks męskiej urody.

Poprosiłeś, żebym dokończyła utwór. Dopiero potem zapytałeś, co mnie sprowadza.

Popłynęły słowa. Mówiłam szybko, bojąc się, że mi przerwiesz i powiesz, że nie ma mowy, że nic z tego. Opowiadałam o Krzysztofie, o jego żonie Grażynie, o tym, że on bez niej, a ona bez niego nie może żyć, że mi pomogli po powrocie do Krakowa i mam wobec nich dług wdzięczności (przecież dobrze rozumiesz, czym jest wdzięczność, prawda?) i wreszcie, że nie wiem, jak im pomóc, że jesteś moją ostatnią nadzieją.

Umilkłam, przerażona własnym zuchwalstwem i zbyt dużą ilością informacji, które przekazałam ci w tym moim chaotycznym przemówieniu. Przez chwilę panowała między nami cisza, przerywana jedynie trzaskiem zapalanej zapalki. Zaciągnąłeś się papierosem, obróciłeś z powrotem twarz w moją stronę i spytałeś o jego nazwisko. Powtórzyłam je. Wtedy stwierdziłeś, że niczego nie obiecujesz, ale postarasz się pomóc Krzysztofowi.

Czy powiedziałam ci za dużo? Pewno tak, przecież za pomoc Żydom groziła kara śmierci i taki los mógł spotkać moich przyjaciół w efekcie mego gadulstwa. Jednak w głębi serca wiedziałam, że nie wykorzystasz tego przeciwko nim. W końcu, robiłeś to dla mnie i sam byłeś winny ratowania Żydówki. Że młodej i ładnej? A kogo to obchodzi? Pan, któremu służyłeś, zabraniał ci zadawania się z takimi jak ja.

Spojrzałam na wiszący na ścianie zegar. Było już bardzo późno, najwyższa pora uciekać, nim wybije godzina policyjna. Zatrzymałeś mnie w pół kroku. Twoje słowa zmroziły mnie i wprawiły moje odprężone chwilowo ciało w drżenie.

— *Czekaj, nie tak szybko. Nic za darmo.*

Stanęłam w progu pokoju. „Proszę, nie” — błagałam w

myślach o litość, przeklinając własną naiwność, jak mogłam pomyśleć, iż zrobisz coś dla mnie, nie żądając w zamian jedynej zapłaty, jaką byłam w stanie ci dostarczyć. Brałam pod uwagę i taką możliwość, że tę noc spędzę w twoim łóżku. Ale bałam się bardzo.

Wtedy znów mnie zaskoczyłeś, jesteś mistrzem wprawiania mnie w osłupienie. Zacząłeś tak, jak się tego spodziewałam:

—Czuję się tu strasznie samotny. Polki, najdelikatniej mówiąc, niechętnie umawiają się z Niemcami. Tu nie Francja, gdzie pełno chętnych dziewczyn, łasych na prezenty. W Polsce, jeśli jakaś dziewczyna zgodzi się ze mną spotkać, to jest to albo agentka wywiadu, albo zdesperowana dziwka. Porządne panny omijają mnie szerokim łukiem.

—Każda Polka straciła kogoś z rodziny z waszej winy. A nawet gdyby nie, to tutaj golą dziewczynom głowy za spotkanie się z Niemcami.

— Tak, to może być powód. Mam jednak pytanie — czy zaryzykujesz tę śliczną blond grzywkę i pozwolisz zaprosić się na wycieczkę?

Ukłoniłeś mi się i wtedy zorientowałam się, że bawi cię mój strach i czerpiesz z tego przyjemność. Postanowiłam nie dawać ci tej satysfakcji.

—Piknik? — spytałam szybko.

—Jeśli tylko sobie życzysz.

—W najbliższą niedzielę?

—Wspaniale. Jeśli tylko będzie pogoda.

Lało, a godzina policyjna zbliżała się wielkimi krokami. Odwiozłeś mnie więc do domu motocyklem. Tym razem maszyna nie miała bocznego kosza, w związku z tym przypadło mi miejsce na siodelku tuż za tobą. Jechałeś szybko, dlatego chcąc nie chcąc, zmuszona byłam mocno objąć cię w pasie i przytulić głowę do twoich pleców.

— Czekaaj na mnie w niedzielę koło dziesiątej — rzuciłeś

przez ramię, odjeżdżając w deszcz.

** * **

Następnego popołudnia Krzysztof zastukał do drzwi swojego mieszkania. Blady i nieogolony, żył jednak i miał się już dobrze. Widać kula, która go drasnęła, nie narobiła wielkiego spustoszenia w młodym organizmie. Wiadomość dotarła do mnie szybko, do zakładu fotograficznego, gdzie pracowałam, na skrzydłach radości przyniosła ją Grażyna. Wpadła do ciemnego wnętrza jak burza, wywlokła mnie zza lady i odtańczyła ze mną szalonego walca, śmiejąc się i płacząc na przemian. Dziękowała mi przy tym serdecznie. O nic nie pytała. Cieszyłam się wraz z nią, zastanawiając się jednocześnie, ile będzie mnie kosztować to cudowne ocalenie.

** * **

Niedzielnny poranek jak na złość wstał piękny, bez jednej chmurki na błękitnym niebie. Przyjechałeś po mnie, a jakże, równo o dziesiątej. Buntując się wewnętrznie przeciw zacieśnianiu kontaktów z esesmanem, nie przygotowałam się do tej wyprawy. Nie miałam ze sobą ani koca, ani jedzenia, nic. Za to ty pomyślałeś o wszystkim. Kosz motocykla był pełen. Musiałam więc znowu siedzieć tuż za tobą. Jestem zresztą pewna, że specjalnie nie pozostawiłeś mi wyboru. Za to gdy dotarliśmy na miejsce, między jurajskie skałki koronujące podkrakowskie wzgórze od zachodu, okazało się, że wewnątrz motocykla kryje same skarby — ser, zimne mięso, pieczywo, ciasto i wino reńskie. Nie zabrakło też oczywiście pięknych, soczyście czerwonych czereśni.

Mile wspominałam tamten dzień. Pótleżeliśmy na trawie, obżerając się do nieprzytomności owocami i zapijając je winem. Mordercza mieszanka dla brzucha, ale ileż przyjemności dla głowy!

Okazałeś się świetnym kompanem. Zadawałeś mi mnóstwo

pytań dotyczących mojej rodziny, życia sprzed wojny i siłą rzeczy, wysłuchałeś także mych wojennych losów. Bez szczegółów, nie chciałam bowiem zdradzić zbyt wiele o ludziach pomagających mi przetrwać w świecie, w którym żydowskie pochodzenie oznaczało wyrok śmierci. Nie dowiedziałeś się więc, jak obecnie się nazywam ani gdzie pracuję. Opowiedziałam ci za to o rodzicach, z którymi utraciłam kontakt dwa lata wcześniej, o „jaśnie hrabinie” siostrze, rodzinie stryja, bardziej przewidującej od nas, mieszkającej obecnie w Ameryce, po tym jak to sierpniu trzydziestego dziewiątego uciekli z Europy.

Wreszcie o moim narzeczonym Dawidzie, który nie wrócił z wojska i nie ma od niego żadnej wiadomości. Mówiłam o starych, dobrych czasach przed wojną, o tym, kim wtedy byłam, jak spędzałam czas, jakie miałam marzenia i plany, słowem, o wszystkich tych sprawach, składających się na obraz człowieka w jego własnych oczach i oczach innych ludzi.

** * **

Byłeś dobrym słuchaczem. Coś w Twoim sposobie trzymania głowy, zawsze lekko przechylonej w bok i podanej do przodu, może też w zachęcającym uniesieniu brwi sprawiało, że chciałam powiedzieć ci o sobie wszystko. Ty sam przez większość czasu milczałeś. Niemal przemocą wyciągnęłam z ciebie informację o tym, gdzie mieszkasz, że masz matkę i brata to Luftwaffe i o losie, który zawiódł cię aż tutaj. Z formacjami pancernymi SS byłeś w Polsce, Belgii, Francji, potem znowu w Polsce. Opowiedziałeś mi, co stało się z tobą po tym, jak zatamowałam krew płynącą z twojej poszarpanej nogi. Wprost z wrześniowego pola walki trafiłeś do szpitala, gdzie okazało się, że kończynę trzeba odjąć poniżej stawu kolanowego. Ze względu na kalectwo nie wysłano cię na wschodni front, obecnie zaś sprawujesz nadzór nad krakowską flotą pojazdów SS. Stąd codziennie inny motocykl!

Nic więcej się między nami wtedy nie wydarzyło. Po prostu —

obustronne wzajemne próbowanie inteligencji, typu poczucia humoru, niewinne gesty — jak to zwykle między nowo poznanymi znajomymi. Tylko że my nie byliśmy parą przyjaciół. Świat zdefiniował dla nas inne role — dla ciebie kata, dla mnie ofiary. I dlatego, mimo że dobrze nam było ze sobą, choć słowa płynęły same, a senne leniwe popołudnie minęło nie wiedząc kiedy, nie umówiliśmy się na następne spotkanie. Warunki umowy zostały dotrzymane, Krzysztof wrócił do domu, ty miałaś swój jeden dzień z Deborą—Żydówką, jak zwykleś mnie nazywać.

* * *

Debora szybko zmieniła mieszkanie. Mimo wszystko, trochę obawiała się tego dziwnego Niemca. Owszem, był miły, pomógł jej, czuła do niego pewien rodzaj sympatii, niemniej jednak zdawała sobie sprawę, że ta znajomość może ją drogo kosztować. Kramer wiedział o niej zbyt wiele, by nie stanowić zagrożenia, a to, czego jeszcze nie wiedział, było równie niebezpieczne. Zwłaszcza w kontekście jej aktywności w polskim podziemiu. Znajomość z oficerem SS mogła stanowić doskonałą przykrywkę, Debora nie była jednak w stanie wykluczyć prowokacji z jego strony. Dodatkowo martwiły ją własne uczucia. Niemiec albo naprawdę darzył ją sympatią, albo sprytnie symulował, ona natomiast zaczęła o nim myśleć, gdy tylko się pożegnali...

Nie czuła niczego podobnego właściwie od ostatniego spotkania z Dawidem. Nie należała do osób kochliwych, zresztą wojna, która co dzień przynosiła nowe okropności, ciągle krążące nad nią widmo zdemaskowania i, w perspektywie — śmierci — wszystko to nie sprzyjało romansom. Po prostu, proza codzienności, polegającej głównie na rozwiązywaniu metafizycznego zadania „by przeżyć kolejny dzień”. Poza tym, chciała być lojalna wobec Dawida. Tęskniła za nim.

Do tej pory nie dał znaku życia. W połowie roku czterdziestego

drugiego Debora zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że narzeczony mógł polec w walce, rok później już na niego nie czekała. Jednak jakaś iskierka nadziei tliła się jeszcze. Przecież w czasie wojny brak informacji bywa dobrą informacją, prawda? Ciągle żywa pozostawała też wizja wspólnego życia, jaką przed nią roztaczał. Gdyby nie wojna, pewnie prowadziliby teraz w miarę wygodny żywot jako małżeństwo należące do żydowskiej klasy średniej; ona i on ze spolszczonych inteligentnych domów z tradycjami, pianistka i poeta, ze wspaniałymi perspektywami na przyszłość. Dwoje dobrze zapowiadających się artystów. Może nawet na świecie pojawiłyby się już dzieci. Choć z drugiej strony, kto wie, co komunizujący, radykalny w opiniach Dawid miał na myśli, mówiąc „nasze wspólne życie”...

Tak, zdecydowanie zbyt duża zażyłość z hauptsturmführerem SS była dla młodej Żydówki niewygodna z wielu powodów. Dlatego też postanowiła zniknąć. Przeprowadziła się do innej dzielnicy Krakowa, unikała okolic jego mieszkania. Włosy nosiła teraz spięte w kucyk, z reguły ukryty pod chustką. Nie zmieniła tylko pracy, bo warsztat fotograficzny stanowił ważny i dobrze zakonspirowany punkt przerzutowy polskiego podziemia, poza tym, miejsca jej pracy Bruno nie znał. Do pracowni foto przychodzili oczywiście Niemcy, czynili to jednak sporadycznie, w sąsiedztwie bowiem funkcjonował inny punkt, dostępny „nur für Deutsche”, bardziej komfortowy, z mocno rzucającą się w oczy wystawą.

Przez jakiś czas te środki bezpieczeństwa sprawdzały się znakomicie, zresztą Bruno nie szukał jej zbyt intensywnie. Odwiedził, owszem, jej dawne lokum, aby dowiedzieć się od dozorkcyń, że panna Marysia Starska wyprowadziła się i nie zostawiła nowego adresu. Gospodyni domu nie była skora do rozmów z Niemcem i wyraźnie nie zamierzała mu udzielać więcej informacji, nawet jeśli jakieś jeszcze posiadała. Niechcący zdradziła mu jednak nowe nazwisko Debory, mógłby więc z

łatwością odnaleźć swą bogdanę. Nie uczynił tego jednak, szanując decyzję dziewczyny. Rozumiał jej niechęć do kontynuowania tej znajomości i jemu samemu takie zakończenie całej sprawy odpowiadało. Zażyłe relacje Niemców z miejscową ludnością nie były dobrze widziane. W jeszcze większym stopniu dotyczyło to oficerów SS, a gdyby ktoś zorientował się, kim naprawdę jest czereśniowa panna, ją czekała kaźń w obozie koncentracyjnym, Brunona zaś — pluton egzekucyjny. Niemiec zdawał sobie sprawę, że kontakty kadry oficerskiej stolicy Generalnej Guberni dyskretnie monitoruje się i przeświewa. Od zainteresowania dość egzotyczną urodą Debory do odkrycia jej żydowskiego pochodzenia prowadziła krótka droga przez archiwa gestapo. Nawzajem więc stanowili dla siebie śmiertelne niebezpieczeństwo.

* * *

Opatrzność nie ma czasu ani ochoty na subtelności. Gdy los postanowi działać, nie bierze pod uwagę ludzkich rozterek i obaw. Po prostu, pewne fakty następują niezależnie od naszej woli. Czasem z korzyścią dla nas, innym razem wręcz przeciwnie. W niespokojnych czasach wojennych przypadki losowe szczególnie często miewają wagę życia lub śmierci.

* * *

Zimny lutowy poranek zastał Brunona Kramera nad kubkiem gorącej kawy, za pomocą której starał się pobudzić ospały umysł do działania. Nie musiał właściwie tak wcześnie dziś wstawać, ale chciał dotrzeć do biura jak najszybciej, by popracować w ciszy, zanim pojawią się inni. Nazbierało mu się sporo znieawidzonej roboty papierkowej, stos niezalutowanych spraw po lewej stronie biurka urósł tak bardzo, że nie było widać zza nich okna. Nie wszystko niestety mógł zrzucić na adiutanta, częścią problemów musiał zająć się sam.

Nagle gwałtowny odgłos strzelaniny oderwał go od

niewesołych perspektyw spędzenia tego zimowego dnia. Strzały, krzyki, potem tupot nóg. Bruno podszedł do okna i ujrzał, jak niewysoka, skulona postać wbiega do bramy jego kamiennicy, chwilowo nie niepokojona przez nikogo. Niemiec chwycił pistolet i wyszedł na korytarz. Zbieg siedział w kucki pół piętra niżej, wypatrując pogoni przez małe okienko. Niewielka figurka w długim, ciemnym płaszczu i włóczkowej czapce. Bruno odbezpieczył broń. Szczęk zamka sprawił, że mała postać obróciła ku niemu głowę. Przez chwilę lustrowali się wzrokiem — kaleki Niemiec i farbowana na blond Żydówka. Brązowe oczy nie wytrzymały napięcia i popłynęły z nich łzy.

—Bruno, oni zaraz tu będą.

—Chodź. — Wyciągnął do niej rękę, ale pokręciła głową.

—Nie dam rady, musisz mi pomóc... — Głos zaczął się łamać, twarz wykrzywił grymas cierpienia.

Kiedy pomagał jej wstać, dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze. Widać, sprawił jej ból.

Ledwo zdążył zamknąć za nimi drzwi mieszkania i położyć Deborę w swojej sypialni, rozległ się natarczywy odgłos dzwonka. Otworzył, przyjmując najbardziej wyniosły wyraz twarzy, na jaki było go w tym momencie stać. Za drzwiami stał esesman z psem. Widząc oficera, zasalutował:

—Szukamy polskiego bandyty. Czy pan kapitan widział kogoś albo słyszał? Pies doprowadził mnie do tych drzwi.

—Idiota. Tyś durny, a ten kundel jeszcze głupszy. Naprawdę myślisz, że ja ukrywam u siebie zbiega?! — wrzasnął Bruno na nieszczęsnego żołnierza.

—Najmocniej przepraszam, nie wiedziałem, kto tu mieszka... Pies...

—Nie umiesz czytać?!

Bruno swym wielkim ciałem dokładnie zastonił szparę w drzwiach i niemal wypchnął esesmana za próg. Gwałtownie zamknął drzwi. Tabliczka nad wizjerem wyraźnie informowała, że

mieszka tu Bruno Kramer, hauptsturmfiihrer SS.

—Przepraszam — żołnierz, teraz już bardzo zmieszany, zaczął się powtarzać. — Spieszyłem się...

—Wynocha. Jak taki dureń trafił do SS!? — krzyknął jeszcze za oddalającym się Bruno.

Upewniwszy się, że człowiek i pies faktycznie poszli, wrócił do mieszkania. Dziewczyna leżała na łóżku, tak jak ją zostawił.

* * *

W pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyjesz. Oczy zamknięte, ciało całkowicie nieruchome. Nie zareagowałaś na pośpiesznie przeprowadzone przeze mnie oględziny. Najpierw wyjąłem z twojej ręki ścisnącą kurczowo broń i położyłem poza zasięgiem wzroku. To nie były przelewki! Już za samo posiadanie pistoletu powinienem oddać cię żandarmom, nie mówiąc o sytuacji, w której zdawałem sobie sprawę, że z broni tej przed chwilą oddano strzał. Lufa śmierdziała gorącym prochem. Skoro jednak zdecydowałem się cię chronić, musiałem działać dalej.

Odchyliłem połę granatowego płaszcza, odsłaniając tym samym spustoszenia poczynione w twoim organizmie przez postrzał. Kula nie pozostała na szczęście w ciele, nie naruszyła organów wewnętrznych, mocno jednak poszarpała prawy bok, powodując znaczny upływ krwi. Zaniósłem cię do łazienki. Tam, w ogromnej wannie, pozostawionej mi w spadku przez poprzednich właścicieli mego lokum, zdjąłem z ciebie po kolei całe ubranie, pozostawiając całkowicie nagą, bo bielizna okazała się przesiąknięta krwią. Miałem okazję przyjrzeć się mojej żydowskiej bogince. Muszę przyznać, że choć nadmiernie szczupła i blada, co przy z natury śniadej skórze dawało efekt zielonkawego poblasku, stanowiłaś obraz miły dla oka. Zbudowana jesteś bardzo proporcjonalnie, z krągłymi, niby toczonymi biodrami, niewielkimi, ale ładnymi piersiami, długą szyją, szczupłymi pęciami i nadgarstkami u rąk. Wszystko razem wywoływało we mnie skojarzenia jednoznacznie erotyczne, moje ciało zareagowało tak, jak powinno,

nie był to jednak dobry moment na amory...

Ocknęłaś się, gdy oswobadzałem cię z zakrwawionej bielizny. Trzeba przyznać, że zachowałaś zimną krew. Zignorowałaś własną nagość. Cichym głosem zadawałaś pytania o wygląd rany i instruowałaś mnie, co powinienem robić dalej. W efekcie tych wspólnych starań krew przestała płynąć, na wysokości twojej talii pojawiła się spora ilość białego bandaża. Ponownie wylądowałaś w moim łóżku. Upewniwszy się, że jesteś bezpieczna, wyszedłem z domu.

Nie udało mi się oczywiście zrealizować wszystkiego, co sobie na ten dzień zaplanowałem. Po pierwsze, wskutek porannych wydarzeń przyszedłem do pracy później niż zwykle, ale to jeszcze nie przesądzało sprawy. Potrafiłem pracować szybko, niestety, nie wtedy, gdy całkowicie inny problem pochłaniał w pełni mój umysł. A dręczyła mnie myśl o broni, którą znalazłem przy tobie. Była wystrzelona. W ciągu dnia zdołałem się sporo dowiedzieć o szczegółach porannych wypadków. Oto grupa polskich bandytów napadła na ciężarówkę z więźniami transportowanymi do Oświęcimia. Atak nie udał się, strażnicy zabili prawie wszystkich napastników. Prawie, bo jeden uciekł i obecnie poszukiwało go całe krakowskie gestapo. Zwykle nie przywiązywano aż takiej wagi do zbiegów, tym razem jednak chodziło o coś więcej niż niemiecki honor. Otóż wśród transportowanych aresztantów znajdował się niezwykle ważny członek podziemnej organizacji, stanowiący klucz do rozbicia polskiej siatki agenturalnej w Generalnej Guberni. Mimo wielodniowego okrutnego śledztwa nie udało się wydobyć z niego ani jednego nazwiska. Do niczego się także nie przyznał. Do Oświęcimia podążał z wyrokiem śmierci, co w jego przypadku stanowiło czystą formalność. W obecnym stanie nie miał prawa przeżyć dłużej niż kilka dni.

Ponieważ ten człowiek był bardzo ważny dla Polaków, jego podróż okryto największą tajemnicą. Mimo to partyzanci znali przebieg trasy więziennej ciężarówki! Gdzieś, bardzo blisko

gubernatora Hansa Franka bądź w naczelnym dowództwie władz wojskowych działał szpieg. Aby odkryć, kto to taki, należało choć jednego z bandytów pojmać żywym, tak by móc go przesłuchać i idąc po nitce do kłębka, zdemaskować zdrajcę. A tymczasem przyszły rezydent gestapowskich katowni zbiegł, i to zbiegł ranny. Na szczęście szukano mężczyzny. Nikomu nie przyszło do głowy, że bandyta, który postawił na głowie cały Kraków, jest drobną, farbowaną na blond Żydówką, moją czereśniową panną.

Nie mogłem usiedzieć za biurkiem. Nigdy nie sprawiało mi to przyjemności, jednak tego dnia krzesło gryzło mnie w tyłek w dwójnasób. Już o dwunastej zerwałem się na nogi i pod byle pretekstem wróciłem do domu.

Kiedy chcę, potrafię poruszać się cicho jak kot. Z tym talentem już się urodziłem i nadal z niego korzystam, mimo mej słusznej postury i drewnianej protezy wieńczącej lewą nogę. Tym razem, otwierając drzwi i kierując się z korytarza do sypialni, zachowałem szczególną ciszę. Zajrzałem do otwartego pokoju. Oczywiście nie było cię w łóżku. Schylona przed otwartą szafy, rozpaczliwie przetrząsałaś moje ubrania. Wyraźnie próbowałaś skompletować jakikolwiek pasujący na ciebie strój, nadający się do ucieczki spod mego gościnnego dachu. Już miałaś na sobie moją ulubioną flanelową koszulę, która swobodnie służyła teraz jako damska koszula nocna. Z górnej kieszeni wystawał twój pistolet, którego nierozważnie nie ukryłem wystarczająco starannie.

Odbezpieczając własną broń, wszedłem do pokoju. Obróciłaś się gwałtownie w moją stronę, wypuszczając z rąk naręcza moich rzeczy.

— Wybierasz się gdzieś? — Sięgnąłem do kieszeni koszuli, którą miałaś na sobie, i zabrałem pistolet. U mnie ta kieszeń wypadła na piersi, u ciebie nieco poniżej, ale nie omieszkałem musnąć dłonią rysującej się nad nią krągłości. Wyglądałaś niezwykle apetycznie w tym męskim stroju. Nie mogłem odmówić sobie tej drobnej przyjemności...

Wzdrygnęłaś się w odpowiedzi na mój gest, a potem bezgłośnie osunęłaś na ziemię. Osłabienie wywołane upływem krwi i emocje wzięły górę. Zaniósłem cię z powrotem do łóżka. Sprawdziłem, bandaż przesiąkł krwią. Nie powinnaś była jeszcze wstawać.

* * *

Debora ocknęła się ponownie późnym popołudniem, około osiemnastej, gdy w lutym nad światem panuje już mrok. W pierwszej chwili nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i skąd wzięła się w tym ciemnym pokoju, pod ciepłą pierzyną, w męskiej koszuli pachnącej dobrą wodą kolońską. Ból w boku, który wrócił, gdy tylko spróbowała się poruszyć, odświeżył jej pamięć. Syknęła. Niezbyt głośno, ale widać Niemiec był wyczulony na dźwięki dochodzące z sypialni, bo zjawił się natychmiast.

— Jak się czujesz? — spytał.

W odpowiedzi kiwnęła głową, na znak, że wszystko w porządku.

— Niezłe z ciebie ziółko, Deboro—Żydówko. O przepraszam, nazywasz się teraz Maria Starska. Czy może mam nieaktualne informacje?

Milczała.

— Cholera, czemu to mnie zawsze przytrafiają się takie sytuacje?! — Bruno zignorował jej milczenie. — Spotykam sympatyczną dziewczynę, której pomagam uciec i ocalić życie. W porządku. Co prawda za ratowanie jej grozi mi rozstrzelanie bez sądu, ale powiedzmy, że chcę być bohaterem i spłacam zaciągnięty dług. Zresztą, nie wyobrażam sobie, żebym mógł postąpić w tej sytuacji inaczej. Ale potem wszystko zaczyna się komplikować. Ona prosi o pomoc. Dla swojego przyjaciela. Znowu się zgadzam. Facet nie jest podejrzany o działalność wywrotową. A może jeszcze nie jest, co?

Prowadząc ten monolog, Kramer chodzi w tę i z powrotem wzdłuż pokoju. W pewnym momencie zatrzymuje się i zwraca wprost do niej. Ale dziewczyna milczy, więc kontynuuje. Przechadzkę i swój wywód.

— Przypuszczam, że pomagając temu panu, uratowałem polskiego bandytę. No dobrze, było, minęło, nie wiedziałem, kogo ratuję. Teraz niestety wiem, choć wolałbym pozostać nieświadomy. W moim własnym domu, pod moją własną kołdrą mam zbiega, którego szuka całe krakowskie gestapo.

Na te słowa oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia i przerażenia. Widząc jej reakcję, Bruno pochylił się nad nią i opierając ręce na kołdrze, zbliżył twarz do jej twarzy.

—Co ja mam, kurwa mać, z tobą zrobić? — syknął. — Jestem lojalnym Niemcem. O ile pomoc Żydówce jeszcze jakoś mieści mi się w głowie, zresztą, nigdy nie byłem entuzjastą ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, o tyle ukrywanie dywersanta to za dużo. Nawet dla mnie! Z drugiej strony wiem, co cię czeka, jeśli trafisz na gestapo.

—Dlaczego oni mnie szukają? — na wspomnienie gestapo dziewczyna przerwała milczenie.

Bruno uniósł brwi. Odsunął się i opadł na stojące obok łóżka krzesło.

—Wiesz, kogo mieliście odbić?

—Nie. Był rozkaz, brakowało jednego człowieka do stania na czatach. Nie chcieli mnie wziąć, ale nie mieli wyjścia. Nikt nie przekazywał mi szczegółów...

— Ja mogę w to uwierzyć — przerwał jej. — Niestety, panowie o smutnych twarzach już niekoniecznie. Sytuacja wygląda tak, że tylko ty przeżyłaś. Próbowaliście odbić grubą rybę polskiego wywiadu. Facet wpadł jakiś czas temu. Nic im nie powiedział, co mnie szczerze mówiąc dziwi. Ja bym gadał jak najęty. Mniejsza z tym. W każdym razie wieziono go na

egzekucję do Oświęcimia. Szkopuł w tym, że ten transport objęty był najściślejszą tajemnicą. Jeśli się o nim dowiedzieliście, to znaczy, że wysoko we władzach stolicy Generalnej Guberni działa szpieg.

Przez cały czas Debora słuchała go bardzo uważnie. Ostatnie słowa sprawiły, że gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Teraz rozumiesz? — spytał, widząc jej reakcję. Kiwnęła głową.

—Ale ja nic nie wiem — szepnęła przez zęby. — Boże, co ja mam teraz zrobić? — Ukryła twarz w dłoniach.

—No, tak samo sobie pomyślałem dziś rano. „Boże, co ja mam teraz zrobić”. Nie bój się, nie oddam cię tym katom. Jakoś wierzę w to, że nic nie wiesz. Może jestem naiwny, trudno. Na szczęście, oni szukają mężczyzny, nie kobiety. Wiedzą natomiast, że postrzelili zbiega. Zostaniesz tu parę dni, aż nie wydobrzejesz, potem znajdziemy ci jakieś damskie ubranie i wynocha. Zgoda?

Jeszcze chyba nie dowierzała, bo pokiwała głową jak w transie.

* * *

Cała garderoba, w której przybyła do mieszkania Brunona, trafiła do paleniska kominka w salonie. Niemiec słusznie stwierdził, że przechowywanie bielizny, z której nie do końca udało się sprać ślady krwi, a także ubrań poszarpanych pociskiem, nie byłoby rozsądne. Deborze pozostały więc jedynie pidżama i szlafrok gospodarza, wszystko o wiele na nią za duże. Snuła się po ogromnym starym mieszkaniu, ciągnąc za sobą nogawki i rękawy tych kreacji, stale skąpana w zimowym półmroku. W czasie, gdy Niemca nie było w domu, nie mogła rzecz jasna włączać świateł, grać na pianinie, korzystać z toalety, słowem, robić wszystkich tych rzeczy, które sugerują sąsiadom czyjąś obecność. Źle wspominała tę

przymusową gościnę, pamięć przywoływała obrazy zanurzone w ponurych szarościach. Za jedyne kompana ciągnących się w nieskończoność dni służył jej biały pers, który tak samo, jak nie cierpiał swego niemieckiego współlokatora, tak uwielbiał jego przymusowego gościa. Większość czasu Debora spędzała wobec tego, tkwiąc nieruchomo w wychodzącym na ulicę oknie, schowana za firanką, z mruczącym kotem na kolanach, czytając albo obserwując przemykających dołem ludzi. W okna kamienicy, w której mieszkał Bruno, prawie nigdy nie zaglądało słońce, a w dodatku luty roku czterdziestego czwartego nadszedł wyjątkowo ponury, więc nawet szczęśliwcy mogący swobodnie poruszać się po Krakowie cierpieli na niedobór dziennego światła. Generalną Gubernię budziły na zmianę a to zimne mgły, a to marznący drobny deszczyk, a to wielkie płaty śniegu zacinającego prawie poziomo, prosto w twarze przechodniów, śpieszących do celu podróży najszybciej, jak to możliwe, byle tylko zejść z lodowatego ostrzału.

Możliwość spędzenia kilku dni w ciepłym mieszkaniu, bez konieczności wychylania choćby czubka nosa na smutny zaokienny świat nie była więc bardzo przykra. Deborę martwiły właściwie tylko dwie rzeczy — brak możliwości powiadomienia kogokolwiek o tym, że żyje, i zachowanie Brunona.

Gdy uciekała ranna z miejsca akcji, wbiegła do bramy, w której mieszkał, prawie instynktownie. Znała kamienicę i mieszkanie Kramera, on sam, choć odziany w zniechęcający mundur SS, był dla niej w tamtym momencie jedyną szansą ocalenia, dlatego też w momencie śmiertelnego zagrożenia, podświadomość zadecydowała nieomal bez udziału woli, gdzie należy szukać ratunku. Nie zawiodła się, Bruno przyszedł jej z pomocą jak zawsze, ale zmieniły się ich wzajemne relacje. Unikał jej, do domu wracał późno, prawie nie rozmawiali. Wyraźnie chciał się jej pozbyć jak najszybciej. Kiedy po tygodniu pobytu oznajmiła mu, że czuje się już dobrze i chciała-

by wrócić do siebie, bez słowa sięgnął do szafy w sypialni i wyjął z niej zwitek damskich ubrań.

— Dzisiaj? — spytał tylko, a gdy kiwnęła głową, dodał: — No to zbieraj się, podwiozę cię kawałek.

Za chwilę mknęli już na motocyklu po śliskim bruku Krakowa. Niemiec prowadził bardzo szybko, Deborze wydawało się, że nieustannie znajdują się na granicy poślizgu. Wreszcie zatrzymał się, ale nie zgasił motoru. Znajdowali się w spokojnej bocznej uliczce, dwie przecznice od jej domu. Dziewczyna zsiadła z maszyny.

— Dalej idź już sama.

Już—już miała odejść, gdy coś jej się przypomniało, obróciła więc ku niemu twarz i szepnęła: „Dziękuję”, na co on pokręcił głową i zacisnął ze złością dłoń na kierownicy.

—Nie prosz mnie o nic więcej. Nie pomogę ci, rozumiesz?

—Bruno, co się takiego między nami stało? Czemu traktujesz mnie jak wroga?

—Jesteś moim wrogiem, nie pojmujesz tego? W tamtej strzelaninie zginął mój adiutant. Młody chłopak, dzieciak prawie. Obstawie więźniarki brakowało jednego do ochrony, Klaus zabrał się więc z nimi. Zabawne, prawda?

Milczała.

—Nie widzisz podobieństwa? — Twarz wykrzywił mu paskudny grymas — Ironia losu. Tak jak ciebie, zabrali go ze sobą w ostatniej chwili. Tyle że ty przeżyłaś, on za to zginął. A strzał mógł paść z twojego pistoletu...

—Jest wojna, Bruno.

—Noooo właśnie, jest wojna. Nie powinienem o tym zapominać. Żegnam.

Odjechał, zostawiając ją samą pośród padającego coraz mocniej śniegu, w cichej, smutnej krakowskiej uliczce.

* * *

Przyszło gorące lato ostatniego roku wojny w Europie. W czerwcu alianci wylądowali na plażach Normandii, front wschodni wolno, lecz systematycznie posuwał się ku zachodowi. Po zamieszkujących Kraków Niemcach nie widać było jeszcze paniki, ale pewne oznaki nerwowości już się pojawiały. Powoli tracili swą butę i pogardliwy stosunek do mieszkańców Generalnej Guberni, dawniej zwanej Polską. Lipiec przyniósł zamach na Hitlera, którego mózgiem i wykonawcami okazali się oficerowie z samego serca niemieckiego sztabu generalnego, w sierpniu wybuchło zaś powstanie w Warszawie. Kraków trwał w stanie zawieszenia, jakby jego prawowici mieszkańcy zastanawiali się wciąż, czy ryzykować otwarty zbrojny opór, czy też w przyczajeniu czekać na dalszy rozwój wydarzeń. W rzeczywistości krakowska komendantura Armii Krajowej planowała zbrojną akcję także w stolicy Generalnego Gubernatorstwa. Wyglądano jedynie sygnału do ataku. Ten jednak ostatecznie nie nadszedł, szczęśliwie dla Krakowa, który podzieliłby z pewnością los zmasakrowanej Warszawy.

W odpowiedzi na wieści z dawnej polskiej stolicy, okupant wzmógł terror na terenie Generalnej Guberni. Rewizje, łapanki, nagłe aresztowania powtarzały się teraz regularnie. Członkowie ruchu oporu musieli w związku z tym działać z wyjątkową ostrożnością.

* * *

Dwoje ludzi stało nad brzegiem Wisły, wpatrując się nieruchomo w nurt płynącej rzeki, w którym przeglądało się wielkie słońce, strojne w swą przedwieczorną pomarańczową szatę. Mężczyzna, postawny brunet w ciemnej marynarce i czapce założonej nieco zawadiacko na ukos mówił, kobieta kiwała głową, od czasu do czasu zadając szybkie pytania. Jej krótkie jasne włosy falowały pod wpływem wiatru wiejącego znad rzeki.

—Masz ogon, Mario — cicho rzekł jej towarzysz. — Wiesz o tym?

—Teraz też tu jest?

—Nie, nie widziałem go. Ale jeden z chłopaków zauważył, że włóczy się za tobą esesman. Dlatego cię tu dzisiaj wezwałem. Powinnaś na jakiś czas zawiesić działalność, zerwać kontakty z informatorem, nie wiem, może wyjechać...

—Esesman? Dziwne.

—Tak. Spodziewałbym się raczej tajniaka. Mundur zaraz stawia wszystkich na baczność. Zwłaszcza że twój ogon to kapitan. Słuchaj, a może ty sama go zauważyłaś?

—Nie sędzę. Jak wygląda?

—Jak Szkop. Wysoki blondyn, chuda gęba. Młody. Aha, lekko kuleje. Nie łązi za tobą stale. Zdarza się, że czeka pod twoim domem, czasem stoi niedaleko fotografa.

—Jeździ na motocyklu?

—Jeździ. Wiesz, kto to?

—Chyba tak. Hauptsturmführer Bruno Kramer. Inwalida, bez lewego podudzia. Pancerniak.

—Sporo o nim wiesz...

—Tak. Pamiętasz tamtą akcję w lutym? Tę pechową, gdy tylko mnie udało się przeżyć?

—Zostałaś ranna.

—Uratował mnie wtedy. Zresztą nie pierwszy raz przyszedł mi z pomocą.

—Co o tobie wie?

—Zna moją prawdziwą tożsamość. I wie o moich związkach z ruchem oporu.

—Boże, wie o tobie wszystko!

—Nie sędzę. Domyśla się pewnie wielu rzeczy, ale wątpię, żeby chciał z tym iść na gestapo.

—Dlaczego?

—Ma do mnie słabość. Myślałam, co prawda, że sobie

odpuścił, ale widzę, że nie.

—Dziewczyno, zdajesz sobie sprawę z tego, o czym mówisz?! Ten facet stanowi dla nas wszystkich śmiertelne niebezpieczeństwo.

—Chcesz go zlikwidować?

—Tak, oczywiście. Natychmiast.

—Nie rób tego, proszę! Pomógł mnie, Krzysztofa wyciągnął z więzienia. Widzisz, ten człowiek ma zbyt wiele na swym nazistowskim sumieniu, aby iść z tym do władz. Prędejsz sam by mnie pewnie zastrzelił, niż doniósł komuś. Poza tym, myślę, że on nie śledzi mnie z powodu mojej działalności...

—Co więc proponujesz, Mario?

—Zrobimy tak, jak powiedziałaś. Zerwę wszystkie kontakty. W obecnej sytuacji i tak powinnam tak zrobić. Instrukcje przekażę tobie. Ktoś inny będzie przekazywał informacje.

—A ty?

—Porozmawiam z nim. W najgorszym wypadku wyjadę. Zostaw mi adres.

—Dlaczego tak myślisz to rozwiązać?

—Nie chcę, żeby przeze mnie ginął. Głupi jest, że za mną chodzi, ale nie ma chyba złych intencji. Nigdy ich w stosunku do mnie nie miał...

— Wydaje mi się, że rozumiem, o co mu chodzi. Kocha się w tobie?

Wzruszyła ramionami.

—Nie wiem, szczerze mówiąc. Gdyby sytuacja była inna, gdyby nie wojna, powiedziałabym, że tak. I wiesz co? Może bym się nawet z tego cieszyła.

—Uważaj, dziewczyno. Nie zrób jakiegoś głupstwa.

—Poradzę sobie. Dziękuję, Stachu. Dziękuję i do zobaczenia. W lepszej, wolnej Polsce.

Podła mu rękę. W dłoni przekazała maleńką kartkę z instrukcjami dotyczącymi informatora. Obróciła się na pięcie i po

kamiennych schodach pobiegła na górę. Za chwilę Stach Bielecki stracił ją z oczu. Nigdy się już więcej nie spotkali. Były zwierzchnik Debory zginął, walcząc z oddziałami Milicji Obywatelskiej w roku 1946.

* * *

Niemiec nieźle nadawał się na szpiega, co Debora stwierdziła po kilku dniach intensywnych prób nawiązania z nim kontaktu. Nie chciała otwarcie zapukać do drzwi jego mieszkania, w końcu nie miała całkowitej pewności, że to Bruno ją śledzi. Zamierzała przyłapać go na gorącym uczynku, gdy będzie szedł za nią lub czekał pod jej domem. Próby te spełzły jednak na niczym. Zresztą, wcześniej także, mimo najwyższej czujności, nie zorientowała się, że jest śledzona.

W końcu jednak udało jej się przekonać, że to faktycznie Bruno Kramer stanowi jej ogon. Choć nie wszystko poszło po jej myśli.

* * *

Debora nie zmieniła pracy, nadal zarabiała na życie jako pomoc w zakładzie fotograficznym. Nie było potrzeby dokonywać zmian, punkt foto od dawna już był czysty, nikt nie wykorzystywał go obecnie do przerzucania informacji. Tego dnia stary fotograf, od dłuższego czasu uskarżający się na stan zdrowia, źle się poczuł i poszedł szybciej do domu. Pogoda nie sprzyjała sercowcom. O zmroku Debora zamknęła zakład i piechotą udała się w stronę wynajmowanego przez siebie mieszkania. Dziś nie zdecydowała się na powrót tramwajem, wieczór bowiem był wyjątkowo piękny, jak bywa jedynie w ostatnie dni lata. Kończył się upalny dzień, ustępując chłodniejszemu powiewowi nadchodzącej nocy. Koł on rozgrzane głowy, przynosił ulgę nogom opuchniętym od wielogodzinnego stania w upale. Debora lubiła takie wieczory. Dlatego też zrezygnowała z podróży miejską komunikacją.

Weszła w wąski zaułek, gdzie kamienice zbliżały się do siebie tak mocno, że u góry, pomiędzy dachami niemal nie było widać nieba, a jezdnię wyłożono kocimi łbami, na których głośnym echem odbijał się stukot jej obcasów.

Przed nią i za nią szli ludzie, przeważnie podobnym do niej wolnym krokiem, nie spiesząc się do domów, jakby zapomnieli o wojnie. Zresztą, nigdzie nie było widać Niemców. Przez chwilę można było udawać, że okupacja to tylko zły sen, z którego człowiek właśnie szczęśliwie się obudził.

Przez chwilę, zaraz bowiem z drugiego końca uliczki dobiegły dziewczynę przemieszane polskie i niemieckie krzyki, zwielokrotnione przez studnię podwórek utworzonych z wąskich ścian domów. Zza zakrętu z podniesionymi rękami wybiegli ludzie. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Inni ludzie, w mundurach i z karabinami gnali bezładny tłum prosto na Deborę. Odwróciła się, szukając możliwości ucieczki, ale ta była już niedostępna. Drogę blokowali żołnierze z bronią wymierzoną wprost w bezbronnych przechodniów.

Łapanka! Szybko przebiegła w głowie listę zagrożeń. Nie przenosiła żadnych informacji, broni, nic. Dokumenty miała na pierwszy a nawet drugi rzut oka w porządku. Były zresztą autentyczne, tylko zdjęcie w nich zmieniono. Z tej strony nie miała się czego obawiać. Pod warunkiem oczywiście, że obława nie została przygotowana specjalnie dla niej...

— *Meine Liebchen!* Co ty tu robisz? Czemu na mnie nie zaczekałaś? Odprowadziłbym cię przecież! — Usłyszała nagle znajomy głos i słowa skierowane wyraźnie w jej stronę.

Stał tam, w zagłębieniu bramy i machał do niej. Chciała pobiec w jego stronę, ale drogę zagroził jej żołnierz z karabinem. Stała więc. Ale Kramer już podszedł bliżej i zaczął coś zawzięcie tłumaczyć tamtemu. W efekcie obcy Niemiec wyciągnął do niej kurtuazyjnie rękę, a gdy podała mu dłoń, ucałował ją, mamrocząc słowa przeprosin. Na sztywnych nogach, prowadzona

przez Brunona, Debora minęła współtowarzyszy niewoli, strażę i ciemniejącą, ponurą uliczkę, która jeszcze niedawno wydawała jej się taka sympatyczna. Z trudem powstrzymywała się od wytarcia ręki z wilgotnym śladem pocałunku o materiał spódnicy.

* * *

Nie odzywali się do siebie do momentu, gdy nie usiedli w małej kawiarence. Tam Bruno wezwał kelnerkę. Dla siebie zamówił dużą wódkę, dla niej wino. Dopiero gdy opróżniła cały kieliszek i kolory wróciły na pobladałą ze strachu twarz, przerwała ciszę:

—Znów uratowałeś mi życie. Kiwnął głową.

—Siedzisz mnie, Bruno? Znów kiwnięcie.

—Czemu?

—Pilnuję cię. Dotarła do mnie informacja, że szykowana jest większa akcja na krakowską komórkę waszej armii podziemnej. Wciąż wyciekają informacje. Gestapo ma szpiega w swojej własnej centrali. No, ale ty pewnie wiesz więcej ode mnie na ten temat.

—Co zamierzałeś zrobić?

—Gdyby cię złapali jako szpiega? Nie wiem. Nie sądzę, żebyś wytrzymała tortury. Ostatecznie, zastrzeliłbym cię, gdyby było to konieczne.

—Zabiłbyś mnie? — Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. Odsunęła się od niego.

—Miałem nadzieję, że nie będę musiał. Pamiętaj, że stanowisz dla mnie zagrożenie. Gdyby wzięli cię w obroty, najpierw powiedziałaś im, kim jesteś, potem, kto ci pomógł. Nie uwierzyliby w moje zapewnienia, zwłaszcza że mój brat okazał się zdrajcą. Czasem śmierć stanowi najlepsze rozwiązanie, De—boro. — Zamknął jej ręce w swoich dłoniach i przekrzywiając lekko głowę, spojrzał jej w oczy. — Na szczęście, nie tym razem.

—Co z twoim bratem?

—Nie wiem. Jest zamieszany w sprawę zamachu na Hitlera.

Zamknęli go w obozie koncentracyjnym. Nie mam żadnych informacji. Gdyby nie żył, myślę, że zawiadomiliby matkę.

* * *

Zacząłem cię śledzić miesiąc wcześniej. Dzień po tym, gdy do swej ponurej, nigdy niewietrzanej nory wezwał mnie Stary. Dowódca przyjął mnie, stojąc za biurkiem, z nieodłącznym papierosem w ustach. Nie zareagował na przepisowe trzaśnięcie obcasami, wyrzucenie do przodu ręki ani dziarskie „Heil Hitler”, wykrzyczane pełną piersią. Im bardziej miałem dosyć bycia esesmanem, tym gorliwiej demonstrowałem przywiązanie do wartości moich kameraden.

Stary powoli zaciągnął się papierosem, wydmuchał dym i zaczął:

— *Kramer, jesteś dobrym Niemcem?*

Niedobrze się zaczęło, ten facet nie był nazistą i nigdy nie inwigilował nas ideologicznie. Po prostu — niemłody już inżynier mechanik, fachowiec w swoim zawodzie, którego ojczyzna powołała do służby w barwach esesowskich nadludzi... Zdolności organizacyjne i talenty techniczne zawsze dodawały mi punktów w jego oczach. Dobrze nam się pracowało. Nie wchodziliśmy sobie z reguły w drogę i nie grzebaliśmy nawzajem w życiorysach. Coś musiało się stać.

— *Jestem, panie standartenführer.*

— *A twoja rodzina? Skoro jesteś w SS, musieli być prześwietlani, prawda?*

— *Oczywiście. Ojciec walczył w Wielkiej Wojnie, niestety nie żyje. Matka pochodzi ze szlacheckiej rodziny z tradycjami sięgającymi siedemnastego wieku...*

Przerwał mi gwałtownie. Podniósł do góry jedną rękę, drugą wściekle rozgniatając przy tym niedopałek w popielniczce. Popatrzył na mnie uważnie i wycedził:

— A brat? Masz starszego brata? Byłem skołowany. Zacząłem ostrożnie:

— Hugo jest kapitanem Luftwaffe. Czy zginął?

— Nie. Nie zginął. Zdradził.

Nic z tego nie rozumiałem. Stary kontynuował:

— Twój brat był podobno bardzo dzielnym pilotem. Takich ludzi nam teraz potrzeba. Führer chciał go poznać i osobiście udekorować. W Wolfschanze. Kapitan Hugo Kramer stacjonował ostatnio w Prusach Wschodnich, o czym na pewno wiesz.

Nie miałem pojęcia. Nie utrzymywałem kontaktów z matką i bratem. Ostatnio widziałem ich, zanim ruszyłem na wojnę. Nawet się porządnie nie pożegnaliśmy.

Mimowolnie pokręciłem głową.

— Widzę, że kojarzysz fakty. Twój szanowny brat przypuszczalnie maczał palce w zamachu.

— Zamachu? Żyje?

— O ile wiem — tak. Na razie. Czeka go proces. Aha! Mam coś dla ciebie. List od matki. Dziś rano przynieśli mi go z gestapo.

— Przeczytali go?

— Tak. Powiedzieli, że Twoja matka jest bardzo nieostrożna. Pilnuj się, Kramer.

Wyszedłem z pokoju Starego na miękkich nogach.

Wróciłem do siebie, usiadłem przy biurku i rozłożyłem list na kolanach. Litery tańczyły mi przed oczami. Matka pisała:

Synku!

Nie pamiętam, który już raz piszę do Ciebie. Nie mam nadziei, że mi odpiszesz. Nigdy tego nie robisz. Liczę na to, że chociaż czytasz moje listy... Pocieszam się, że przynajmniej żyjesz. Gdyby było inaczej, na pewno by mnie poinformowano. Tak wielu synów i mężów zginęło! Cały czas zadaję sobie pytanie: po co to wszystko? Co opętało Niemców, by słuchać tego diabła, Hitlera?

Co opętało Ciebie, Syneczku? Nie powinnam znowu robić Ci wyrzutów. Jestem Twoją matką i kocham Cię. Wyrzucam sobie, że sama jestem najbardziej winna Twojemu milczeniu. Pewnie za mało okazywałam Ci matczynych uczuć, za mało otrzymałeś czułości w dzieciństwie. Tak się jakoś Wami podzieliliśmy z Twoim nieżyjącym ojcem — Ty byłeś jego synem, Hugo — moim. Niepisana umowa, dobór na podstawie podobieństwa fizycznego. Twój ojciec nie był złym człowiekiem, zagubił się tylko w tych ciężkich czasach, w jakich przyszło nam żyć. A ja nie umiałam stać się dla niego oparciem, jak przystało żonie. Starłam się go zmienić na siłę, zamiast działać po cichu i delikatnie. Może nie potrafiłam inaczej, może chciałam robić mu na złość? Dziś już tego nie wiem, nie pamiętam, od czego zaczął się nasz cichy spór. Z perspektywy lat, jakie upłynęły od jego śmierci, nie wydaje mi się to już ważne. Co dowodzi tylko, jak bezsensowne są międzyludzkie spory. I jak są okrutne — spierają się dorośli, cierpią na tym dzieci. Przepraszam cię, Synku! Za wszystko Cię przepraszam!

Wybacz mi też tkliwy ton. Zwykle staram się opisać Ci po prostu to, co wydarzyło się od mojego poprzedniego listu. Kto zmarł, komu urodziło się dziecko, kogo miałam okazję gościć w naszym hoteliku. Codziennosc. Żebyś nie zapomniał, jak to jest — żyć w pokoju. Tym razem także wolałabym pisać o bzdurkach. Nie mogę jednak. Stało się coś strasznego... Twój brat jest w obozie koncentracyjnym. Oskarżono go o zdradę i zarzucono udział w zamachu na Hitlera. Wiadomość tę przywiózł mi jego strzelec pokładowy. Dobry chłopiec. Wziął urlop tylko po to, by osobiście poinformować mnie o nieszczęściu... Nie mam pojęcia, co teraz dzieje się z Hugonem, czy żyje, co będzie dalej. Podobno ma mieć proces. Nie mogę w to uwierzyć — Twój brat był bardzo dobrym pilotem. Awansował, przywoził do domu medale i odznaczenia. Prawda, że nie był nazistą. Ale przecież walczył! Jak myślisz, czy mógł zaplątać się w taką awanturę?

Codziennie zadaję sobie to pytanie i drżę, bo wydaje mi się, że jednak był do tego zdolny i że to też jest moją winą. To moje wolnomyślicielstwo, liberalne wychowanie. Jak dobrze, Bruno, że ty jesteś inny! Uważaj na siebie, Syneczku. Napisz do mnie, jeśli możesz. Daj znak, że żyjesz. Jeśli Cię jeszcze obchodzimy. Jeśli ja Cię jeszcze obchodzę...

Twoja kochająca matka

* * *

Czytałem ten list w kółko. Wciąż od nowa, aż w końcu tekst zaczął zlewać mi się w jedną atramentową plamę. Mamo, jaka ty jesteś nieostrożna. Kilka zdań, a ty przyznałaś się do własnych poglądów i pogrążyłaś Hugona. Nic nie wiesz o kontroli korespondencji? Pewnie nie, bo przecież nie chcesz zaszkodzić ukochanemu synowi...

Podarłem kartkę zapełnioną ładnym, różanym pismem matki i spaliłem ją w popielniczce. Wstałem, i nikomu się nie tłumacząc, wybiegłem niemal z budynku. Zrezygnowałem z jazdy motocyklem. Musiałem się przejść. Snułem się po krakowskich uliczkach tak długo, aż kikut nogi dał o sobie znać dojmującym bólem. Doczłapałem do własnego mieszkania, rzuciłem się do kredensu i na raz opróżniłem pół butelki wódki.

Rano, na ciężkim kacu usiadłem przy stole i zacząłem pisać list do matki:

Mamo,

Przepraszam, że tak długo nie pisałem. Zasmuciła mnie informacja o Bracie. Myślę, że nie masz racji. Hugo jest nie tylko dzielnym żołnierzem, także wiernym synem Narodu Niemieckiego. Z pewnością nie ma nic wspólnego z tymi zdrajcami. Znam Twoje poglądy polityczne, ale wiedz, że obaj z Hugonem nigdy nie braliśmy ich poważnie. Z całym szacunkiem, Mamo, jesteś kobietą i masz prawo się mylić i błędzić. Nam,

mężczyznom, czynić tego nie wolno! Ufam, że to paskudne nieporozumienie zostanie wkrótce wyjaśnione i mój drogi Brat powróci do chwalebnej służby dla Führera i Vaterlandu! W razie potrzeby będę za niego ręczył. U mnie wszystko w porządku. Jestem zdrow i cały. Na razie służę w Krakowie, gdzie dbam o to, by nasi chłopcy mieli zawsze do dyspozycji sprawne wozy i motocykle. To ważne, zwłaszcza w tej fazie wojny, gdy rozgrywają się decydujące, zwycięskie bitwy, a terror polskich bandytów nasila się w ostatnich zrywach buntu. Napiszę znowu, jeśli dowiem się czegoś o Bracie.

Całuję Twoje Kochane Ręce Bruno

* * *

Przeczytałem te żalosne wypociny i szybko spakowałem list do koperty. Miałem nadzieję, że matka zrozumie. Pisałem do niej, ale przede wszystkim do gestapo. Wiernopoddańcza deklaracja wiary. Czy pomoże Hugonowi? Nie wiem... Tylko tyle jednak mogłem zrobić dla mojego brata. Zatręskniłem do Schwarzwaldu. Skacowany i nieszczęśliwy zsunąłem się z krzesła na podłogę i tam po prostu zatkałem głośno, oparty o stołową nogę. Żalosny idiota. Chłopiec, który chciał bawić się w wojnę.

* * *

Niemiec oparł ciężko głowę na dłoniach.

— Przykro mi, Bruno.

Pogłaskał ją po ręce.

—Tak naprawdę, liczyłem na to, że uda mi się pomóc ci inaczej, niż wysyłając na tamten świat. Nie próbowałem nawiązać z tobą kontaktu, bo nie wiedziałem, czy nie jesteś obserwowana. Ale chyba nie... Ta łapanka nie była przygotowana specjalnie dla ciebie.

—Co teraz?

—Nic. Odprowadzę cię do domu.

Wstali od stolika, Kramer zapłacił za alkohol. W czasie, który spędzili w kawiarni, mrok zdążył już objąć świat w posiadanie. Gdy wychodzili, Bruno chwycił ją wpół, tak że faktycznie wyglądali jak żołnierz i jego „Liebchen”. Doszli tak aż przed bramę jej domu. Tam stanęli naprzeciw siebie — esesman i Żydówka.

— Spotkamy się jeszcze? — spytała dziewczyna. W ciemności nie widziała wyrazu jego twarzy, nie mogła więc odgadnąć, jakie malują się na niej uczucia.

—A chcesz?

—Chyba powinniśmy się spotykać. Dla uwiarygodnienia tego, co dzisiaj zrobiłeś.

—Dobrze. W takim razie, do zobaczenia niebawem.

Na krótką chwilę przyciągnął ją do siebie, musnął ręką jej jasne włosy, potem wypuścił Deborę z ramion i obrócił się, by odejść.

—Bruno! — krzyknęła za nim.

—Tak?

—Dziękuję. Znowu.

Zasalutował jej, przykładając dłoń do daszka czapki i zniknął w mroku.

* * *

Tamten wieczór okazał się przełomowy dla naszej znajomości. Miałaś oczywiście rację — po aresztowaniu Hugona moja sytuacja nie przedstawiała się najweselej. Na pewno ktoś dyskretnie śledził moje poczynania. A przecież ratując cię z łapanki, wylegitymowałem się, tym samym zwracając uwagę gestapo. Dlatego faktycznie — powinniśmy się spotykać, nadal udając parę zakochanych.

Byłem wdzięczny losowi za taki rozwój wydarzeń. Od tamtego zimowego dnia, kiedy pojawiłaś się u mnie ranna, czułem niepokój na myśl o tobie. Wcześniej byłaś dla mnie po prostu ładną żydowską dziewczyną, którą przeznaczenie zetknęło ze mną najpierw na moje, potem na twoje szczęście. Chcąc pozostać wierny nazistowskim ideałom, nie powinienem ci pomagać, tylko oddać w ręce

odpowiednich służb. Od dawna nie byłem jednak fanatykiem i nie uważałem, że od faktu uratowania przeze mnie jednej sympatycznej panny zawali się Trzecia Rzesza. Zwłaszcza że spłacałem w ten sposób zaciągnięty u ciebie dług.

Potem oczywiście okazało się, że byłem naiwny, a ty nie jesteś taką sobie zwykłą dziewczyną. Ale wtedy wszystko się skomplikowało, czarne przestało być czarne, białe utraciło biel Niemcy przegrywali na wszystkich frontach i choć machina propagandowa próbowała zatuszować klęski, nawet przebywając wśród esesmanów, czuło się swego rodzaju rozprężenie i pierwsze wątpliwości dotyczące własnego losu. Ze wschodu wracały coraz dłuższe pociągi z rannymi, na listach zabitych przybywało przyjaciół z dzieciństwa i towarzyszy broni.

Moje niegdyś niezachwiane przekonanie, że oto, walcząc za Rzeszę i Fuhrera, niosę Niemcom nowy ład i przywracam światu naturalny porządek rzeczy, w którym to Germanie rządzą innymi nacjami, rozpadało się na kawałki systematycznie, od początku wojny, ale czarę goryczy przelała historia mego brata. Okazało się nagle, że dla ojczyzny jestem przede wszystkim bratem zdrajcy i jako takiego należy mnie traktować z najwyższą podejrzliwością. Dowódca mnie unikał, koledzy ignorowali moją obecność, na palcach jednej ręki mógłbym policzyć momenty, w których ktokolwiek zaszczycał mnie rozmową. Kilkukrotnie zapraszano mnie na przesłuchanie w gmachu krakowskiego gestapo. Nic na mnie nie mieli, w ich oczach byłem po prostu średniej jakości oficerem — ani bohaterem, ani zdrajcą, poprawnie działającym trybikiem w maszynie. Mało entuzjastyczny, ale nie zdrajca. W tych ciężkich dla Trzeciej Rzeszy czasach, które właśnie się rozpoczynały, kogoś takiego jak ja należało tolerować, dopóki pozostaje przydatny.

Mam wrażenie, że Niemców w ostatnim roku wojny jednoczył już tylko jeden cel — obronić swe rodziny przed agresją ze wschodu. Myślę tutaj oczywiście o tych ludziach, którzy zwyczajnie

walczyli na frontach drugiej wojny, nie zaś o decydentach z ramienia partii narodowosocjalistycznej i fanatycznych wykonawcach ich rozkazów, katach ludności cywilnej, znieprawionych wszędzie, gdzie się pojawiali Ci myśleli przede wszystkim o ocaleniu własnych tyłków przed zemstą dawnych ofiar. Rekrutowali się oni głównie, choć nie tylko, z szeregów SS.

Czy zaliczałem się do ich grona? Zanim trafiłem za biurko i do garaży, sam zabijałem i wydawałem wyroki śmierci, które wykonywali moi ludzie. Czy byłem zatem lepszy od innych oficerów SS? Nie wiem... może po prostu nie byłem tak twardy, za jakiego chciałem uchodzić? Sprawdzałem się chyba jako dowódca — miałem stosunkowo niewielkie straty w ludziach. Stale też lawirowałem tak, by nie otrzymać zadania zbyt mocno godzącego w spokój mego sumienia. Powalczyłem więc sobie trochę w Belgii i we Francji jako dowódca jednostki pancерnej SS, potem zaś na stałe przydzielono mnie do zarządzania flotą pojazdów SS w Generalnym Gubernatorstwie. Tutaj wiodłem w miarę spokojne życie, aż do momentu, gdy dowiedziałem się o losie mego brata. Hugo tkwił w obozie bez oficjalnego wyroku. Nie mieli niezbitych dowodów jego winy, tylko spekulacje, donosy, niedomówienia. Wiedziałem, że jego życie w dużym stopniu zależało od mojego zachowania...

* * *

Aresztowanie Hugona zbiegło się w czasie z wybuchem powstania w Warszawie. W odpowiedzi krakowskie gestapo wzmożło działania mające na celu zniszczenie siatki szpiegowskiej Krakowa. Dowiedziałem się o tym całkiem przypadkiem, w trakcie nieoficjalnego spotkania niemieckich oficerów w jednej z eleganckich restauracji tego miasta. Spotkanie, jak zwykle zresztą, przerodziło się w libację alkoholową, w trakcie której pewien gestapowiec, pijany w sztok, zapalał do mnie ckliwą sympatią i zechciał powierzyć największe tajemnice swej macierzystej komórki kontrwywiadu. A przecież wiedziałem, że ty, Deboro, masz coś wspólnego z polskim podziemiem. Dlatego po-

stanowiłem cię odszukać i dyskretnie pilnować. Nie zauważyłem jednak, by ktoś poza mną śledził twoje poczynania. Zmartwiałem, gdy trafiłaś w sam środek łapanki. Naprawdę byłem gotów zastrzelić cię wtedy. Na szczęście dla ciebie i dla mnie, okazało się, że cała akcja nie została zorganizowana na twoją cześć. A ja zyskałem pretekst do odnowienia naszej znajomości...

* * *

Bruno rzetelnie wywiązywał się ze swej roli niemieckiego chłopaka polskiej dziewczyny. Co prawda, dowództwo SS nie patrzyło przychylnym okiem na kontakty między swymi podwładnymi a ludnością cywilną, w szczególności na relacje damsko—męskie, jednakże Kramer, z racji powiązań rodzinnych, i tak nie cieszył się takim zaufaniem jak wcześniej, więc podrywanie Polek stanowiło po prostu jeszcze jeden minus na jego koncie. Z drugiej strony, atmosfera władz okupacyjnych Krakowa pogarszała się z tygodnia na tydzień, w miarę jak przybliżał się front wschodni, dlatego też nikt nie miał specjalnie głowy do prostowania ścieżek życiowych jednego zagubionego esesmana. Szczególnie, że jeśli chodzi o rzetelne wypełnianie obowiązków służbowych, człowiekowi temu nie można było nic zarzucić.

Tak więc spotykał się z Deborą niemal bez przeszkód. Sam nie starał się ukrywać z tą znajomością, czynił to raczej ze względu na nią. Jeśli przyjeżdżał po dziewczynę do pracy, to nigdy nie pojawiał się w mundurze, zawsze po cywilnemu. Dla niej pokazywanie się w mieście z esesmanem w najlepszym przypadku mogło zakończyć się ogoloną głową, w najgorszym groziła jej śmierć z ręki jakiegoś gorliwego polskiego patrioty.

Przechodnie mijający późnym popołudniem zakład fotograficzny ukryty za przyszarzałymi firankami natykali się na taką scenę — młoda, sympatyczna blondynka zamyka jego drzwi wielkim, ciężkim kluczem. Dwa razy sprawdza, czy na pewno

wszystko zamknęła jak należy, potem rozgląda się dookoła. Oczy rozszerzają się jej z radości, gdy poszukiwania przynoszą skutek. Dziewczyna kieruje się w stronę wysokiego mężczyzny, stojącego w pewnej odległości od punktu foto. Uważny przechodzień domyśli się, że to Niemiec — zdradzają go rysy twarzy, zbyt pewność siebie uwidaczniająca się w ruchach, dobry papieros tkwiący w kąciu ust. Ma jednak na sobie cywilne ubranie — ciemne spodnie i jasną koszulę, czasem sweter i kaszkiet, gdy wieczory stają się chłodniejsze.

Dziewczyna natomiast w żadnej mierze nie wygląda na Niemkę. Mogłaby ewentualnie być Żydówką, gdyby nie to, że w roku czterdziestym czwartym, spotkanie Żydówki na krakowskiej ulicy pozostawało raczej w granicach abstrakcji. Getto już nie istnieje, miasto jest dokładnie „oczyszczone” z Żydów.

Mężczyzna zawsze chowa się w podcieniu, nigdy nie wychodzi na jej spotkanie. Gdy blondynka podchodzi do niego, nie całuje jej na powitanie, nie chwytają się za ręce. Po prostu odchodzą razem. Kiedy wieczór jest ładny, idą na piechotę, powoli, noga za nogą oddalając się w dół wąskiej uliczki, on z niejakim trudem, ona charakterystycznym, niemal tanecznym krokiem szczęśliwej kobiety—elfa. Mało się do siebie odzywają, jeśli już, to mówi ona, mężczyzna zaś tylko rzuca jej krótkie spojrzenia spod daszka czapki.

Kiedy pada, idą szybciej i wtedy widać wyraźnie, że towarzysz blondynki kuleje. Skręcają za róg, tam czeka na nich zaparkowany motocykl. Zawsze bez bocznego kosza, tak, że gdy on siada z przodu, dziewczyna zmuszona jest wdrapać się na siodło tuż za nim i mocno przytulić do pleców kierowcy, kiedy maszyna rusza gwałtownie.

Pogodny wieczór ta dwójka spędza na ławce w parku, czasem w przy kawiarnianym ogródku, sącząc powoli chłodne napoje z wysokich, grubo rżniętych szklanek. Deszcz i coraz niższe temperatury wyganiają ich pod dachy knajpek „nur fur

Deutsche" lub do kina. Tuż przed godziną policyjną ci dwoje się żegnają. Sama scena rozstania nic nie mówi o panującej między nimi bliskości, nie całują się bowiem, nie obejmują, nie padają między nimi słowa miłosnych wyznań. Dziewczyna szepce tylko po niemiecku „Do zobaczenia”, obraca się na pięcie i wchodzi do bramy swojej kamienicy. Idzie sama, ale mężczyzna zawsze odprowadza ją wzrokiem, czekając do momentu, w którym okno na pierwszym piętrze rozświetli się łagodną poświatą nocnej lampki. Dopiero wtedy wycofuje się w mrok.

* * *

Tamte kilka tygodni było dla mnie nieustannym szaleństwem. Żyłam jakby obok głównego nurtu spraw, oderwana całkowicie od ponurej rzeczywistości okupacyjnej. Codzienne wydarzenia działały się niejako samoistnie. Chodziłam do pracy, nadal wykonywałam swoje obowiązki konspiracyjne, choć w znacznie okrojonym zakresie w stosunku do tego, co działo się przed rozmową ze Stachem. Znając mą ówczesną sytuację, dowództwo wyłączyło mnie niemal zupełnie z pracy na rzecz ojczyzny, przekazując większość zadań innym, mniej narażonym na dekonspirację. Pełniłam więc od czasu do czasu jedynie funkcję wspomagającą wtedy, gdy pojawiała się taka konieczność.

Nie obchodziło mnie to. W tamtych dniach liczyłeś się tylko ty i uczucie, które powoli się między nami rodziło. Byłam głucha na podszepty własnego sumienia, przypominające, że to, co robię jest zdradą, krzyk rozsądku budzący mnie w nocy i oblewający zimnym potem, w tej przedrannej godzinie, gdy umysł pozostaje w pół uśpiony, do głosu dochodzi zaś podświadomość. Moja próbowała mi unaocznić, że to, co robię to szaleństwo, że nie mamy prawa być razem, bo masz nade mną pełnię władzy. Wiesz zbyt wiele i możesz w każdej chwili wykorzystać te informacje przeciwko mnie. Nawet jeśli byś tego nie zrobił, świat, w którym żyliśmy, rządził się regułami ustalonymi przez twoich rodaków.

Według nich miałeś prawo w każdej chwili zabić mnie bez konieczności tłumaczenia się z tego czynu przed kimkolwiek. Wystarczyłoby, żebyś powiedział: „była Żydówką” i nikt nie zadawałby więcej pytań.

Mimo tych racjonalnych argumentów, które podsuwała mi trzeźwa wyobraźnia, za każdym razem niecierpliwie czekałam naszego następnego spotkania. Nie umawialiśmy się nigdy na konkretny dzień ani godzinę, po prostu raz albo dwa razy w tygodniu czekałeś na mnie w pobliżu zakładu fotograficznego. Spędzaliśmy wieczory na beztrudnych dyskusjach, przegadując te kilka wspólnych godzin. Jeśli mam być szczerą, przeważnie to ja paplałam, ty słuchałeś mnie z rozbawieniem, od czasu do czasu dorzucając jakiś komentarz do opowiadanych przeze mnie historii. Zdawałam ci wtedy relacje z wydarzeń, które zaszły od czasu naszego poprzedniego spotkania, mówiłam o tym, co mnie zachwycało, co zmartwiło. Unikaliśmy jednak oboje trudnych tematów. Nasze rozmowy starannie obchodziły dookoła wojnę, okupację, niemieckie zbrodnie, sposób, w jaki straciłam wielu żydowskich i polskich przyjaciół. Był jeden wyjątek. Wypytywałeś mnie mianowicie o rodzinę. Ewidentnie fascynował cię ten temat. Nie mogłeś się nadziwić zwyczajom panującym w spolszczonym żydowskim domu, godzeniem przez nas roli polskich patriotów z germanofilią mego ojca.

** * **

Singerowie swe europejskie korzenie wywodzili z Niemiec, gdzie do roku trzydziestego trzeciego mieszkał mój stryj i nasza dalsza rodzina — dzieci i wnuki brata mego dziadka. Losy tej niemieckiej części klanu nie były tak ponure jak nasze. W momencie dojścia do władzy hitlerowców, wyjechali oni z niegościnnego kraju przodków do Ameryki. Przeczuwali widać przyszły tragiczny los swych europejskich współbraci. W przeciwieństwie do mego ojca, który do końca wierzył, że tak

cywilizowani ludzie jak Niemcy nie będą chcieli zmieść z powierzchni ziemi całego narodu żydowskiego. Po objęciu urzędu kanclerskiego przez Hitlera ojciec twierdził, że retoryka nienawiści jest przejściowa i stanowi jedynie śpiewkę przygotowaną dla zaspokojenia tępych mas. Żądania terytorialne wystosowywane przez Niemcy wobec Polski przyjmował ze smutkiem, wierząc, że sprawę tę uda się rozwiązać dzięki rozsądkowi i dyplomacji. Oburzyło go dopiero wkroczenie wojsk hitlerowców do Polski i niemal natychmiast wprowadzone obostrzenia w stosunku do Żydów. Do końca miał jednak nadzieję, że on, lekarz, przedstawiciel inteligenckiej części społeczeństwa, wybroni siebie i swoją rodzinę od zagłady i uniknie losu nieprzeliczonych mas żydowskich, pędzonych na śmierć przez odzianych w czarne mundury esesmanów. Wraz z matką trafili do obozu w jednym z pierwszych transportów z lwowskiego getta. Od tej pory nie miałam od nich żadnej wiadomości. Najprawdopodobniej dawno już nie żyli. Miałaś dojścia do archiwów obozowych, potwierdziłaś więc ten smutny fakt. Moi najbliżsi zginęli zaraz po tym, jak drzwi wagonu bydłowego otworzyły się przed nimi na obozowej rampie.

Ja sama uniknęłam również ponurego końca dzięki ucieczce do Krakowa i pracy w konspiracji, w którą przecież zaangażowałam się niemal od początku okupacji. Kursowałam nieustannie między gettem a aryjską stroną miasta, przenosząc meldunki, raporty, rozkazy i wyprowadzając z getta żydowskie dzieci. Wykorzystywałam do tego celu perfekcyjną znajomość niemieckiego i doskonale podrobione papiery, pozwalające mi na swobodny ruch w obie strony. Tego dnia, gdy moi rodzice wyruszyli w swą ostatnią podróż, niczego nie przeczuwałam, zaangażowana w swe krakowskie życie. W końcu jednak sama znalazłam się w bydłowym wagonie, zmuszona salwować się ryzykowną ucieczką. Ale wtedy pojawiłaś się ty... Znów zdecydował szczęśliwy traf.

O tych sprawach rozmawialiśmy jednak mało. Ja nie chciałam

znać szczegółów twojej esesmańskiej przeszłości, bałam się ponurej prawdy o tobie, którą mogłeś mi ujawnić, nagabywany. Milczeliśmy więc na ten temat. Ty z kolei wolałeś słuchać opowieści ze szczęśliwego etapu życia rodziny Singerów, ze świata, który dawno już przestał istnieć. Odwdzięczałeś się, wydobywając z zakamarków pamięci wspomnienia kosmopolitycznego międzywojennego Berlina, duszne wnętrza monachijskich piwiarni czy wreszcie piękno Schwarzwaldy. Ze zdumieniem stwierdziłeś pewnego dnia, że tęsknisz za górami, mimo iż wyjeżdżałeś stamtąd z ulgą. Często wspominałeś matkę i starszego brata. Twoje słowa pozwoliły mi zrozumieć genezę decyzji, która zaprowadziła cię w szeregi morderców w czarnych mundurach.

Wieczna rywalizacja. Oto, co kształtowało wzajemne stosunki braci Kramerów. Starszy Hugo, ukochany pierworodny syn swej matki, błyskotliwy, świetnie zapowiadający się prawnik i ty — krnąbrny, nie tak zdolny jak starszy brat, którego zawsze stawiano ci za wzór, z wiecznym poczuciem niższości, podsycanym przez różnicę poglądów i twoje własne wyobrażenia.

Hugo był z przekonania i wychowania antynazistą, urodzonym demokratą, oburzonym wprowadzonymi przez Hitlera dyktatorskimi metodami władzy. Szybko zorientował się, że otwarty opór przeciw reżimowi ściągnie nieszczęście na niego i całą rodzinę, swoje poglądy ujawniał więc tylko w domu, wobec matki. Ty, obciążający ich oboje winą za to, co stało się z ojcem, reagowałeś na tę domową konspirację nieskrywaną złością. Własną przyszłość i nadzieję dla kraju widziałeś w narodowym socjalizmie. Wstąpiłeś do świeżo otwartej szkoły dla kandydatów na oficerów SS i poczułeś... spokój. Związałeś swój los z nazistami na złość reszcie rodziny. Fascynowała cię przynależność do nowej elity, wyższość, jaką czułeś, maszerując pośród mieszkańców swego miasteczka w czarnym mundurze, który wzbudzał w nich zabobonny niemal lęk, ale i szacunek.

Milczenie brata i smutek w oczach matki — taka była jedyna reakcja na twą decyzję.

* * *

Początkowo spotykaliśmy się na neutralnym gruncie, potem zacząłeś zabierać mnie do siebie. Przyznaję, że miałam opory przed wizytami w domu samotnie mieszkającego mężczyzny, okazałeś się jednak dżentelmenem w każdym calu. Prowadziłeś mnie zawsze do salonu, gdzie przy drzwiach stało świetnie nastrojone pianino i prosiłeś, abym ci grała. Posłusznie unosiłam więc klapę instrumentu i w świat płynęły dźwięki muzyki. Ty zaś z przymkniętymi oczami siadałeś to fotelu, słuchając w skupieniu. Te nasze muzyczne seanse odbywały się przeważnie w niedzielę, gdy oboje dysponowaliśmy większą ilością czasu. Sprawiały one radość nam obojgu — mnie, bo mogłam znów zasiąść do ukochanego instrumentu, tobie zaś, bo lubiłeś muzykę i darzyłeś uczuciem osobę, której palce uwalniały dźwięki.

* * *

Ten związek był dziwny. Gdyby nie pewność, że jest inaczej, Debora mogłaby uznać Brunona za homoseksualistę lub swego rodzaju żyjącego w celibacie mnicha, tak dalece unikał dotyku. Starał się nawet nie zatrzymywać na niej dłużej spojrzenia, w każdym razie wtedy, gdy zdawała sobie sprawę, że on patrzy. Bo na przykład, kiedy czekał na nią po pracy, stał zawsze w miejscu na tyle odległym, by móc do woli kontemplować jej taneczny chód spod nasuniętego na oczy daszka kaszkietu.

Dziewczyna czasem marzyła o wszystkich tych drobnych gestach, które wykonują wobec siebie zakochani, o uścisku ręki, objęciu w pół, o pocałunkach kradzionych ukradkiem w ciemnym kinie, sama jednak nie próbowała wymuszać takich sytuacji. Zdawała sobie sprawę, czym to się dla nich obojga może skończyć. Byli młodzi, w żyłach krążyła im gorąca krew, niewinny pocałunek

mógł uwolnić lawinę, która ostateczne ujście znajdzie w jego łożku. A tego Debora bała się bardzo.

Tutaj zresztą byli zgodni, choć nie rozmawiali na ten temat. Bruno po każdym spotkaniu z nią czuł się bardziej zakochany. Ciągle jednak potrafił zachować, jeśli nie chłodny osąd sytuacji, to trzeźwość umysłu, pozwalającą patrzeć na nich oboje nieco z boku. Gdyby zatracił się w niej całkowicie, zapomniałby o całym świecie zewnętrznym i zagrożeniach, jakie ten ze sobą niósł. Łatwo mógł wtedy sprowadzić nieszczęście na siebie, na nią, a także na brata, pozostającego w obozie koncentracyjnym. Jej miłość stałaby się dla niego czymś najważniejszym, czyniąc go zdolnym do największych głupstw, jakie był w stanie popełnić — niesubordynacji, zdrady, nawet dezercji.

Pilnował się więc tym bardziej, że sytuacja wojenna z dnia na dzień stawała się dla Niemców mniej korzystna. W sztabie znać było podenerwowanie, krążyły niepokojące plotki o rychłej utracie ciepłych posadek przez obsługę administracji, tym intensywniejsze, im wyraźniejszy stawał się oddech frontu wschodniego. Już teraz ten czy inny urzędnik, zadekowany do tej pory bezpiecznie w stolicy Generalnej Guberni, przychodził do pracy z nosem na kwintę i ponurym głosem oznajmiał, że zmieniono mu przydział. Nigdy nie ujawniano, dokąd ich przydzielono, rozkazy nosiły bowiem klauzulę tajności, niemniej jednak wiadano, że jedynym logicznym kierunkiem pozostawał wschód. Niemieckie zasoby ludzkie kurczyły się i każde ręce mogące dźwigać karabin były w tych dniach na wagę złota, co dopiero mówić o armii Himmlera, najlepszych z najlepszych, bezwzględnych, świetnie wyszkolonych maszynach do zabijania. Ostatniej rezerwie żołnierzy z prawdziwego zdarzenia.

Bruno zdawał sobie sprawę, że i jego czeka ten sam los. Bał się. Wiedział, że ideologiczna papka o ostatecznym zwycięstwie nad bolszewizmem, którą coraz intensywniej karmiła Niemców narodowo—socjalistyczna prasa i radio, ma za zadanie zamazać

prawdziwy obraz sytuacji. A ta była coraz gorsza. Sowieci parli na zachód, kierunek wschodni pożerał wielkie rzesze młodych i starych, desperatów pędzących na zatracenie w chlubnym celu obrony ojczyzny. Wielu z nich miało nigdy nie wrócić do domów, a los wojny, z ich udziałem czy bez niego, pozostawał przesądzony. Szczególnie, że od strony Francji ruszyli zachodni alianci, zamykając tym samym Tysiącletnią Rzeszę w kleszczach okrążenia, tak jak kiedyś Niemcy i Rosjanie uczynili to z bezbronną Polską.

Przełożeni Hauptsturmführer a Kramera szykowali jednak dla niego inne, stokroć gorsze zadania...

* * *

Jesień w pełni objęła świat w posiadanie. Szybko minął jej złoty etap, gdy w parkach i ogrodach szeleściły pod nogami wyschłe, zbrązowiałe liście, a wszędzie unosił się zapach tysiąca palonych ognisk. Ten czas Debora i Bruno spędzili jeszcze razem. Dni były ciągle ciepłe, słoneczne, spacerowali więc bez końca krakowskimi uliczkami, zatrzymując się od czasu do czasu w maleńkich kawiarenkach, aby napić się herbaty lub zjeść ciastko. Czasem po prostu po to, by choć chwilę popatrzeć sobie w oczy. Debora przemogła bowiem ten lęk, który kazał im obojgu zachowywać się w stosunku do siebie nadmiernie powściągliwie, i wygrała bitwę o spojrzenia. Mogła teraz swobodnie zaglądać swemu Niemcowi w oczy, bez obawy, że on uzna to za prowokację. Siadywali więc naprzeciw siebie, przedzieleni jedynie powierzchnią kawiarnianego stolika, wymieniając nad nim brązowe i szare zagapienia. Milczeli wtedy, każde zajęte swoimi myślami.

Wieczory nadchodziły coraz wcześniej, a wraz z nimi mrok i chłód. Natura sprzyjała spotkaniom w jego mieszkaniu, przy pianinie i kieliszku czerwonego wina. W tych dniach Debora miała więc stokroć więcej okazji do gry na instrumencie niż w

ciągu wszystkich minionych lat wojny. Korzystała z tego intensywnie, tym bardziej że muzyka sprawiała Brunonowi wyraźną przyjemność. Prosił o utwory, jakie grała także jego matka. Dyskutowali na różne tematy, starannie omijając tylko dwa — wojnę i to, co po niej. Pierwszy był niebezpieczny, mógł stworzyć między nimi barierę nie do rozbicia, drugi zaś — zbyt niepewny, by snuć plany. Chętnie natomiast omawiali wszystkie inne zagadnienia, próbując wspólnie odpowiedzieć na bardzo poważne pytania z gatunku egzystencjalnych, a czasem zaśmiewając się do rozpuku z najgłupszych dowcipów lub wymieniając doświadczenia z dzieciństwa.

Sielankę przerwało nadejście słotnych, późnojesiennych dni. Nagle, bez słowa, Bruno przestał pojawiać się popołudniami w okolicy zakładu fotograficznego.

Tydzień, potem dwa nie dawał znaku życia. Debora zakładała, że musiało stać się coś bardzo złego. Właściwie spodziewała się nadejścia zmiany, ostatnimi czasy Bruno stał się bowiem bardzo milczący, czasem wręcz wydawało jej się, że obecny ciałem, duchem pozostaje gdzieś w innej rzeczywistości.

Wyrwany z niej, okazywał rozdrażnienie i zły nastrój. Nie pytała, co się dzieje, czekała, aż sam powie, czym się martwi. Nie doczekała się. Bruno zniknął z jej życia.

* * *

Debora nigdy nie należała do osób, które bez protestu zgadzają się na to, co przynosi im los. Czekala na niego dwa tygodnie, odczekała jeszcze dwa dni, wreszcie w niedzielę wybrała się na spacer w stronę kamienicy, w której mieszkał Bruno. Minęła dobrze znaną bramę, weszła po schodach i nacisnęła dzwonek.

Stała samotnie w półcieniu klatki schodowej dłuższą chwilę. Nic się nie działo, więc już miała zrezygnować i odejść, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. W ciemnym przedpokoju stał Bruno. Widząc ją, bez słowa cofnął się, czyniąc dla niej trochę

miejsca w przejściu.

* * *

Ledwie weszła do środka, pożałowała swojej decyzji. W mieszkaniu unosił się mdlący zapach zwiertzałego alkoholu i papierosów. Wszędzie walały się porzucone ubrania, które dawno temu utraciły świeżość i właściwe im miejsce. Na stole w salonie stała niedokończona butelka wódki i pojedyncza szklanka. Sam gospodarz wyglądał podobnie źle jak to wnętrze. Wpuściwszy ją do środka, usiadł na sofie, chowając głowę w dłoniach. Milczał, miarowo kiwając się w przód i w tył. Bluzę od munduru miał rozpiętą, koszulę pogniecioną, z jednej strony wystającą ze spodni, na nogach buty, mimo że najwyraźniej nigdzie się nie wybierał. Śmierdział przy tym jak gorzelnia, a gdy podniósł głowę na jej pytanie o to, co się stało, okazało się, że od kilku dni się nie golił. Twarz porastała mu ciemna szczecina, widok, jakiego Debora nie oglądała od początku ich znajomości. Do tej pory Bruno prezentował się zawsze nienagannie.

Po pierwsze, zapach. Dziewczyna otworzyła szeroko wszystkie okna w salonie, wpuszczając do środka świeże, chłodne powietrze. Stała chwilę w przeciągu, czekając, aż mieszkanie nieco się przewietrzy. Potem podeszła do Niemca i usiadła tuż obok. Objęła go ramionami i trwali tak bez słowa, on tępo wpatrzony w dal, ona wtulona policzkiem w jego bark.

Wreszcie Bruno ocknął się z tego pijackiego letargu. Odsunął ją od siebie i przyglądając się, jakby widział młodą Żydówkę po raz pierwszy, spytał:

—Skąd się tu wzięłaś?

—Sam mnie wpuściłeś, nie pamiętasz? Bruno, co się z tobą dzieje?

—Co się ze mną dzieje? — Zerwał się nagle jak oparzony i przytrzymując dziewczynę w miejscu za ramiona, krzyczał na nią z góry: — Nie wiem! Myślałem, że przyjmę to jak mężczyzna. A może

po prostu miałem nadzieję, że dadzą mi spokój.

Puścił ją i podszedł do okna. Tam kontynuował:

— Tyle czasu. Już prawie zdażyłem zapomnieć, kim jestem, jaki noszę mundur. Głupi byłem. Teraz, kiedy Sowieci blisko, dla każdego, nawet beznogiego inwalidy znajdują przydział. Tylko dlaczego taki?

Chwycił ze stołu butelkę i osuszył ją z alkoholu do dna jednym haustem. Debora podbiegła, próbując mu odebrać naczynie, ale spóźniła się. Na brukowanym dziedzińcu kamienicy odbiło się tysięczne echo tłuczonego szkła.

— Dokąd cię wysyłają? — Debora przechyliła głowę, starając się zajrzeć mu w oczy, ale on tylko pokręcił głową. — Nie możesz mi powiedzieć?

— Nie, czemu? Mogę. Ale nie chcę. Rozumiesz?! — znów podniósł głos. Chwycił ją za nadgarstki. Ścisnął tak mocno, że aż zasyczała z bólu i w obronnym ruchu próbowała się uwolnić.

To go tylko rozwścieczyło. Przyciągnął ją do siebie. Debora gwałtownie przekonała się, jak wielka jest między nimi różnica wzrostu i wagi. Przestała się szarpać, bo i tak nie miała szans. Ale na jakikolwiek rozsądek było już za późno. Wionąc wódką, Bruno wysyczał jej do ucha:

— Nie powiem ci, dokąd jadę. Nie chcę. Jest za to coś, czego chcę i co mogę zrobić, skoro już do mnie przyszedłeś. Już od dawna mam na to ochotę. A teraz w dodatku mam okazję.

Schylił się jeszcze bardziej, żeby ją pocałować, na co ona odwróciła głowę. Podniecił go jej opór. Jednym ruchem rozerwał jej bluzkę. Zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na to, co się za chwilę z nią stanie. Na to, co stanie się z nimi. Usłyszała tylko trzask guzików wrywanych z materiału.

„Boże, nie — poprosiła. — Jeśli on taki jest naprawdę, po co kazałeś mi się o tym przekonać? Czyżbym okazała się aż tak naiwna? Ten mundur... Esesmani nie zadają się z Żydówkami. A jeśli już, nie robią tego w dobrych zamiarach”.

— Proszę, nie gwałć mnie — spróbowała ostatni raz, czując, jak coraz bardziej rozgorączkowane ręce mężczyzny biegną w górę i w dół po jej ciele.

Przerwał. Nadal przyciskał ją do ściany, ale przestał walczyć z jej ubraniem. Patrzył tylko zamglonymi przez wódkę oczami.

— Gwałt? Myślałem, że to będzie dla ciebie zaszczyt, spać z Niemcem. W końcu, nie jesteś godna, żeby mieć w sobie... A zresztą... Obawiam się, że i tak jestem zbyt pijany...

Puścił ją. Widać odezwały się w nim jakieś resztki zdrowego rozsądku, bo rzucił krótko:

— Zjeżdżaj stąd, zanim zmienię zdanie.

Ciężkim krokiem powlókł się do sypialni. Z hukiem zamknął za sobą drzwi.

Debora czym prędzej pozbierała swoje rzeczy. Przy wyjściu chwyciła tylko płaszcz i uciekła. Na klatce schodowej doprowadziła się do ładu i z płaczem zbiegła na dół, wprost w zacinający coraz mocniej deszcz.

W mieszkaniu Bruno stał przy oknie, długo podążając wzrokiem za biegnącą dziewczyną. Potem osunął się po ścianie i półleżąc, pograżył ponownie w odrętwieniu alkoholowym. Ramiona drżały mu od bezgłośnego, suchego szlochu.

* * *

Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem... Przyszłaś mnie ratować, a ja potraktowałem cię jak dziwkę. Deboro, wróć. Proszę, wróć i ocal mnie. Proszę...

* * *

Ale świat pozostał cichy i głuchy na jego rozpacz.

* * *

Ziemię objął w swoje posiadanie listopad. Dni stały się krótkie, zimne i deszczowe. W powietrzu unosiła się zapowiedź rychłego nadejścia pierwszych opadów śniegu. Wraz z nimi okupowany

Kraków oczekiwał odmiany, Niemcy zaś jak o zbawienie modlili się o rozkaz ewakuacji. Polaków w większości cieszyła świadomość rychłego nadejścia wojsk sowieckich i perspektywy wyzwolenia spod hitlerowskiej niewoli. Nie cieszyliby się tak bardzo, gdyby mieli świadomość, jakie miejsce w powojennej Europie wyznaczili im pospołu wschodni oraz zachodni alianci...

Na szczęście, na razie mieszkańcy Krakowa nie mieli o tym pojęcia i mogli z optymizmem patrzeć w przyszłość, podczas gdy stacjonującym wciąż jeszcze w mieście jednostkom Wehrmachtu i SS, pracownikom niemieckiej administracji oraz ich rodzinom oczekiwany najazd ze wschodu mroził krew w żyłach.

W jeden z takich pochmurnych, późnojesiennych wieczorów, Debora Singer mocowała się z nieposłusznym zamkiem u tylnych drzwi zakładu fotograficznego. Jego właściciel, a pracodawca dziewczyny, dawno już poszedł do domu. Ostatnimi czasy bardzo źle znosił chłód i wilgoć. Widząc, jak męczy go kaszel, Debora wysłała pana Antoniego do ciepłego łóżka. Nie oponował. Wiedział, że jego młoda pomocnica poradzi sobie doskonale sama z laboratorium fotograficznym, a nawet z klientami, którzy będą chcieli, aby ich sfotografować. Zresztą, ostatnimi czasy interes nie kręcił się najlepiej i pracy nie było zbyt wiele. Nie fotografia stanowiła przecież do niedawna główny cel działalności małego zakładu. Najciekawsze, ważne dla przyszłości Polski wydarzenia rozgrywały się na zapleczu, stanowiącym punkt przerzutowy ruchu oporu niezmiennie, od początku okupacji. Bóg musiał czuwać nad tym miejscem, nigdy bowiem Niemcy nie odkryli, jaką naprawdę działalność prowadzi pan Antoni i jego pracownica. Nie rozpoznali w niej także Żydówki, oczywiście poza jednym, młodym hauptsturmführerem...

On zaś krył się teraz w półmroku, jaki zapewniała mu brama domu po drugiej stronie ulicy i przyglądał się walce dziewczyny z kluczem zamykającym drzwi punktu fotograficznego, tak jak zwykł to czynić wiele razy mijającej jesieni. Tym razem jednak nie czuł

się oczekiwany w tym miejscu. Debora nie rozglądała się dookoła, brązowe oczy nie poszukiwały z nadzieją jego wysokiej sylwetki, wiedział, że nie rozbłyszną pogodnym blaskiem na jego widok.

Niemniej jednak, musiał tu przyjść. Zostało mu bardzo niewiele czasu, następnego dnia miał pożegnać Kraków z samego rana i zameldować się u komendanta oświęcimskiego obozu śmierci. Przed wyjazdem chciał jeszcze tylko pożegnać swą Deborę i przeprosić ją za to, co próbował zrobić podczas ostatniego spotkania. W tym celu, od poprzedniego ranka pozostawał trzeźwy, co fatalnie wpływało na skacowane ciało i stan udręczonej perspektywą nadchodzącego koszmaru duszy. Aby nie siedzieć beczynn timer i nie myśleć o kolejnych dniach, doprowadził nawet do ładu mieszkanie. Ogolił się, wykąpał, znalazł w szafie czystą koszulę i gdy tuż przed wyjściem z domu spojrział w lustro, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie oglądał w nim twarzy zapijaczonego straceńca, tylko dawnego siebie. Może nie prezentował się najlepiej, z poszarzałą cerą, podkrążonymi oczami i głębokimi zmarszczkami, które na obliczu wyrzeźbiło mu zmartwienie, ale bez wątpienia, to był on.

A zadanie, przed którym go postawiono, nie należało do przyjemnych. Oto przez ostatnie dwa lata Bruno Kramer wiódł wygodny żywot w stolicy Generalnej Guberni, z dala od wojennych frontów i, na szczęście, również od zbrodni, popełnianych przez esesowskich towarzyszy broni na Żydach, Polakach, Rosjanach i wszystkich innych narodach podbitych przez Trzecią Rzeszę. Teraz jednak miał sobie szybko przypomnieć, czym naprawdę jest mundur, jaki przyszło mu nosić i dlaczego na jego widok ludzie zarówno w podbitych krajach, jak i w samych Niemczech odwracają z lękiem głowy.

Sytuacja na froncie pod koniec roku czterdziestego czwartego pozostawała dla Niemców ze wszech miar niekorzystna. Alianci powoli, lecz konsekwentnie zaciskali pierścień okrążenia ze wschodu i z zachodu. Hitlerowscy generałowie rzucali do walki

coraz to młodsze roczniki rekrutów, jednak ludzkie rezerwy Trzeciej Rzeszy wyczerpywały się z dnia na dzień. Zaczęto sięgać po ostatnich zdolnych do noszenia broni — personel administracyjny pozostający bez przydziału wskutek utraty kontroli nad coraz większym obszarem za wschodnią granicą Niemiec, policjantów, obsługę obozów zagłady. Tych ostatnich zastępowano starcami i wojennymi kalekami w esesowskich mundurach.

Taka była geneza rozkazu, który Bruno otrzymał w połowie października i który odebrał mu spokojny sen. Przestał spotykać się z Deborą, nie wyobrażał sobie bowiem momentu, kiedy będzie musiał spojrzeć jej w oczy i wyjawić Żydówce, czym ma się teraz zajmować. Bał się słów, jakimi mogła go pożegnać.

Bruno nie miał wyjścia. Pisał do dowództwa z prośbą o zmianę przydziału, niestety, otrzymał odpowiedź odmowną. Myślał o dezercji, ale tego zrobić nie mógł. Prawdopodobieństwo, że zostanie złapany i powieszony na najbliższym drzewie było zbyt duże, poza tym, uciekając, automatycznie skazywał na śmierć brata... Tak więc z rezygnacją przyjmując swój los, czas pozostały mu w Krakowie Bruno postanowił przepić.

* * *

Dzień przed wyjazdem znalazł w sobie jednak tyle odwagi, żeby spróbować rozmówić się z Deborą i oto czekał cierpliwie, aż dziewczyna zamknie drzwi, przejdzie przez ulicę i zbliży się do niego. Dopiero gdy była już bardzo blisko, uświadomił sobie, że przyszedł w mundurze. Nie powinien był tego robić ze względu na nią, ale teraz nic już nie mógł na to poradzić. Wychylił się z bramy, tak by mogła go zobaczyć, jednak coraz mocniej zacinała listopadowa zimna mżawka i dziewczyna, bez parasola, szła ze spuszczoną głową. Zatrzymała się dopiero, gdy tuż przed nią wyrosła para nóg w wypolerowanych do czysta wojskowych

oficerkach. Z trwogą uniosła wzrok, aby popatrzeć na właściciela owych butów.

—Bruno.

—Witaj. — Chciał chwycić jej dłoń, ale szybko cofnęła rękę.

Obróciła się na pięcie i odeszła. Kramer stał chwilę, bez pomysłu na to, co powinien teraz zrobić, wreszcie krzyknął za nią, nie bacząc na zaciekawione spojrzenia przechodniów:

— Zaczekaj! — Stanęła, wtedy dodał: — Muszę z tobą porozmawiać, zanim wyjadę.

Debora zawróciła i gdy była już blisko niego, zapytała:

—Kiedy wyjeżdżasz?

—Jutro. Jutro z rana.

Wtedy stało się coś, czego nie przewidział, tysiące razy wyobrażając sobie przebieg tej ostatniej rozmowy z nią.

Dziewczyna rzuciła się na niego z pięściami.

— Jak mogłeś?! — krzyczała. — Zmarnowaliśmy tyle czasu. Tyle dni, które nam jeszcze zostały! Jak mogłeś!

Przycisnął jej dłonie do siebie, tak by powstrzymać spadające na niego ciosy, później, widząc, że emocje wzięły górę i Debora płacze, a barki zaczynają jej drżeć, przytulił dziewczynę do siebie. Stali chwilę w milczeniu. Potem chwycił ją delikatnie za podbródek i uniół jej twarz ku sobie.

—Nie chciałem tak. Byłem pijany...

—Zrobiłbyś mi krzywdę?

—Wtedy? Nie wiem.

Wyswobodziła się z jego ramion i stanęła do niego tyłem. Chwilę porządkowała w głowie myśli, zanim znowu się odezwała:

— Widzisz, ja... Kiedy otworzyłeś mi drzwi i zobaczyłam, jak wyglądasz, pomyślałam, że stało się coś okropnego. Byłeś w fatalnym stanie. Wydawało mi się, że możesz mnie potrzebować i zamierzałam u ciebie zostać. Na noc, gdybyś chciał.

Głośno wciągnął powietrze w płuca, słysząc jej wyznanie.

— Rozumiesz? — spytała.

Obróciła się w jego stronę i utkwiała w nim intensywne spojrzenie brązowych oczu.

—Dlaczego chciałeś mnie skrzywdzić? Przecież to mogło się stać zupełnie inaczej...

—Deboro, jutro wyjeżdżam do Oświęcimia. Do nadzoru obozu. Nie miałem odwagi, żeby ci to wcześniej powiedzieć. Bałem się twojej reakcji. Bałem się, że mnie znienawidzisz. Trudno mi to wytłumaczyć, ale kiedy do mnie przyszedłaś, pomyślałem, że los sobie ze mnie drwi. Nagle znowu uświadomiłem sobie istnienie tej bariery, którą świat między nami postawił, mnie czyniąc katem, ciebie zaś ofiarą.

—Więc zachowałeś się jak kat.

—Tak. Przyszedłem tu, żeby cię za to przeprosić i pożegnać się. Jeśli możesz, przebacz mi, maleńka. — Kiwnęła głową, wtedy wyciągnął rękę i pogłaskał jej policzek. Przytuliła twarz do jego ciepłej dłoni.— Szkoda mi tylko, że musimy się rozstać w taki sposób...

—Nie musimy. Mamy jeszcze dla siebie cały wieczór. I noc.

Z powrotem znalazła się w jego ramionach. Obok nich przechodzili ludzie, patrzący z pogardą na dziewczynę całującą się z Niemcem. Ale oni nie zwracali uwagi na otaczający ich świat, na przechodniów, zimny wiatr i coraz intensywniej zacinający deszcz. Pomiedzy gęsto padającymi kroplami zaczęły pojawiać się pierwsze płatki śniegu, osiadając z wolna na ich dłoniach i rzesach.

* * *

Nie czułam wyrzutów sumienia, idąc z tobą do łóżka. Nie myślałam o tym jak o zdradzie mego narodu, moich ideałów, pamięci rodziców, siostry, a nawet Dawida. Miłość oślepiła mnie i ogłuszyła, sprawiła, że na całym świecie byliśmy tylko my dwoje — kobieta i mężczyzna, nie zaś para śmiertelnych wrogów. Ty chyba czułeś tak samo, prawda?

Całując się i pieszcząc bez końca, chcieliśmy jak najdłużej zachować tę czarowną chwilę wspólnej bliskości, magiczne wspomnienie, którego nikt i nic nie będzie w stanie nam odebrać. Wiedząc, że niepisane jest nam być razem, a los podarował nam jedynie ten jeden, ostatni wieczór, wznieśliśmy się oboje na wyżyny miłosnego kunsztu, stale odwlekając sen i ucząc się nawzajem tajemnic swoich ciał. W końcu jednak zaspokoiliśmy pragnienie i zmęczenie wzięło nas w swoje posiadanie.

Ocknęłam się w tej przedporannej godzinie, w której noc rozpoczyna nierówną walkę z dniem o panowanie nad światem, jest to ponury czas, kiedy najtrudniej oprzeć się czarnym myślom, gdy wszystko wygląda o wiele gorzej niż w świetle świtu. W nocy musiała poprawić się pogoda, bo przed sobą widziałam jasny promień księżycowego światła rozświetlający drogę z sypialni, aż do wejściowych drzwi mieszkania.

W przeciwną stronę biegł zupełnie inny szlak, utworzony z porzuconych w pośpiechu ubrań. W przedpokoju buty i płaszcze, w progu pokoju części munduru, spódnica i sweter, tuż przy łóżku bielizna. Tylko drewniana proteza podudzia stała w najlepszym porządku, oparta o nocną szafkę.

Twoja twarz wyglądała tak spokojnie w półmroku sypialni. Zniknęło z niej napięcie, wyostrzające rysy, wygładziły się drobne zmarszczki, wywołane stałym grymasem bólu trawiącego twą duszę w ostatnich dniach. Przez krótką chwilę wyglądałeś na szczęśliwego. Nie budziłam cię więc, pozwalając pozostać jeszcze przez moment w błogiej nieświadomości nadchodzącego poranka. Sama nie mogłam już zasnąć, ale starałam się zachowywać jak najciszej, żeby tylko nie zakłócić spokoju mego kochanka. Wstałam i nago wyszłam z sypialni, zamykając za sobą drzwi. W szafie znalazłam wielki sweter z długimi rękawami, w salonie gruby koc wprost stworzony do tego, by okryć nim nogi, i lekturę dla zagłuszenia ogarniającego smutku. Książki, zwłaszcza powieści przygodowe, zawsze wciągały mnie swą treścią i

przenosiły do innej rzeczywistości, jeśli akcja była wartka, pełna niespodzianek kryjących się w każdej kolejnej stronicy, zapomniałam o całym świecie, w pełni utożsamiając się z przeżyciami bohatera. Dzięki lekturom przetrwałam mroczny czas wojny, pozwalały odpędzić mi choć na chwilę przerażenie, poczucie beznadziei, a chwilami pomagały zagłuszyć nawet żałobę po bliskich.

Powieść, którą czytałam wówczas, z pewnością należy zaliczyć do udanych. To była chyba relacja z podróży do Afryki. To, że stoisz w drzwiach, uświadomiło mi dopiero skrzypnięcie desek podłogi uginających się pod twym ciężarem. Nieco jeszcze nieprzytomna podniosłam głowę. Opierałeś się o framugę i uśmiechałeś się do mnie.

— Kocham cię, wiesz? — powiedziałaś, podchodząc bliżej.

— Słowa są takie tanie, kiedy wiadomo, że nie będzie dalszego ciągu — odparłam.

Uśmiech zniknął z twojej twarzy.

— Nie mogę cię ze sobą zabrać.

— Nie pojechałabym z tobą.

— Więc o co chodzi? — Usiadłeś przy mnie i otoczyłeś ramionami, tak że moje ucho łowiło regularne uderzenia twego serca.

— O nic, Bruno. Po prostu, żał mi tego wszystkiego, czego nie będziemy mieli. Wiem, że mnie kochasz i powinnam się cieszyć, bo... Bo to znaczy, że mam twoją wzajemność, a przecież cieszyć się nie mogę.

— Spotkaliśmy się w złym czasie, maleńka.

— Gdyby nie wojna, nie spotkalibyśmy się nigdy.

— Nie wiadomo, miałaś przecież rodzinę w Niemczech.

— Tak, właściwie mogłabym przyjechać do Schwarzwaldu na wakacje. A co, jeśli byłabym już mężatką?

— Nic, spotykałibyśmy się wtedy w stodole, na sianie.

— Myślisz, że zdradziłabym z tobą męża?

—*O, jestem pewien, że tak.*

—*Jesteś strasznie zarozumiały, wiesz?*

—*Znam swoją wartość, maleńka. A co, może było ci ze mną źle?*

Siedzieliśmy tak przytuleni, plotąc trzy po trzy, gadając o niczym i snując dalej parafilozoficzne rozważania, aż stwierdziłeś, że zmarłam i najwyższa pora wracać pod ciepłą pierzynę.

Do twego odjazdu zostało jeszcze kilka godzin. Nie zabierałeś ze sobą prawie nic, walizka stała spakowana w przedpokoju, ten czas mogliśmy więc poświęcić sobie. Zdjąłeś ze mnie sweter...

* * *

Ranek wstał mroźny, pierwszy tej jesieni lód skuł kałuże, na szybach pojawiły się wymalowane mrozem kwiatki, nadając złudne wrażenie piękna ponuremu, listopadowemu światu. Jeszcze tylko gorący prysznic, parująca poranna kawa, wypalony w pośpiechu papieros i już Hauptsturmführer Bruno Kramer stał w przedpokoju swego krakowskiego lokum, gotowy do drogi, otwierającej przed nim nowe wyzwania, których w żadnym razie nie chciał podejmować.

Debora tkwiła z boku tej sceny, patrząc, jak Bruno wciąga na nogi ciężkie wojskowe buty, zapina płaszcz, wysoko stawia wokół szyi poły kołnierza, by chronić się przed wiatrem.

— Musisz? — spytała raz jeszcze. Głos jej wahał się między tonem błagania i prowokacji, jakby na sam koniec pragnęła wywołać awanturę. Może tak byłoby im lżej się żegnać.

Jednak Bruno pilnował, by tak się nie stało. Obrócił się więc ku niej i ukrył całą jej postać w uścisku swych potężnych ramion.

— Sam zadawałem sobie to pytanie setki razy. Wiesz, że muszę. Inaczej byłbym dezenterem. Nawet gdyby udało mi się ukryć gdzieś do końca wojny, choć to mało prawdopodobne, oni

mają Hugona. Uciekając, skazałbym go na śmierć. Mnie by pewno i tak dopadli. Poza tym, bądźmy uczciwi — nikt mnie na siłę do SS nie przyprowadził. Sam się zgłosiłem.

—Nie wiedziałeś przecież, jak to naprawdę będzie wyglądać!

—Czyżby? A może nie chciałem wiedzieć? Może po prostu pozostałem ślepy i głuchy na wszystkie zapowiedzi piekła, jakie oddziały, do których należę, chcą stworzyć na ziemi? Pragnąłem być jednym z nich, superżołnierzem, marzyłem o tym, by należeć do elity. Nadczłowiek. Idiota. No, ale za głupotę się płaci. Przez długi czas mi się udawało. Teraz przyszła moja kolej na zabijanie!

—Przestań! — Odsunęła się od niego gwałtownie i zasłoniła sobie uszy. — Nie chcę tego słuchać!

—A jak myślisz, po co tam jadę?

—Nie mów mi, wolę nie wiedzieć. Wolę cię pamiętać takim, jakim cię znałam do tej pory.

—Właśnie. Ja też tak wolę. Dlatego nie mówię „do widzenia”, tylko „żegnaj”.

—Zegnaj, Bruno.

* * *

Wychodząc, zamknąłem za sobą drzwi. Gdybym tego nie zrobił, stałabyś w progu mieszkania, patrząc w długą studnię klatki schodowej. Ja tonąłbym w mroku korytarza, ty zaś byłabyś świetnie widoczna na tle światła z przedpokoju. Może nie mogąc oprzeć się pokusie, obróciłbym się, aby popatrzeć raz jeszcze w twoje brązowe oczy. Spojrzenie to stanowiłoby kres mojej odwagi. Pociąg do Oświęcimia miałby o jednego pasażera mniej. Dlatego zamknąłem drzwi.

Są dwa rodzaje odwagi. Nie cenię wysoko tej graniczącej z głupotą brawury, każącej żołnierzowi gnać naprzeciwko kul z gniewnym okrzykiem, forsować linie obronne wroga, narażać życie dla mniej lub bardziej wydumanego pojęcia ojczyzny. O ten rodzaj dzielności nie

dbam, bo sam niezbyt obawiam się śmierci, a myśl o niej potrafię skutecznie odpędzić, jeśli posiada się taką umiejętność, to męska odwaga na polu bitewnym dewaluuje się, choćby na piersi wisiąco wiele medali.

Cenię zaś ludzi, którzy potrafią się zdobyć na odwagę cywilną, iść pod prąd, głośno wypowiadać własne przekonania, reagować na dziejącą się niesprawiedliwość. Walczyć o własne szczęście. Tego daru nie otrzymałem od losu. Bałem się, że zadania czekające u celu podróży pozbawią mnie wszelkich ludzkich odruchów, że mój umysł taką właśnie obronę wybierze w odpowiedzi na zbrodnie, jakie będę musiał popełniać. Utracę wtedy duszę i nawet jeśli doczekam innych czasów — one już nie będą dla mnie, boja na zawsze pozostaną przynależny dniom totalitaryzmu, w których Niemcy zakwestionowali własne człowieczeństwo.

I dlatego wiem, że gdybym jeszcze ten jeden, jedyny raz spojrział w twoje oczy, musiałbym wrócić do ciepłego mieszkania i wielkiego łóża w opromienionej wschodzącym słońcem sypialni, gdzie znalazłbym cię z głową na białej poduszce, ciałem okrytym puchową pierzyną, całym jestestwem otulonym atmosferą snu i niedawnej rozkoszy.

CZĘŚĆ DRUGA

MIŁOŚĆ

Gliwice, ostatni miesiąc roku czterdziestego piątego

POGRAŻONE W GRUDNIOWYM PÓŁMROKU miasto powoli szykowało się do Wigilii. Mimo że od zakończenia działań wojennych na tym terenie minął już prawie rok, nie wszyscy będą mogli w spokoju świętować Gwiazdkę. To górnośląskie miasto stało się istną wieżą Babel, gdzie ścierały się ze sobą wędrujące masy ludzi. Przedwojenni gliwiczanie, porozumiewający się ze sobą po niemiecku, śląsku lub dziwną mieszanką polskich i niemieckich słów, wsiadali do pociągów udających się na zachód, z których zaledwie przed chwilą wysiedli polscy repatrianci ze Lwowa i Wilna. Zaciągający na sposób wschodni przybysze, wyrwani ze swych domów, do których ciągle jeszcze mieli nadzieję wrócić, przyglądali się z mieszaniną ciekawości i odrazy opuszczającym miasto Niemcom. Ci oczywiście także żywili przekonanie, że pewnego dnia Gliwice znów powitają ich z otwartymi ramionami jak dawno niewidziane dzieci. Mylili się jedni i drudzy.

Wśród przyjezdnych znalazła się także Debora Singer, ściągnięta tu zaledwie miesiąc wcześniej z Krakowa przez narzeczonego, Dawida Rosnera.

Dawid przybył do Gliwic jako czerwonoarmista, żołnierz sił zbrojnych ZSRS. Po klęsce we wrześniu roku trzydziestego dziewiątego przebił się na wschód i tam został internowany jako oficer wojska polskiego. Zwolniono go jednak w roku czterdziestym pierwszym, dając szansę walki z jednym z okupantów przy boku drugiego. Rosner — komunista z przekonania —

chętnie przystał na te warunki i wykorzystywał szansę, mszcząc się na Niemcach wszędzie, gdzie tylko nadarzyła się okazja. A miał ich za co nienawidzić. Stracił bowiem wszystkich krewnych, liczną rodzinę w krematoriach Treblinki i Oświęcimia. Ta smutna prawda z całym okrucieństwem dotarła do Dawida dopiero, gdy powrócił do kraju i rozpoczął poszukiwania przez Czerwony Krzyż. Ustalić, kto gdzie zginął nie było tak trudno, ponieważ Niemcy prowadzili skrupulatne rejestry swoich ofiar. Na liście osób poszukiwanych przez młodego Rosnera, poza matką, rodzeństwem, dziadkami, licznymi ciotkami, wujkami i kuzynami, znalazła się także przedwojenna miłość, panna Singer. Informacje o jej losie okazały się jedynym jasnym punktem wśród przytłaczającego sieroctwa, jakie nagle spadło na skołatanego Dawida. Kilka długich listów przesyłanych w pośpiechu między Krakowem a Gliwicami i oto Debora znalazła nowy dom w tym mieście na zachodnim krańcu Górnego Śląska.

* * *

Dawid do Debory:

Gliwice, dnia 14 sierpnia roku 1945

Droga Deboro!

Żyjesz... Nawet nie wiesz, jak bardzo ucieszyła mnie ta informacja! Do zwycięstwa nad hitlerowcami szedłem z Armią Czerwoną ze wschodu i wyzwalałem po kolei niemieckie obozy śmierci. Pełne były ludzi podobnych chodzącym i oddychającym szkieletom. Kości obciążone skórą, pozbawione ciała i mięśni.

Żywe trupy, obleczone w podarte łańchmany. Kobiety i mężczyźni o wielkich, błagających o jedzenie oczach. Dzieci prawie wcale... Wielu nie udało nam się uratować. Umierali od chorób i skrętu kiszek. Nie wiedzieliśmy początkowo, że człowiekowi zgłodzonemu nie można dać na raz jeść zbyt wiele. Niektórzy marli, mimo że z pozoru nic, poza skrajnym wycieńczeniem, im nie dolegało. Wyglądało to tak, jakby po prostu dłużej żyć nie chcieli. Pewnie tak było — zostali sami na świecie, ostatni z rodziny, żywi, choć powinni być martwi, jak ich mężowie, żony, dzieci. Jak cała moja Rodzina! Wszyscy nie żyją, Deboro, wszyscy. Poza Tobą, Kochana moja.

Szukałem Cię tam. Nie znalazłem. Zaglądałem w oczy spotykanym w obozach kobietom. Przeszukiwałem listy więźniów, baraki, stosy trupów, których nie zdążyli ukryć uciekający zbrodniarze, usypane tak wysoko, że zasłaniały niebo. Tylko w krematoryjnym popiele nie grzebałem — nie oddałby mi swoich tajemnic, nawet pod groźbą przemienienia na pył. Pozostawiłem też w spokoju groby masowe. Tam ludzi pod cienką warstwą ziemi leży masa, setki, tysiące. Nie znalazłbym Cię. Przepraszam, że od tych straszliwych obrazów rozpoczynam mój list. Nie opuszczają mnie one w dzień i w nocy. Prześladowają, nie pozwalają spokojnie spać, ani żyć, ani jeść, ani nawet cieszyć się, że ocalałem. Torturują mnie, chociaż jestem wszak po stronie ofiar, nie katów!

Tu, gdzie teraz jestem, mogę się chociaż częściowo zemścić. Odplacić hitlerowskim bestiom za zbrodnię, jaką popełnili na moim Narodzie, mojej Matce, Bratu i Siostrach. Na wszystkich. Dość już o tym, bo ręce mi drętwieją i umysł się miesza. Wracam do świata żywych. Winien Ci jestem wyjaśnienia...

Gdy dostałem z Czerwonego Krzyża list z potwierdzeniem, że żyjesz, odprawiłem prawdziwy taniec radości. Zaraz jednak posmutniałem — nic przecież o Tobie nie wiem. O Twoich wojennych losach, o tym, jak udało Ci się przeżyć, co robiłaś w

czasie, gdy ja milczałem... O tym, czy nie masz do mnie żalu za to milczenie, za nieobecność. Opuściłem Cię, Deboro, i poszedłem walczyć z Niemcami o Polskę. Zagubiłem się na wojennych ścieżkach. O moich losach opowiem Ci dokładnie, gdy się spotkamy (na co mam nadzieję), w każdym razie początkowo nie mogłem pisać z przyczyn ode mnie niezależnych, potem zaś wysłałem kilka listów na Twój lwowski adres, jednak nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

Mieszkam teraz w śląskim mieście Gliwice. Niestety, żyjącym na tych terenach Niemcom wciąż wydaje się, że „Gliwice” to tak na chwilę i zaraz z powrotem będzie tu Gleiwitz... Skutecznie przekonujemy ich o tym, że są w błędzie. Setkami wsadzamy do pociągów i wysyłamy na zachód. Niech sobie tam jadą i niech będą przekłęci. Moją rolą jest wyłuskiwanie młodych mężczyzn z tłumu staruszków, kobiet i dzieci. Sprawdzamy ich dokładnie. Większość niestety musimy wypuszczać (nie sposób zabić każdego syna tego bestialskiego narodu!), często jednak trafiają się prawdziwe perełki — esesmani. Na początku każdy twierdzi, że owszem, był w SS, ale w kuchni, orkiestrze albo służbach łączności. Aniołki prawdziwe. Wyobrażasz to sobie? Na szczęście moi ludzie są bardzo oddani sprawie i potrafią dogrzebać się do prawdy o tych parszywych diabłach.

Mszczę się, Deboro, w imieniu tych, którzy już zemścić się nie mogą. Mam nadzieję, że to, co robię, przywróci światu równowagę, a mnie spokój... Znów ponury ton. A przecież mogąc pisać do Ciebie, czuję radość! I mam dla Ciebie propozycję. Gliwice są przez wojnę prawie nietknięte. W gruzach leży kilka kamienic, spłonął teatr, zniszczono kilka innych budynków. Poza tym — niemal raj, zwłaszcza w porównaniu z Warszawą na przykład (widziałaś, co hitlerowcy zrobili ze stolicą?!). Niemcy wyjeżdżają, przyjeżdża wielu lwowian, wilnian, co dzień widzę kolejne znajome twarze. Mieszkań

sporo, luksusy — łazienki, toalety, bieżąca woda w kranie. Ja sam mam mieszkanie w okolicy tutejszego dworca kolejowego. Co prawda tylko dwa pokoje, za to duże, z ładną, widną kuchnią i oczywiście ze wszystkimi udogodnieniami. Mimo że pracy mam dużo, smutno mi samemu. Tęsknię za Tobą, jak tęskniłem przez te wszystkie lata, gdy Cię nie widziałem.

Przyjedź do mnie, Kochana! Wiem, że to trochę szalone — po tylu latach osobno, po czasie, który uczynił z nas zupełnie innych ludzi, niż w roku '39. Kto wie, czy poznalibyśmy się w tłumie? Oboje dorośliśmy i pewnie postarzeliliśmy się bardziej, niż wskazują na to nasze metryki. Mimo wszystko, jeśli jeszcze mnie pamiętasz, zachowałeś w sercu resztki sympatii do swego narzeczonego — przyjedź. Kupię Ci bilet, urządzę dla Ciebie pokój, wyjdę po Ciebie na dworzec! Jeśli chcesz, to sam przyjadę do Krakowa i pomogę spakować Twoje walizki. Spróbujmy coś zbudować od nowa. Żyć razem, tak jak kiedyś planowaliśmy. Ja czekam. Wszystko przyjmę i wszystko zrozumie. Zobacysz — zmężniałem i zmądrzałem na wojnie.

Jednak kocham Cię nadal tak samo.

Czekam. Dawid Rosner

* * *

Debora do Dawida:

Kraków, dnia 30 sierpnia 1945 roku

Dawidzie Najmilszy!

Wciąż i wciąż czytam Twój list. Nie mogę przestać, wiesz? Mimo że piszesz o okropnych rzeczach. Wiele z tego, co było losem ludzi, których tak żałujesz, sama przeżyłam... To, że żyję, zawdzięczam kilku oddanym przyjaciołom i odrobinie szczęścia.

Niestety, zabrakło go moim Rodzicom i Siostrze. Do dnia dzisiejszego (a dziś dopiero dotarła od Ciebie korespondencja), myślałam, że poza Grażynką Wilinianką nie został na tym świecie nikt z mojego dawnego życia. Nagle jednak — Ty! Masz rację, Dawidzie, gdy podejrzewasz, że mogę mieć do Ciebie żal. Wiele razy złorzeczyłam Ci w myślach, a czasem na głos, gdy było mi źle, samotnie, strasznie. To było irracjonalne, jednak trudno objąć rozumem to, co tu przeżyliśmy. Ciągły strach, ciągłe zagrożenie, śmierć stale dysząca w kark. Ale Ty przecież także nie spędziłeś tego czasu w sanatorium, prawda? Dziś cieszę się, że moje przekleństwa nie dosięgły Cię tam, gdzie byłeś podczas wojny. Gdziekolwiek wtedy byłeś, bo przecież nadal nic właściwie nie wiem na ten temat...

Pisziesz, że wojna nas zmieniła. W moim przypadku to zdecydowanie jest prawda. Nie udało mi się zachować żadnego naszego wspólnego zdjęcia, ale pamiętam to, które zrobił nam Twój brat w Zaduszki, na cmentarzu Łyczakowskim. Pamiętasz? Byliśmy zakochaną parą szczeniaków. Roześmiani, wpatrzeni w siebie, uroczy po prostu. Zamknę oczy i widzę nas razem we Lwowie. Tamtego świata już nie ma! Tamtych nas też nie. Nie jestem pewna, czy ta nowa, starsza, dojrzała „ja” spełni Twoje oczekiwania. Widzę, jak zmieniałam się sama i nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co stało się z Tobą! Z Twojego listu wynika, że jesteś teraz kimś ważnym i groźnym... Czy potrafię stanąć wobec dzisiejszego Dawida ze wspomnieniem Ciebie z naszej wspólnej, szczęśliwej przeszłości?

Cieszę się, że żyjesz, Dawidzie. To najlepsza wiadomość, jaką otrzymałam od bardzo, bardzo dawna. Jednak boję się do Ciebie przyjechać. W Krakowie, poza kilkoma przyjaciółmi, nie trzyma mnie nic — pracę mam mało ciekawą, rodziny brak, mieszkanie o fatalnym, typowo powojennym standardzie. Toaleta w podwórku, jedyny kran z wodą na korytarzu. Gdzie mi tam do gliwickich wygód! W dodatku nawet przyjaciele

przebąkują o tym, by stąd wyjechać. Za blisko stąd do Oświęcimia, który truje powietrze i psychiki nasze swymi trupimi wyziewami...

Mimo wszystko myślę, że nie powinnam przyjeżdżać. Boja, w przeciwieństwie do Ciebie, nie jestem zupełnie sama, wiesz? Kilka dni temu urodziłam synka, Piotrusia. Celowo wybrałam dla niego takie nieżydowskie imię. Nie obrzezałam go także. Chciałabym, by w życiu miał lżej ode mnie. Może go nawet ochrzczę, waham się jeszcze. W każdym razie — mam dziecko, Dawidzie. Mojego małego, kochanego syneczka. Dla mnie jest teraz całym światem i najważniejszą mężczyzną! Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie będziesz chciał walczyć o moją uwagę z dzieckiem.

Rozumiem to i dziękuję Ci jeszcze raz za list i wieści.

Debora

* * *

Dawid do Debory:

Gliwice, dnia 30 września 1945 roku

Ukochana!

Wybacz długie milczenie. Twój list dotarł do mnie szybko. Po prostu rozmyślałam nad wiadomościami, jakie od Ciebie otrzymałam. Masz dziecko... Faktycznie, jako zakochanemu w Tobie mężczyźnie trudno mi pogodzić się z tym, że jego ojcem jest ktoś inny. Nie piszesz, kto to taki, co skłania mnie do myślenia, że wolałabyś o nim zapomnieć. Może się łudzę, ale tak jest mi łatwiej. Napisz, proszę: czy Twój synek ma ojca? Czy ma tylko matkę, a ja mogę po prostu zostać jego tatą jako Twój mąż? Napisz „tak” i przyjedźcie oboje. Powiedz tylko, kiedy

chciałabyś tu przybyć, bym mógł wszystko przygotować. Zbić kołyskę, pomalować mniejszy pokój na jakiś jasny, optymistyczny kolor, wyszukać najładniejszego misia spośród tych potworków, jakie można teraz dostać na czarnym rynku... Jak widzisz, zamierzam być Piotrusiowi tatą, jeśli tylko mi pozwolisz. Jeśli pozwolicie mi oboje! Imię dałaś małemu faktycznie nietypowe. Po naszymu byłoby Szymon, prawda? Ale co ja piszę, po jakiemu „naszemu”. Ani Ty, ani tym bardziej ja nie byliśmy chowani w ortodoksji. Ja jestem od niej wolny w stu procentach. Dobrze zrobiłaś! Z tym obrzezaniem też. Prawdę mówiąc, to barbarzyński zwyczaj i religijny przeżytek. No i oznaczenie na całe życie. Kto wie, co będzie za parę lat.

Czekam na Was niecierpliwie,
Twój Dawid

* * *

Debora do Dawida:

Kraków, dnia 10 października roku 1945

Dawidzie najlepszy, najukochańszy! TAK!

Mój synek ma tylko matkę. Ojca chętnie przyjmiemy, jeśli zobowiąziesz się nie pytać mnie o przeszłość i kochać go jak własne dziecko. Zresztą jego nie można nie kochać, taki jest mały, słodki i zawsze radosny, a synkiem Twoim stanie się przecież naprawdę!

Przyjeżdżam natychmiast, gdy tylko pozamykam tu sprawy. Wyjeżdżać po nas nie musisz, ja niewiele mam, a to, czego nie uda mi się spakować, sprzedam albo oddam komuś. Teraz wszyscy cierpią niedostatek, na pewno komuś przydadzą się moje skromne meble i garnki. Nasze ubrania i wyprawka Piotrusia zmieszczą się w jednej walizce. Boże, gdy pomyślę, jak wiele bagaży musiałabym wziąć ze sobą, gdybym miała

zabrać „tylko najpotrzebniejsze rzeczy” z rodzinnego domu we Lwowie, a jak mało mam teraz... Choćby książki — pamiętasz, ile było ich w moim panieńskim pokoiku? A fortepian? Jak zabrałabym do Gliwic ukochany instrument? W takiej sytuacji myślę, że lepiej mi było grać na skrzypkach! Jednak tamtego domu już pewnie nie ma. Moje rzeczy przepadły i nawet nie wypada po nich płakać, skoro utraciliśmy oboje wszystkich najdroższych nam ludzi. Poza sobą oczywiście. I jednym małym, zawsze głodnym człowieczkiem, który woła mnie ze swego łóżeczka. Muszę już kończyć mój list. Nadam go jak najszybciej, jeszcze dziś. Datę i godzinę naszego przyjazdu wyślę Ci telegramem. Będzie to bardzo niedługo.

Twoja na zawsze,
Debora

* * *

Telegram przyszedł pod koniec października. Dawid zdążył tylko pomalować pokój Piotrusia na bladoniebieski kolor i zbić kołyskę. Misia szukali już razem...

Wyjazd Brunona okazał się dla Debory przeżyciem większym, niż się spodziewała. Nie chodziło nawet o miłość, której w końcu pozwolili na moment w pełni obudzić się do życia. Nie liczyła przecież na ciąg dalszy. Nawet go nie chciała. Jak to tak —żyć z esesmanem? Gdzie? W Polsce? W Niemczech? Może w Palestynie? A przeszłość? Zdawała sobie sprawę, że zbyt wiele ich dzieli. Pokłady trupów. Zbrodnie, o których Bruno nie mówił, ale przeżywał je przecież wciąż od nowa, gdy nagle zatrzymywał się w pół kroku, milkł, pił zbyt dużo. Zbrodnie własne i te popełnione przez podobnych mu ludzi. Zbrodnie, jakich jeszcze miał się dopuścić. I nienawiść, która w niej wzbierała na myśl o tym, co zostało zniszczone przez butnych hitlerowców, mordujących ludzi metodycznie, na zimno. Łatwo mogła wyobrazić sobie swego kochanka w

zupełnie innej sytuacji, niż widywała go zwykle. Nie w kawiarnianym ogródku, a pośród ruin. Nie eleganckiego, przystojnego i kulturalnego mężczyznę, tylko dziką bestię, drapieżnika z karabinem maszynowym w dłoni. Zabranego ze świata ukochanych motocykli i postawionego przed tłumem przestraszonych ludzi, starców, kobiet i płaczących dzieci, czekających, aż przemówi broń w dłoni kata... Zbyt wiele razy była świadkiem podobnych sytuacji... Nie, dla nich obojga razem nie istniało żadne „żyli długo i szczęśliwie”. Zdecydowanie zabroniła sobie snuć na ten temat jakiejkolwiek marzenia. Zresztą, Bruno też nie miał złudzeń. Rozstali się przecież tak definitywnie: „Zegnaj”. To słowo oznacza, że już się więcej nie zobaczymy, nie będzie „nas”. Teraz, gdy wojna zbliża się do końca, los nas rozdziela, jesteśmy znowu „ty” i „ja”. Osobni, nie do połączenia. Jeśli przeżyjemy, każde pójdzie w swoją stronę. Dobrze, żeśmy spotkali się w momencie, gdy oboje tego potrzebowaliśmy. I tyle. Taką też postawę przyjęła Debora wobec swojej miłości. Zagłuszane i przeganiane, uczucie umilkło w niej dosyć szybko, ukryte na dnie serca jak cenna, ale niechciana pamiątka. Szkoda ją wyrzucić, lecz patrzeć w nią nie można, bo zbyt boli.

* * *

Wstydziała się sama przed sobą, ale tym, za czym tęskniła najbardziej, było poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała jej świadomość jego bliskości. Wiedziała, że zawsze może na niego liczyć. Dowiódł tego wielokrotnie, ratując ze śmiertelnie niebezpiecznych opresji. Zjawiał się nieproszony i wyciągał do niej rękę. Teraz została sama z problemami, które, choć nie tak wielkie, by ją zabić, zdecydowanie lepiej byłoby mimo wszystko z kimś dzielić. A tymczasem nie mogła być szczerą nawet przed Grażynką...

* * *

Wyszłam z twojego mieszkania godzinę po tobie, Bruno. Na stole w kuchni zostawiłeś mi sporą kwotę w kopercie z napisem: „Proszę, zaopiekuj się Bandytą”. Zabrałam więc ze sobą białego kota i pieniądze i zamknęłam na zawsze za sobą drzwi. Po wkroczeniu do Krakowa oddziałów sowieckich do twojego dawnego lokum wprowadził się jakiś wysoko postawiony oficer. Zabawne, prawda?

Szybko zorientowałam się, że jestem w ciąży. Spuchły mi nogi, piersi i brzuch. Stałam się płacziwa, ospała, nie mogłam patrzeć najedzenie. Martwił się o mnie pan Antoni, niepokoiła Grażyna i Krzysztof. Zresztą oni oboje, świeżo upieczeni rodzice, szybko domyślili się prawdy. Mojego stanu nie mogłam ukryć, nie chwaliłam się jednak tożsamością ojca. Przyjaciele nie pytali, widząc pewnie, że nie mam ochoty na zwierzenia. Wojna to taki czas, kiedy rodzi się wiele dzieci znających tylko matkę. Miałam sporo kontaktów w podziemiu, żyło się wtedy szybko, intensywnie, mogłam dać się ponieść uczuciom... Nie ganili mnie za to. Chyba nie brali pod uwagę ciebie jako ojca. W przeciwieństwie do moich sąsiadów. Tym nie podobałam się od początku. Niby wszystko było ze mną w porządku — młoda, samotna dziewczyna, uciekinierka ze Lwowa. Kulturalna, dobrze wychowana, papiery ma w porządku, co dzień wychodzi do pracy, mężczyźni do domu nie sprowadza, jednak jest w niej coś niepokojącego, coś... żydowskiego jakby? Do tego prowadzi się z jednym takim podobnym do Szkopa. Nie słychać, w jakim języku rozmawiają, tak cicho mówią. Pewnie zatem po niemiecku! Dziwka, jak nic. A teraz jeszcze proszę — chłop zniknął, ona w ciąży. No to ja się pytam, kochana sąsiadko, kto ją zbrzuszył, jak nie on?

Musiałam się wyprowadzić. W tamtych dniach w Krakowie ciężko było o lokum. Niemcy co prawda masowo opuszczali miasto, jednak ich miejsce zajmowali uchodźcy ze zburzonej Warszawy, po przejściu frontu także Rosjanie. Przygarnęli mnie wierni przyjaciele Orszańscy. Kot zamieszkał w zakładzie fotograficznym starego pana Antoniego. Widywaliśmy się

codziennie, pracowałam bowiem aż do pierwszych dni lata, tak długo, aż kręgosłup nie zaczął buntować się przeciw długiemu staniu w upale, z dodatkowym obciążeniem w postaci rosnącego brzucha. Pracy mieliśmy z panem Antonim mnóstwo. Po wyzwoleniu więcej niż za okupacji — ludzie potrzebowali zdjęć do nowych dokumentów albo po to, by wysłać te papierowe świadectwa własnego istnienia odnalezionym bliskim. Sąsiedni zakład foto zlikwidowano, właściciela wywieziono w nieznanym kierunku. W końcu obsługiwał Niemców! Zostaliśmy więc z panem Antonim sami z robotą, która paliła nam się w rękach. Odpowiadało mi to — raz, że praca jest najlepszym lekarstwem na smutki, dwa, że mogłam odłożyć trochę pieniędzy, tak potrzebnych przyszłej matce.

Popołudniami pomagałam Grażynce przy jej nowo narodzonej córki. Odwdzięczałam się w ten sposób za dach nad głową, ale też sama uczyłam się obsługi niemowlaka. Wieczorami kładłam się do łóżka zmęczona, ale z dnia na dzień spokojniejsza. Wsłuchiwałam się w swój organizm, czekając na pierwsze ruchy rosnącego we mnie maleństwa. Czułam, że to syn i szybko zaczęłam nazywać go Piotrusiem.

Początkowo buntowałam się przeciw temu, że mam zostać matką. Czułam do ciebie irracjonalny żal, że mnie zostawiłeś samą, z problemem. Tak z początku myślałam — problem. Zastanawiałam się nawet nad definitywnym jego rozwiązaniem... Nie starczyło mi jednak odwagi — jak to tak, ja, cudem ocalona Żydówka, chcę usunąć ciężę? Zabić własne dziecko? Nawet jeśli jego ojcem jest Niemiec, nie mam prawa tego zrobić. Przecież rosnące we mnie życie nie powstało z gwałtu. Chciałam ciebie i to, co się między nami stało, było dobrowolne. Z miłości. Szybko zarzuciłam więc czarne myśli i przelałam pozostałe we mnie uczucia, całą samotność na naszego synka. O tobie starałam się zapomnieć, choć okazało się to trudne — Piotruś nie był do mnie podobny — jasny, słodki blondynek z oczami niebieskimi jak

bławatki.

* * *

Dawid czekał na nas na gliwickim dworcu, przemoknięty od listopadowego deszczu. Lekko przygarbiony, nieco zbyt szczupły brunet. Smagły i przystojny mimo źle skrojonego munduru oficera Ludowego Wojska Polskiego. Poeta o długich palcach. W dłoni trzymał bukiet róż. „ Skąd on wziął róże o tej porze roku ?” — pomyślałam na jego widok. A potem wszystko potoczyło się tak szybko. Wsiadłam z pociągu, tuląc do siebie Piotrusia. Dawid zauważył nas i podbiegł, by uwolnić moje ręce od ciężkiej walizki. To było takie dobre, ciepłe i naturalne! Objął mnie i pocałował. Chwycił Piotrusia, podniósł go wysoko do góry i oznajmił mu z triumfalną miną:

— Witaj, mały człowieku. To ja, twój tata.

Po tylu latach niedoli, strachu, prześladowań poczułam nagle, że istnieje dla mnie nadzieja. Szansa na to, że świat wróci jeszcze na swoje miejsce.

* * *

Nieco ponad miesiąc... Krótco miałam się cieszyć tym, jakże wytęsknionym spokojem i ukochanym Dawidem. Na razie jednak — było mi dobrze. Trzymając się za ręce, poszliśmy do domu. Śmialiśmy się i przekrzykiwaliśmy, próbując koniecznie natychmiast opowiedzieć sobie wzajemnie przeżycia sześciu osobnych lat. Urządzaliśmy wspólnie nasze gniazdko i planowaliśmy szybki ślub. Było tak, jakby ten czas rozłąki nie istniał. Nasza młodzięcza miłość zaśniła nowym, dojrzałym blaskiem, mądrzejsza i głębsza jeszcze. Oboje wnosiliśmy ze sobą do tego związku garb przeżyć, którymi nie bardzo chcieliśmy się ze sobą dzielić. Ja — konspiracyjną przeszłość i ciebie — o tych sprawach Dawid wiedzieć nie powinien. Na szczęście nie pytał. On z kolei mroczne doświadczenia, jakie stały

się jego udziałem podczas wyzwolenczego marszu na zachód w szeregach Armii Czerwonej. Ta ciemność zatruwała nadal wrażliwą duszę Dawida. Nie pozwalał jej się ulotnić, co dzień udając się do gliwickiego aresztu, gdzie podsycił mroczny płomień zemsty, przesłuchując zbrodniarzy wojennych. Stwardniał i stał się bezwzględny, a nawet okrutny. Wiedziała, w jaki sposób zarabia na chleb. Nie winiłam go za to, wręcz przeciwnie, po cichu mu kibicowałam. Wszyscy wtedy dyszeliśmy żądzą odwetu. Codziennie czytaliśmy w gazetach reportaże z obozów śmierci, widzieliśmy zdjęcia zniszczonych miast, zabitych ludzi, porażał nas ogrom zbrodni. My, ocalali Żydzi, dodatkowo uświadamialiśmy sobie, że oto z wojennych mroków wyłania się nowy świat. Świat, w którym być nas nie powinno. Tak, jak naszych sióstr, braci, ojców, matek i naszych dzieci. Trwaliśmy jednak, wbrew wyrokowi losu. Mszcząc się na oprawcach naszych bliskich wszędzie tam, gdzie było to możliwe.

* * *

Debora, świeżo przyjęta do grona mieszkańców Gliwic, cieszyła się niespodziewaną odmianą losu i bliskością sprawdzonych przyjaciół. Dołączyli bowiem do niej wkrótce Krzysztof i Grażyna Orszańscy. On, jako lekarz, dostał pracę w miejscowym szpitalu, ona niańczyła córeczkę.

Krzysztof z Dawidem spotkali się służbowo, gdy młody doktor opatrywał rezydentów miejscowego więzienia, przekształconego w miejsce odosobnienia nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Rosner stał na czele grupy nadzorującej więźniów i dbającej o to, by każdy z nich przed śmiercią przyznał się do winy.

Selekcję wśród pochwyconych Niemców prowadzono, sprawdzając obecność lub brak tatuażu z grupą krwi pod pachą delikwenta, gdyż ten znak wyróżniał esesmanów spośród tłumu byłych żołnierzy niemieckich podążających na zachód. Zasada

była taka: nie ma tatuażu — puszczaamy wolno, jest naznaczony — zatrzymujemy. Każdy zaś członek SS z definicji uznawany zostawał za winnego popełnienia zbrodni wojennych. Pozostawała tylko kwestia nakłonienia go do złożenia obciążających go zeznań. W zakresie metod stosowanych w celu uwolnienia potoku wymowy badanego grupa Rosnera nie różniła się niczym od oprawców działających niegdyś w katowniach gestapo. Zresztą, wielu spośród ludzi Dawida doświadczyło nazistowskich metod przesłuchań na własnej skórze i teraz z tym większą satysfakcją wykorzystywali zdobytą wiedzę w codziennej pracy.

Gliwickie więzienie nie stanowiło wyjątku. Wiele takich miejsc funkcjonowało na styku wschodu i zachodu, w miejscowościach, przez które przelewały się ogromne masy ludzi, gdzie z jednej strony łatwo było ukryć swoją prawdziwą tożsamość, z drugiej zaś, moment nieuwagi, nieżyczliwy donos lub bystre oczy dawnej ofiary wystarczyły, aby trafić w czeluście piekła.

W przypadku niedawnych esesmanów Temida okazała się ślepą boginią. Większość członków tej elitarnej gwardii Himmlera tworzyli faktyczni złoczyńcy, których ku zbrodni popchnęły własne psychopatyczne umysły, ślepa wiara w słuszność wyznawanej ideologii lub chore ambicje każące robić karierę za wszelką cenę, nawet jeśli miałyby to oznaczać zadawanie śmierci na masową skalę.

Nawet wśród członków czarnego zakonu wyznawców Hitlera trafiali się jednak tacy jak Bruno Kramer. Swymi czynami wojennymi zdążyli już odkupić grzech naiwności, która popchnęła ich ku złym wyborom. Brakło jednak adwokatów, gotowych świadczyć na ich rzecz. Przeznaczeniem tych ludzi była śmierć, jaką mieli okupić zbrodnie swoje i swoich współpracowników.

* * *

Bruno leżał na betonowej posadzce celi gliwickiego więzienia, gdzie rezydował samotnie, kiedy akurat nie podlegał bolesnej procedurze przesłuchania. Spoczywał na ziemi, wpółotwartym lewym okiem wpatrując się w nierówną powierzchnię podłogi. Prawym okiem nie widział nic, gdyż dookoła powieki rósł z każdą chwilą potężny siniak, przysłaniając Niemcowi świat, ograniczający się w tej chwili do drewnianej pryczy, podłogi, sufitu i czterech wyrastających z niego, szarawych ścian. I tak nie chciał ich widzieć, stanowiły bowiem świadectwo bezsilności, jaką obecnie odczuwał, nie mogąc w żaden sposób poprawić swego stanu. Nie chodziło mu już nawet o uwolnienie. Etap, w którym wierzył, że uda mu się racjonalnie wyjaśnić swoje miejsce w niszczącej maszynerii nieboszczyka Hitlera, dawno minął. Obecnie hauptsturmführer Kramer modlił się o szybki koniec. Mógł przyspieszyć całą procedurę, przyznając się do wszystkich zarzucanych mu zbrodni, zarówno tych, które faktycznie popełnił, jak i tych, z którymi nie miał nic wspólnego, ale uważał to za tchórzostwo. Zdawał sobie sprawę, że jego zeznanie w ostatecznym rozrachunku nie ma znaczenia — czy się przyzna, czy też nie, wyrok będzie tylko jeden — winny, śmierć przez rozstrzelanie. W związku z tym chciał, by w dotyczących go dokumentach widniała adnotacja „nie przyznał się do winy”. Kiedyś dziwił się ludziom, którzy z uporem maniaka bronili się przed złożeniem zeznań obciążających samych siebie, teraz jednak dobrze ich rozumiał. Gdy człowiek leży w kałuży własnych wydaliny na podłodze celi, doprowadzony do dna ostatecznej rozpacz fizycznym bólem i upokorzeniem, jedyną bronią, jaką jeszcze posiada, jest wolna wola i poczucie, że dopóki pozostanie w nim cień godności osobistej, zachowa człowieczeństwo. Przyznanie się do winy li tylko po to, aby skrócić cierpienia,

oznaczałoby wyrzeczenie się siebie. A na to Bruno się nie godził.

Tego grudniowego wieczoru jego modły zostały wysłuchane. Między jedną a drugą sesją bicia oprawcy poinformowali, że nadszedł czas i rozprawa orzekająca o winie odbędzie się lada dzień. Ujawnienie tej krzepiącej właściwie wiadomości przyspieszyło utratę przez Brunona przytomności. Nie był jedynym rezydentem gliwickiego więzienia, przesłuchujący go uznali więc, że ma już dość i bezceremonialnie zawlekli bezwładne ciało do celi, przenosząc swoje zainteresowanie na sąsiada Kramera, zajmującego pomieszczenie po prawej stronie. Bruno słyszał teraz jego zwierzęce wrzaski i zastanawiał się, czy sam też tak głośno krzyczy, gdy go torturują.

Nie czuł bólu, nie zdawał sobie również sprawy z przejmującego zimna panującego w pomieszczeniu. Jego jedynym celem było obecnie znalezienie się na pryczy powyżej poziomu podłogi i odseparowanie od kałuży wilgoci uwolnionej przez własny pęcherz pod wpływem niedawnych kopniaków zadanych twardym wojskowym butem Dawida Rosnera. Dowódca obsady więzienia przesłuchiwał go dziś osobiście, ponieważ chciał poznać owego krnąbrnego aresztanta, który uparcie zaprzeczał udziałowi w zbrodni ludobójstwa, mimo że istnieli świadkowie potwierdzający jego obecność w gliwickim podoboże KL Auschwitz.

Dawid z mieszaniną nienawiści i fascynacji przyglądał się temu Niemcowi, który na każde pytanie o udział w zbrodniach przeciw narodowi żydowskiemu odpowiadał, że nie zabijał Żydów, mimo że taka odpowiedź powodowała kolejną falę bólu. Na koniec zapowiedział mu więc, że jego kłamliwe skamlenia i tak nie mają żadnego znaczenia, znalazło się bowiem kilku świadków, gotowych zeznać na procesie, który odbędzie się lada dzień. Dawida specjalnie nie martwił fakt, że ludzie ci nie mogli potwierdzić bezpośredniej winy hauptsturmführera Kramera w

związku z udziałem w eksterminacji Żydów. Byli oni w stanie jedynie zaświadczyć o obecności Niemca w strukturach dowodzenia gliwickim podobozem w ostatnich dniach jego istnienia. Rosner zdawał sobie jednak doskonale sprawę z tego, że jeśli nie pojawi się żaden świadek obrony, to Kramer nie ma szans. A o to, że nikt taki nie zjawi się, był zupełnie spokojny. Ujawnienie jakichkolwiek faktów działających na korzyść oskarżonego stanowiłoby precedens w krótkiej, aczkolwiek burzliwej historii zarządzanej przez niego jednostki więziennej. Precedens, który nie powinien się zdarzyć. A jednak, życie lubi płać figle nawet tym z nas, którzy traktują je śmiertelnie poważnie...

* * *

Doktor Krzysztof Orszański szedł więziennym korytarzem w ślad za eskortującym go strażnikiem. Został tu wezwany przez Dawida, by, jak wyraził się tamten, „na tyle podreperować ciała nazistów, żeby ci świadomie przeżyli własne egzekucje”. Następnego dnia taśmowo ruszyć miały procesy, uwalniające cele dla kolejnych schwytanych Niemców, obecni rezydenci zajmowali je bowiem wystarczająco długo, aby móc na własnej skórze pojąć ogrom popełnionych przez siebie zbrodni.

W praktyce rola Krzysztofa jako lekarza ograniczyć się miała do podania środków przeciwbólowych i opatrzenia najbardziej rzucających się w oczy ran. Jeśli traktować proces jak przedstawienie teatralne, to rozprawy należałoby określić mianem ponurej farsy. Każdy z aktorów wiedział, że oskarżony nie ma prawa odejść uniewinniony, nikt nie wołał o humanitaryzm, wszyscy, od niemego gapia, przez strażnika, aż do sędziego, pożąдали zemsty na tych ledwo trzymających się na nogach ludzkich wrakach, reprezentujących niedawnego okupanta. I każdy, poza może samym oskarżonym, odczuwał satysfakcję, słysząc wyrok — śmierć przez rozstrzelanie lub powieszenie. Skazaniec, oszołomiony środkami uśmierzającymi ból, czuł już tylko

ulgę, świadomy, że jego gehenna dobiega końca.

Aby zemsta mogła dopełnić się w stu procentach, esesmani musieli dożyć do dnia procesu. Stąd też w więzieniu pojawił się dziś lekarz, wezwany do tych spośród aresztantów, którzy byli w najgorszym stanie. Krzysztof wędrował od celi do celi, wchodząc jedynie do tych pomieszczeń, które wskazał mu strażnik. Ignorował jęki dobywające się z gardeł swych pacjentów, nie odpowiadał na pytania, strząsał z nogawek spodni ich niecierpliwe ręce, domagające się jedzenia, księdza, pociechy albo po prostu odpowiedzi na pytanie, jak długo jeszcze. Starał się nie nawiązywać z tymi ludźmi kontaktu wzrokowego ani żadnej innej relacji powstającej zwykle między lekarzem a pacjentem, nie chciał im współczuć. Dlatego pozostawał głuchy i niemy podczas swej ponurej wędrówki więziennym korytarzem.

* * *

Ostatnie pomieszczenie. Na podłodze leży wysoki mężczyzna odziany w strzępy tego, co kiedyś składało się na mundur oficera Wehrmachtu. Przebieraniec, któremu udało się zdobyć gdzieś lewe papiery i ukryć w tłumie jeńców wojennych. Jeden z wielu zdradzonych przez esesowskie znamię wytatuowane pod pachą. Człowiek ten przytula twarz do zimnej betonowej podłogi, prycza znajdująca się nieco powyżej zasięgu jego wzroku pozostaje pusta. Widać nie był w stanie podciągnąć na nią swego potężnego ciała. Poza fizycznym osłabieniem, przyczynił się do tego na pewno brak lewej nogi. Poniżej kolana nogawka pordzewiałych od krwi spodni pozostaje pusta.

Krzysztof przyniósł ze sobą należącą do Niemca protezę. Aby esesman mógł jutro w pełni wziąć udział we własnym procesie, musi mieć możliwość stanąć przed sędzią. Jutro, tuż przed rozprawą strażnicy więzienni zedrą z niego przebranie i ubiorą go w mundur właściwy dla esesowskiego kapitana, dziś jednak do zadań doktora Orszańskiego należy jedynie umocowanie

drewnianej nogi na odpowiednim dla niej miejscu oraz podanie czegoś na wzmocnienie, leżący mężczyzna jest bowiem bardzo osłabiony wielodniowymi przesłuchaniami. Idąc do jego celi, Krzysztof dowiedział się od strażników, że ochrzcili oni Niemca przydomkiem „Papuga”, ponieważ powtarza stale swoje imię i nazwisko i w kółko twierdzi, że nie zabijał Żydów. Poza tym, niczego nie da się z niego wyciągnąć.

* * *

Przy pomocy strażnika, wielkiego chłopca o szerokich barach, lekarz obraca swego pacjenta na plecy i sadza go, opierając plecami o pryczę. Niemiec jęczy z bólu, nie odzywa się jednak. Patrzy tępo przed siebie lewym okiem, prawe ma zbyt zapuchnięte, by mogło zobaczyć cokolwiek.

Strażnik upewnia się, że Krzysztof poradzi sobie dalej sam i wychodzi. Orszański unosi lewą nogawkę spodni więźnia.

— Moja noga... — mówi nagle Niemiec. — Więc to już? — przenosi spojrzenie z protezy na twarz lekarza.

Krzysztof rozumie niemiecki, uczył się go w szkole, doskonalił podczas okupacji, ale nie odpowiada, robi swoje. Z lekarskiej torby wyciąga strzykawkę z igłą. Z ciemnego flakonika naciąga do strzykawki nieco płynu, potem wbija igłę w ramię esesmana i wciska tłok. Tamten obojętnie obserwuje, jak w jego żyły wsącza się ożywczy płyn.

Jeszcze tylko dwa szwy, by połączyć rozciętą brew i Krzysztof już—już ma wychodzić, gdy z głębi korytarza odzywa się głos strażnika:

— Skończył pan, doktorze Orszański?

Chce odpowiedzieć, że tak, że właśnie wychodzi, ale wtedy Niemiec nadszpedziewanie mocno chwyta go za rękę.

— Krzysztof Orszański? Kraków? Grażyna? — pyta, a jego lewe oko płonie nagłym podnieceniem.

Polak wolno kiwa głową i krzyczy do strażnika:

—Jeszcze dziesięć minut!

—Dobrze, proszę mnie zawołać, jak pan skończy!

Teraz Krzysztof zwraca się z powrotem do więźnia:

—Pan mnie zna?

—Wyciągnąłem pana z więzienia.

— To pan jest tym tajemniczym wysoko postawionym przyjacielem Debory?

— Debora! — Niemiec wciąż trzyma Krzysztofa za nadgarstek. Na dźwięk imienia Żydówki jeszcze wzmacnia uścisk. — Co z nią? — pyta.

— Wszystko w porządku. Jest tutaj.

— W Gliwicach?

—Tak.

— Boże — Kramer zamyka oczy i odchyła do tyłu głowę. Krzysztofowi przez chwilę wydaje się, że tamten stracił przytomność. Wyswobadza więc dłoń i szykuje się do odejścia, ale wtedy Niemiec odzywa się znowu:

—Kiedy rozprawa?

—Jutro.

— Mam prośbę. Niech pan powie Deborze, że udało mi się, że ocalałem duszę. Mimo wszystko. Tylko tyle.

Korytarzem nadchodzi strażnik. Stukot jego podkutych butów odbija się tysięcznym echem od ponurych ścian cel. Polak patrzy Niemcowi w oczy. Bezgłośnie kiwa głową, spojrzeniem obiecując przekazanie informacji. Potem obraca się i wychodzi, zostawiając hauptsturmführera Kramera samego z jasnymi wspomnieniami z innego świata.

* * *

— Więc on tu jest...

Debora siedzi na fotelu naprzeciw Krzysztofa i zamyślona kołysze w ramionach niemowlę. Mały rozkosznie wydyma usteczka i wpatruje się w matkę szeroko otwartymi błękitnymi

ślepkami.

—Powiedziałeś mu?

—O dziecku? Żydówka kiwa głową.

—Nie wiedziałem, że Piotruś jest jego synem.

— To prawda, przecież was nie wtajemniczałam w kwestię ojcostwa mojego synka.

Siedzą teraz bez słowa, ona wpatrzona w za—okienny krajobraz, niby skupiona na padających z wolna płatkach śniegu, naprawdę jednak nieobecna duchem. W jej rzeczywistości jest listopad poprzedniego roku. Wspomnienia wywołują na twarzy rumieniec.

* * *

Mocniej otula synka i powraca do rzeczywistości.

—Kiedy będzie rozprawa? — zwraca się do Krzysztofa, który przygląda się jej w cierpliwym milczeniu.

—Jutro.

—Jak myślisz, czy Grażynka da sobie radę z dwoma maluchami?

—Co ty chcesz zrobić, Deboro?

—To, co zrobić muszę. Złożę zeznania. Nie bój się, Krzysiu — chwyta go za rękę. — Nie będę was w to mieszać.

—A Dawid?

—Obawiam się, że to oznacza koniec między mną a Dawidem.

— Mieliście się pobrać.

Debora kręci ze smutkiem głową.

—On mi nie wybaczy. Ale ja nie mogę beczynn timer czekać, aż zabiją Bruna. Wątpię, czy moje zeznania cokolwiek mu pomogą, muszę jednak choć spróbować. Tyle przynajmniej jestem mu winna.

—Pomogę ci, na ile będę mógł.

—Lepiej się do tego nie mieszaj.

—Ten człowiek pomógł także i mnie.

—Zrobił to dla mnie. Ty nie jesteś mu nic winien. Poza tym, masz rodzinę... Po prostu, weźcie jutro Piotrusia do siebie, dobrze?

Krzysztof potakuje. Znów zapada cisza, zmacona jedynie cichymi cmoknięciami zasypiającego niemowlaka.

* * *

Krzyś wyszedł, zostawiając mnie samą z ponurymi myślami. Mój świat, ustabilizowany z takim trudem, znów miał runąć, pozostawiając po sobie jedynie gruzy poprzedniego życia. Cudem odzyskana miłość Dawida, jego cicha akceptacja mego synka, nasz ślub... Wszystko to chciałam teraz przekreślić w imię poczucia lojalności wobec tego, któremu winna byłam własne życie,

* * *

Dawid nie pytał, kto jest ojcem Piotrusia. W pierwszym wysłanym do niego liście lojalnie powiadomiłam go, że mam dziecko. Słowem nie wspomniałam o tym, skąd wzięto się na tym świecie, dałam jedynie do zrozumienia, iż jeśli mnie jeszcze chce, to tylko razem z nim. Zgodził się. Dawidowi, podobnie jak mnie, hitlerowcy wymordowali całą rodzinę. Ze szczęśliwego przedwojennego świata pozostałam mu tylko ja, żywe świadectwo dawnych, niewinnych lat. Myślę, że dlatego przyjął mnie do siebie z otwartymi ramionami, z całym dobrodziejstwem inwentarza, nie poruszając kłopotliwy eh tematów.

Czy uczucie, które na nowo odnajdywało dawno porzuconą drogę w naszych sercach, miało szansę przetrwać jutrzejszą próbę? Kalkulowałam na chłodno i niestety, wszystkie układane przez mnie możliwe scenariusze miały złe zakończenia. Wiedziałam, że Dawid nie wybaczy mi, że zdradziłam go z Niemcem, w dodatku z esesmanem. Nie zamierzałam mu

oczywiście mówić, że to ty jesteś ojcem Piotrusia, ale nie musiałam tego robić. Podobieństwo widać na pierwszy rzut oka. Mogłabym utrzymywać, że jasne loczki mojego synka to efekt miłosnej przygody z Polakiem, obawiałam się jednak, że na nic nie zdadzą się takie żalosne kłamstwa. Pomijając wszystko inne, jak mogłam łudzić się, że udane małżeństwo zbuduję na kłamstwie?

To, że następnego wieczoru będę mogła określić się mianem byłej narzeczonej Dawida Rosnera, uznawałam za pewnik.

Teraz pozostawało pytanie, co dalej? Czy miałaś jakiegokolwiek szanse, aby żywy opuścić gmach gliwickiego więzienia? Smutna, aczkolwiek najbardziej uczciwa odpowiedź brzmiała „na pewno nie”. W związku z tym, musiałam założyć, że zostanę zupełnie sama z maleńkim dzieckiem i piętnem faszystowskiej zdziry w kraju, który zaznał tyle zła z rąk niemieckiego okupanta, a teraz niby wolny, trafił pod but prosowieckiego władztwa.

Dawid pozostawał częścią komunistycznego systemu władzy, jaki roztoczono nad tym biednym, znękanym wojną narodem. Zapisał się do partii, bo stanowiło to warunek dokonania przez niego aktu zemsty. Tylko jako partyjny mógł kierować operacją denazyfikacji, jak eufemistycznie nazywał działalność podległego mu oddziału funkcjonariuszy, prowadzoną w gliwickim więzieniu. Poza tym — był szczerym komunistą, czyż nie?

Prawdę mówiąc, nieco obawiałam się Dawida. W stosunku do mnie pozostawał co prawda nadal tym dobrym, kochanym chłopakiem, którego pamiętałam z czasów gimnazjalnych. Miałam nawet wrażenie, że w pełni akceptuje mojego synka, co dla mnie stanowiło niezbędny warunek życia z mężczyzną. Gdy byliśmy razem, Dawid poświęcał Piotrusiowi wiele uwagi i bawił się z nim tak, jakby mały był jego biologicznym dzieckiem.

Natomiast zewnętrznemu światu mój narzeczonny ukazywał całkiem inną twarz. Dysponował swą odrobiną władzy w sposób

bezwzględny, za jedyny cel stawiając sobie pomstę na hitlerowcach. Nie był odosobniony w swoich pragnieniach, wielu ludzi żywiło do Niemców podobne uczucia co Dawid. Także ja. U niego przerodziło się to jednak w obsesję, każącą osobiście uczestniczyć w przesłuchaniach każdego z więźniów. Szczycił się tym, że jeszcze nikogo nie wypuścił ze swych rąk żywym, wszyscy jego podopieczni prędzej czy później ginęli od kul plutonu egzekucyjnego lub wręcz podczas śledztwa. Nie interesowało go przy tym kompletnie, czy przesłuchiwany ponosił faktyczną odpowiedzialność za zarzucane mu zbrodnie. Dawidowi za jedyny dowód wystarczył wytatuowany pod pachą znaczek z dwiema runicznymi „eskami”. Nie dostrzegał, że tym samym staje się podobny najgorszym spośród swoich wrogów.

Nienawiść niszczy ludzi, a spełniona zemsta rzadko przynosi ulgę znękaney duszy, wciąż domagając się więcej i więcej. Mój Dawid, piszący romantyczne listy intelektualista, zmieniał się z dnia na dzień. Byłam w Gliwicach ledwie miesiąc, a już stało się to dla mnie oczywiste. Ludzie zaczęli go unikać, Krzysztof i Grażyna, wierni przyjaciele, przestali do nas przychodzić, do swego małego mieszkanka zapraszali już tylko mnie z Piotrusiem, każda bowiem wizyta Dawida kończyła się karczemną awanturą, którą on sam za wszelką cenę starał się wywołać. Jego poglądy ewoluowały przy tym coraz bardziej w stronę absolutnej akceptacji poczynań nowych władców Polski. Poważnie obawiałam się, że gdy skończy z nazistami, wykorzysta zdobyte na nich doświadczenie do rozprawienia się z byłymi członkami Armii Krajowej. A więc między innymi ze mną i małżeństwem Orszańskich, ale o tym na razie nie wiedział...

Świadomość tego wszystkiego spadła na mnie nagle, tego wieczoru, gdy rozważałam, czy powinnam powiadomić mego narzeczonego, kogo trzyma pod swą kuratelą i co się jutro stanie. I doszłam do wniosku, że nie mogę tego zrobić w żadnym wypadku. Dawid zatłukłby cię, Bruno, na śmierć jeszcze tego

samego dnia. Proces nie odbyłby się, w świadectwie zgonu wpisano by „atak serca”. Szczerość nie była wskazana. Gdy Dawid wrócił do domu, udałam, że śpię. Rano wyszedł wcześniej, ja zaś spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy, ubrałam Piotrusia i taksówką pojechałam do mieszkania Orszańskich.

W drodze do sądu myślałam tylko o jednym — o twojej winie, Bruno. Poza słowami o ocalonej duszy, nie miałam żadnych podstaw, by sądzić, że nie popełniłeś zarzucanych ci zbrodni. Osądzony miałeś zostać przecież za udział w ludobójstwie, jako członek nadzoru w obozie koncentracyjnym. Nie ulegało wątpliwości, że byłeś tam...

* * *

Nie pamiętam dobrze chronologii wydarzeń tamtego dnia, po którym obiecywałam swemu udręczonemu ciału, że nadejdzie kres. Szybki wyrok sądu i pluton egzekucyjny jeszcze tego samego wieczoru — tak wyobrażałam sobie wówczas wybawienie. I ono przyszło, ale w wersji, której nawet mój mający umysł nie miał odwagi przywołać.

Wtargnięcie strażników do celi, zderzenie ze mnie strzępów munduru kapitana Wehrmachtu i moje przedzierzgnięcie się na powrót w starą skórę esesmana przy akompaniamencie wyzwisk i kopniaków. To musiało nastąpić w pierwszej kolejności. Potem pewnie droga do sądu, ale tej zupełnie sobie nie przypominam. Może zemdlałam? Nie wiem.

Pamiętam drzwi do sali rozpraw, podwójne, wysokie bramy piekieł z ciemnego drewna, zdobione na wysokości oczu wzorem kwiatowych rozet, przez które wyprowadzono wrzeszczącego skazańca, by następnie wepchnąć do sali mnie, jeszcze kandydata na skazanego, niemniej jednak, moja rychła nominacja raczej nie budziła wątpliwości. Sala pełna spojrzeń ludzi, w najlepszym przypadku przyglądających mi się z chłodną obojętnością, przeważnie jednak pełnych nienawiści. Współczucia nie zanoto-

wałem, ale też nie spodziewałem się go ujrzeć.

Ciemny, drewniany stół tuż przed krzesłem, na którym mnie posadzono. Dobrze pamiętam fakturę i kolor blatu, z konieczności przyglądałem mu się bowiem niemal całą rozprawę, będąc zbyt słabym, by po nadludzkim wysiłku, jakim okazało się utrzymywanie ciała w pozycji pionowej podczas czytania aktu oskarżenia, podnieść jeszcze i głowę. Z lewego nozdrza miarowo kapłała mi krew, zaburzając jasną symetrię podłogi, aż wreszcie któryś ze strażników zauważył to i podał mi wielką płachtę brudnego materiału, mającego udawać chustkę do nosa.

Cała rozprawa odbywała się po polsku. Nie postugiwałem się biegle tym językiem, ale jeśli mówiono wolno i wyraźnie, rozumiałem sens zdań. Tym razem jednak byłem zbyt wycieńczony, aby tłumaczyć samemu sobie słowa na niemiecki. Dlatego nie zwracałem specjalnej uwagi na to, kto akurat przemawiał, chyba że właśnie odzywał się mój adwokat, a i to jedynie z tego powodu, iż siedział tuż obok mnie, więc w moim umyśle jego słowa odbijały się głośno i agresywnie. Z tego, co rozumiałem, nawet ten facet, w założeniu mający mnie bronić, formułował oskarżenia.

Moją uwagę wzbudził dopiero szmer poruszenia, biegnący po sali rozpraw w reakcji na wypowiedź płynącą z ust kobiety idącej w stronę miejsca dla świadków. W pierwszej chwili podniesienie na nią wzroku wydawało mi się zbyt wielkim wysiłkiem, ale sam odczuwałem pewien rodzaj zainteresowania. Znałem ten głos! Dopiero jednak, gdy mówiąca przedstawiła się w odpowiedzi na wezwanie sędziego i nasze spojrzenia skrzyżowały się gdzieś pośrodku pełnej ludzi sali, uświadomiłem sobie, kogo widzę. Drobnym, ciemnowłosym elf, który przyszedł tu, by mnie bronić przed domagającym się linczu tłumem. Moja Debora...

Powietrze wyszło z moich ust z głośnym świstem. Świat wokół zawirował w nagłym tańcu radości pomieszanej z niedowierzaniem w realność następujących po sobie zdarzeń. A

od momentu twojego pojawienia się wszystko pamiętam bardzo dokładnie. Nagle język polski stał się jasny i zrozumiały.

Patrząc prosto przed siebie, odpowiadałaś na zadawane rutynowo przez sędziego pytania o wiek, zawód, miejsce zamieszkania, potem zaś te, które dotyczyły naszych wzajemnych relacji. Skłamałaś, mówiąc, że nie łączył nas miłosny związek. Wybieliłaś mnie, stawiając przed oczami licznych gapiów anioła w miejsce diabła.

Gdy skończyłaś mówić, na sali zaległa cisza. Patrzyłem tylko na ciebie, ale czułem na sobie dziesiątki ciekawskich spojrzeń tych, którzy nagle dostrzegli we mnie człowieka.

Potem prokurator otrząsnął się z szoku i powiedział, że każdy esesman kogoś w życiu uratował, a usłyszana przed chwilą historia jest zaledwie epizodem i nie neguje tego, iż hauptsturmführer Kramer należał do obsady obozu Auschwitz, podobozu Gliwice. Tej logice nawet ja nie zamierzałem przeczyć. Oskarżenie nie przedstawiło świadków, mogących potwierdzić ogrom moich zbrodni, ale nie musiało tego robić, każdy bowiem, kto uczestniczył w hitlerowskiej maszynie zagłady, a miał wystarczająco wysoki stopień wojskowy, był winny.

Aby procedurze stało się zadość, sędzia spytał obronę, czy przedstawi jeszcze jakichś świadków. Mój, pożał się Boże, adwokat wstał, by oficjalnie zaprzeczyć i wtedy nastąpił kolejny cud tego dziwnego dnia. Zgłosiło się dwóch ludzi, wobec czego mecenas z rezygnacją klepnął ciężko tyłkiem o sąsiadujące z moim krzesło.

Patrzyłem na twarze mężczyzn, którzy najwidoczniej mieli coś do powiedzenia na mój temat, ale ich oblicza pozostały dla mnie obce. Sprawa wyjaśniła się, gdy zeznawać zaczął pierwszy z nich...

** * **

Styczeń roku czterdziestego piątego

Hauptsturmführer Bruno Kramer stoi na szczycie niewielkiego wzniesienia terenu i wyteżę wzrok, by wyraźniej ujrzeć majaczącą w oddali łunę odległej bitwy. Z kierunku uderzeń pocisków i intensywności prowadzonego ognia próbuje odgadnąć jej przebieg, ale walki toczą się po drugiej stronie miasta i nie jest to możliwe. Kramer wie jednak, że załamanie się linii frontu i triumfalny marsz Sowietów na Gliwice to już tylko kwestia dni, może nawet godzin. Szczelniej okrywa się podbitym futrem skórzanym płaszczem, by choć trochę ochronić się przed podmuchami lodowatego wiatru. Wieje ze wschodu. — Panie kapitanie, panie kapitanie — dobiega go nagle zasapany głos.

— Co się stało, Kempkę? — mówi Bruno do zbliżającego się szybkim krokiem niskiego starszego mężczyzny w białego w niepasujący na niego mundur sturmmanna.

Kempkę to świeży nabytek, wcielony do SS siłą. Nienawidzi swojego munduru i roli, jaką mu przydzielono w ostatnim akcie wojennego dramatu. Przedtem spokojny księgowy w fabryce amunicji na Dolnym Śląsku, teraz jest najbliższym podwładnym Kramera w ramach podobozu Gliwice. Zamiast używać oficjalnego esesowskiego stopnia hauptsturmführera, uparcie tytułuje swego przełożonego hauptmanem. Bruno nie ma o to do niego pretensji. Sam już dawno doszedł do wniosku, że lepiej dla niego było zostać po prostu kapitanem Wehrmachtu.

—Panie kapitanie, przyszedł rozkaz ewakuacji obozu!

—Dlaczego przychodzicie z tym do mnie?

—Pan jest obecnie najwyższym stopniem oficerem w obozie. Reszta uciekła.

—Kempkę, człowieku, co wy pierdolicie? — Bruno chwyta siwowłosego sturmmanna za ramiona i silnie nim potrząsa.

—Zwinęli się, kiedy pan wyszedł, zabrali ostatnie dwa samochody z pełnymi bakami i pojechali w kierunku Wrocławia.

Bruno zmiął w ustach paskudny stek przekleństw, wziął kilka głębokich wdechów i sięgnął po kartkę, którą podawał mu Kempkę. Razem wrócili do obozu.

* * *

Na placu apelowym czekali na nich ludzie tworzący obecnie obsługę podobozu Gleiwitz. Żałosna kupa przestraszonych starców i młodziaków, kilku inwalidów wojennych, podobnie jak Bruno wyciągniętych zza biurek, którymi niezwyciężona Tysiącletnia Rzesza musiała wesprzeć się w miesiącach poprzedzających swój upadek. Niepodopinane mundury, czasem po prostu pozbawione guzików, nieogolone twarze, na których obecnie odbijało się czyste przerażenie, postawa, której przy najlepszej woli nie można było nazwać godną prawdziwego Niemca. Patrzyli po sobie, jeden drugiemu przesyłając wzrokiem milczące pytanie: „co z nami będzie?”. Nieliczni esesmani tłoczyli się osobno, starając się podtrzymać tych spośród towarzyszy, którym wypity alkohol uniemożliwiał utrzymanie się na nogach.

W barakach, przycupniętych w równych odstępach wokół placu, inni ludzie, bardziej zabiedzeni i równie przerażeni, powtarzali jak wyrok słowo: „ewakuacja”. Dla nich piesza droga na zachód pośród mrozu i padającego coraz mocniej śniegu, bez butów i ciepłej odzieży, oznaczała śmierć. Pójdą, a jakże, jeszcze jeden, ostatni raz, pomagając wykonać wyrok, jaki na nich wydali hitlerowcy. Poganiani wściekłymi okrzykami esesmanów, uderzeniami kolb pistoletów i warczeniem wilczurów, gotowych rzucić się im do gardeł, więźniowie gliwickiej filii oświęcimskiego obozu, Żydzi, Polacy i Rosjanie, wszyscy pobiegną w zwartym szyku ku swemu ostatecznemu przeznaczeniu, po drodze gubiąc jedynie tu i ówdzie bezpośrednich sąsiadów, zbyt wyczerpanych, aby podążać dalej. W końcu zostanie ich przy życiu tylko garstka, a i to nie

na długo, eskorcie w pewnym momencie znudzi się bowiem ta zabawa, więc hauptsturmführer Bruno Kramer wyda rozkaz i żołnierze staną w szeregu naprzeciwko więźniów, odbezpieczą broń. Taki będzie smutny koniec ostatnich rezydentów podobożu Gleiwitz. Tym smutniejszy, że od ocalenia dzieliły ich dosłownie pojedyncze kilometry. Do Gliwic zbliżał się front.

Walki toczyły się już tak blisko, że można było rozróżnić pojedyncze strzały, śledząc równocześnie lot pocisków, wyraźnie widocznych na tle zapadającego zmroku.

* * *

Kramer i Kempkę przekraczają obozową bramę, pilnowaną teraz tylko przez jednego strażnika na dole i jednego siedzącego na wieży.

— Za pięć minut wszyscy zdolni do utrzymania się na nogach więźniowie mają być na placu, rozumiesz? — rzuca Bruno swemu podwładnemu.

Sam udaje się do bielonego wapnem domku, w którym zajmuje najmniejszy pokój. Wszystkie inne pomieszczenia pozostają puste, oficerowie naprawdę uciekli. Brunona ze sobą nie zabrali i pewnie zrobili to celowo, nie darzyli go bowiem zbyt dużą sympatią, jako odludka z odrazą odnoszącego się do okrutnych żartów, które dla rozrywki strojono tu sobie z więźniów. Kramer z lekceważeniem odnosił się również do cotygodniowych odczytów ideologicznych, mających na celu wzmocnienie morale niemieckiego żołnierza. Prychał ze wzgardą, słysząc potok słów płynący z ust oficera politycznego, złośliwie komentował wypowiedzi kolegów, żywiących ciągle nadzieję, że oto lada dzień nadejdzie potężna armia i z pomocą Wunderwaffe odrzuci nadchodzący front daleko na wschód. Uważał ich wszystkich za bandę okrutnych idiotów i dawał im to odczuć.

W swoim pokoju Bruno wyciągnął spod łóżka walizkę.

Zważył ją w dłoni. Nie była ciężka, zawierała przecież jedynie mundur i lewe dokumenty z jego zdjęciem, wystawione na nazwisko Karla Weissmanna, kapitana Wehrmachtu, a spreparowane specjalnie dla Brunona przez jednego z więźniów. O ile bowiem Kramer nie znalazł sympatii wśród kolegów oficerów, stanowiących załogę podobozu Glewitz, o tyle dobrze żył z większością podwładnych, wśród więźniów zaś miał opinię „ludzkiego esesmana”. Nigdy nie zmuszał ich do pracy ponad oficjalną normę, udawał, że nie dostrzega nielegalnych kromek chleba, które okoliczni mieszkańcy podawali więźniom przez obozowe druty, nie bił i nie wrzeszczał. Dostrzegał w swoich przymusowych podopiecznych ludzi i wzajemnie — także oni widzieli w kalekim Hauptsturmführerze człowieka.

* * *

Teraz wpatrywali się w niego uważnie, czekając na słowa, mające przynieść potwierdzenie wyroku śmierci. Bruno widział przed sobą równy dwuszerąg wychudzonych postaci, w większości ledwo trzymających się na nogach z głodu i wyczerpania. Byli dziwnie do siebie podobni, niezależnie od narodowości, wszyscy z wielkimi nosami i oczami zapadniętymi w oczodołach, płonącymi teraz nienaturalnym blaskiem, kiedy śledzili bezgłośnie kroki człowieka, który za chwilę stać miał się ich katem lub zbawicielem. Bruno milczał, przechadzając się nerwowo przed szeregiem więźniów tam i z powrotem. Kto znał go bliżej, wiedział, iż wędrówka kilka kroków w jedną stronę — zwrot — kilka kroków w drugą świadczy o burzy, jaka huczy w głowie Kramera. Zatrzymał się wreszcie. Powiódł wzrokiem po grupie żywych szkieletów odzianych w pasiaki, przez które lodowaty wiatr dobierał się do ich nikłych ciał bez żadnego oporu, przeniósł spojrzenie na starych mężczyzn i młodych chłopaków przebranych w mundury SS i skupionych razem w jednym rogu

placu. Oni także wpatrywali się w Kramera z trwogą i nadzieją.

„Jestem Bogiem! — pomyślał Bruno. — Słowa, które za chwilę padną z moich ust, będą miały sprawczą moc. Zdecydują o ich życiu i śmierci”. Po jego twarzy przemknął szalony uśmiech, wywołany tą myślą. Opanował się szybko i krótkimi warknięciami zaczął wydawać rozkazy:

—Kuchnia! — Od dwuszeregu oderwało się czterech ludzi. — Wydać więźniom dodatkowe porcje żywnościowe! Leibner, Stern! — Dwaj wywołani strażnicy ożywili się na dźwięk swoich nazwisk. — Otwórzcie magazyny z odzieżą. Reszta zostaje na miejscach! — podniósł głos do ochryplego wrzasku, widząc, że jego rozkazy wywołują rozprężenie wśród więźniów i obsady obozu. Pomogło. Wszyscy umilkli, zatapiając ponownie wzrok w jego twarzy.

—Otrzymałiśmy dziś rozkaz ewakuacji obozu — mówił, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej twarzy. — Ponieważ obecnie jestem tu najstarszy stopniem, więc odpowiadam za jego wykonanie. Obóz zostanie ewakuowany. Częściowo. Na zachód udadzą się członkowie straży obozowej. Przed wymarszem otrzymają cywilne ubrania. Więźniowie nie zostaną ewakuowani.

Przerażenie. Ludzie domyślali się, co ich czeka. Widać dla nich kontekst wypowiedzi Brunona był jednoznaczny — egzekucja. Niemcy wyobrażali sobie siebie jako katów, więźniowie widzieli już swoje zamarznięte trupy z kulą w głowie. Obóz milczał,

— Po naszym wyjściu bramy pozostaną otwarte, radzę jednak nie opuszczać terenu obozowego do momentu nadejścia Rosjan. To wszystko. Do chwili ewakuacji więźniowie mają pozostać w barakach. Rozejść się!

Ale oni ciągle stali, wpatrzeni w niego niczym w księdza w kościele. Nadal jeszcze nie rozumieli, że oto okazano im miłosierdzie, że niesubordynacja młodego esesmana oznacza dla nich życie. Nie mieściło im się to w głowie po tylu latach wojny, bezdusznego okrucieństwa nazistów, śmierci, która niczym

najbliższa przyjaciółka, była stale tuż obok, czekając na nich coraz niecierpliwiej.

* * *

Niemcy zgromadzili się przy obozowej bramie, gotowi do wymarszu. Żaden nie miał na sobie esesowskiego munduru. Wszyscy nosili cywilne ubrania. Starzy mężczyźni, młodzi chłopcy, kilku zaledwie ludzi w wieku odpowiednim do wojowania. Czekali na rozkaz.

Hauptsturmführer Kramer nadszedł wolnym krokiem, tak, jakby udawał się na spacer, a nie szykował do ucieczki. Ubrany był w świetnie skrojony mundur kapitana Wehrmachtu.

—Wychodzimy razem, potem kierujemy się w stronę zachodniej szosy. Tam dołączacie do cywilnych uciekinierów i każdy radzi sobie sam.

—A pan, kapitanie? — pyta Kempkę.

—Ja nadal jestem żołnierzem. Ktoś musi bronić Niemiec przed Sowietami, Macie rodzinę na Pomorzu, prawda, panie Kempkę? — dodaje Bruno, widząc, że starszy mężczyzna chce zaproponować mu swoje towarzystwo.

Sturmmann kiwa głową. Oczy zachodzą mu łzami, nie wiadomo, czy to wskutek dręczących go obaw o losy bliskich, czy po prostu wskutek podmuchu zimnego wiatru wiejącego ze wschodu.

— Wasza żona i córka mogą potrzebować pomocy.

Kempkę już nie protestuje. Wie przecież, że marny z niego żołnierz, za stary, schorowany, niewyszkolony. Bardziej przyda się ginącemu krajowi wśród swoich niż na froncie. Jego myśli jak ptaki pędzą ku ukochanym kobietom. Odnajdzie je za kilka dni i szczęśliwie powiedzie ku Odrze, potem zaś Łabie.

* * *

Bruno odnajduje najbliższy zmechanizowany oddział Wehrmachtu i dołącza do żołnierzy, niejasno tłumacząc się, skąd przyszedł. Walczy aż do kapitulacji współtowarzyszy i wraz z nimi trafia do obozu jenieckiego pod Kędzierzynem. Stamtąd ludzie Rosnera wyłuskują go jako ukrywającego się esesmana.

* * *

— *Wstawaj!*

Syczący szept strażnika i szturchnięcie w bok przywróciły mnie rzeczywistości. Od wymierzonego celnie uderzenia aż zakręciło mi się w głowie z bólu. Trafił dokładnie w nerkę, dla której nie był to pierwszy cios.

Z głośnym jękiem, opierając obie ręce na blacie stołu, uniosłem ciało do pozycji możliwie zbliżonej do pionu. Strażnik uniósł mi głowę i ustawił ją tak, by pierwszy z mężczyzn stojących na miejscu dla świadków widział mnie wyraźnie. Przez chwilę patrzyłem więc w oczy wysokiego, szczupłego Żyda w średnim wieku, po czym tamten powoli pokiwał głową i powiedział, że tak, rozpoznaje w oskarżonym hauptsturmfiihrera Brunona Kramera, który przejął dowodzenie podobozem Gleiwitz w dniu jego rozwiązania. Głowa mi opadła. Ktoś zdecydowanym ruchem popchnął mnie w stronę krzesła. Dalszej części wypowiedzi tego człowieka, a także jego towarzysza słuchałem już na siedząco. I dobrze, bo byłem bliski zwałenia się jak kłoda tuż pod nogi pilnujących mnie strażników. Nie rozpoznawałem twarzy mówiącego Żyda, ale on pamiętał mnie dobrze. Nic dziwnego. Nie zapominamy na ogół ludzi, którym zawdzięczamy ocalenie. Nawet jeśli ratunek polegał po prostu na wspaniałomyślnej rezygnacji z egzekucji wyroku.

Debora słuchała zeznań ze łzami w oczach. Czuła ogromną ulgę, wiedząc, że się nie pomyliła. Bruno na pewno miał niejedno na swoim sumieniu, nie okazał się jednak potworem i zwycięsko przeszedł ten ostatni sprawdzian człowieczeństwa, jakim był

obóz koncentracyjny.

Dwaj Żydzi występowali jako ostatni świadkowie w tym procesie. Po ich zeznaniach sąd udał się na naradę. Wtedy sala ożywiła się, ludzie wstawali z miejsc, żeby popatrzeć na tego dziwnego Niemca i jego obrońców, wymieniali uwagi podnieconym szeptem, z niedowierzaniem kręcili głowami. Debora przemogła zażenowanie i powiodła wzrokiem po trybunach dla publiczności, czuła na sobie bowiem wiele spojrzeń. Chciała stawić im czoła. Faktycznie, ludzie gapili się na nią, większość obojętnie, bez sympatii czy potępienia, kierowała nimi po prostu ciekawość. Widziała też twarze, na których malowała się pogarda i nieliczne spojrzenia pełne sympatii adresowanej do niej lub do Brunona. Nie dziwiła się, że tych ostatnich było tak mało. Oto na sali sądowej w roli oskarżonego siedzi człowiek w esesowskim mundurze, znieawidzony symbol sześciu lat okupacji, której okrucieństwa przerosły ludzkie wyobrażenie. Skazujący wyrok będzie zemstą, da zebranych tu ludziom poczucie dziejowej sprawiedliwości, w symboliczny sposób pozwoli pomścić zamordowanych członków rodziny i przyjaciół. To był powód, dla którego tak wielu przychodziło, aby śledzić przebieg procesów. Zwłaszcza że nigdy jeszcze nie zdarzyło się uniewinnienie. Inna sprawa, że do tej pory nie trafił się oskarżony, który nie przyznawał się do winy, ani taki, którego ktoś chciałby bronić.

Pośród wielu spojrzeń Debora napotkała także wzrok Dawida. Siedział całkiem z tyłu, ukryty przez głowy i ramiona innych, wyższych od niego gapiów, dlatego dziewczyna nie dostrzegła go wcześniej. Gdy jednak na salę powrócili sędziowie, tłum zafalował i odłonił kędzierzawą głowę jej narzeczonego. Przestraszyła się. Oczy Dawida nieomal płonęły od skoncentrowanej, czystej nienawiści. Uczucie to nie było adresowane do Niemca. Chodziło o nią.

Przed ogłoszeniem wyroku sędzia polecił oskarżonemu powstać. Bruno podparł ciało na rękach, próbując się podnieść,

jednak nie był w stanie uczynić tego samodzielnie. Na nogi postawili go dwaj strażnicy. Widać było, że utrzymanie Kramera w pozycji pionowej przychodzi im z trudem. Niemiec nie należał do ułomków, a wymęczone ciało zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa, zwisał więc bezwładnie między swymi opiekunami, nie podnosząc głowy nawet w chwili, gdy sędzia odczytywał wyrok. Niewinny! Bruno zemdłał.

Teraz dopiero na sali zapanował gwar. Ludzie przekrzykiwali się jeden przez drugiego, wstawali z miejsc, próbowali przepchnąć się w stronę składu sędziowskiego lub sązonego esesmana. Gdyby nie towarzyszący mu strażnicy, Bruno pewnie zostałby rozszarpany na strzępy przez wściekły tłum. Dopiero interwencja umundurowanych milicjantów utorowała drogę do wyjścia i umożliwiła aniołom stróżom powleczenie niedoszedłego skazańca w stronę cel.

Debora przebiła się przez ludzi kłębiących się wokół potężnych drzwi sali sądowej w stronę Brunona i jego eskorty. Chwyciła za rękę jednego ze strażników, wielkiego chłopca o tępej twarzy parobka rolnego, starając się zwrócić na siebie jego uwagę.

— Dlaczego go zabieracie? — spytała.

Mężczyzna zlustrował jej postać z góry na dół i z powrotem.

— Musimy uzupełnić dokumentację. Odpowie jeszcze na parę pytań i puścimy go na wolność — odparł, okraszając swoją wypowiedź nieprzyjemnym uśmiechem.

— Pójdę z wami!

— Żałuję, ale rozkaz to rozkaz. Poczekaj pani u góry.

Strażnik odsunął ją bezceremonialnie, rzucając ostatnie, ośliżłe spojrzenie na zgrabne ciało Debory. Naprawdę żałował, że nie może jej zaprosić do piwnicznego królestwa kazamatów. Otrzymał jednak wyraźne wytyczne od kapitana Dawida Rosnera i musiał się ich trzymać, jeśli chciał zachować posadę. A robotę swoją lubił...

* * *

Faktycznie, strażnicy powlekli Brunona do celi, gdzie jeden z nich zaczął zadawać mu pytania o wiek, wykształcenie, miejsce zamieszkania i inne dane, które już raz od Niemca uzyskali. Potem podsunęto mu pod nos stos dokumentów zaświadczających o dobrym traktowaniu w gliwickim areszcie, potwierdzających uczciwość procesu oraz oświadczających, że więzień Kramer teraz i w przyszłości nie będzie żywił żadnych pretensji w stosunku do kierownictwa placówki, w której oczekiwał na proces, z tytułu złego traktowania, głodu, sposobu prowadzenia przesłuchań etc. Bruno podpisał wszystko. Sił dodawała mu świadomość, że oto za chwilę drzwi celi otworzą się przed nim na oścież i będzie mógł wrócić do domu, do Niemiec. Przedtem jednak spotka się z Deborą, czekającą u bocznej bramy aresztu.

I oto w końcu krata ryglująca wejście do ponurego pomieszczenia, w którym były Hauptsturmführer Kramer spędził ostatni miesiąc została odsunięta. Bruno podniósł głowę. Tuż przed nim stał Rosner. Z pełnych nienawiści oczu, zaciśniętych pięści, całej, napiętej jak struna sylwetki Żyda, Niemiec mógł odczytać swój dalszy los.

— Wynoście się! Chcę zostać z nim sam. — Głos Dawida przerodził się w syczący szept, gdy ruchem ręki odprawiał strażników.

* * *

Debora przycupnęła na korytarzu w bocznym holu gliwickiego aresztu oparta plecami o ścianę. Cały budynek, poza należącymi do niego salami sądowymi, pozbawiony był ławek i krzeseł, które zostały zużyte jako opał przez mieszkańców Gliwic w czasie ostatniego roku wojny, dlatego też odwiedzający areszt petenci polegać mogli jedynie na własnych nogach, o ile nie chcieli siadać bezpośrednio na zimnej granitowej podłodze. Dwaj byli więźniowie kacetu, którym Bruno zawdzięczał

ocalenie, stali nieco dalej, z lubością wciągając w płuca gryzący dym palonych papierosów bez filtra, wyciągniętych przez jednego z nich z kieszeni płaszcza. Mężczyźni postanowili poczekać, w razie gdyby okazało się, że Deborze potrzebna jest pomoc.

Czekali już dosyć długo i dziewczyna zaczęła zastanawiać się, co jest powodem przedłużania się procedur, gdy oto na końcu korytarza wiodącego ku niższym kondygnacjom budynku ujrzała Dawida. Rosner szedł ku niej, wycierając wolno i z namaszczaniem ręce w białą jedwabną chustkę, która pod wpływem tej operacji przybierała kolor żywej czerwieni. Debora poczuła, jak na ten widok serce ściska jej zimna dłoń przerażenia. „Bruno” — szepnęła cicho, nie na tyle jednak cicho, by Dawid nie usłyszał w jej głosie strachu. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął ku niej oczyszczoną z krwi rękę:

— Chodź i zabierz go sobie. Czeka na ciebie na dole. Sam niestety nie był w stanie przyjść, prosił, bym cię przyprowadził. Panów też zapraszam! — Skinął na dopalających papierosy Żydów, patrzących ponuro na całą tę scenę.

Debora odsunęła jego dłoń. Dawid obrócił się ze źle tajoną wściekłością i podążył szybkim krokiem z powrotem, w kierunku podziemi. Reszta podążyła za nim.

Niemiec wpółleżał tyłem do nadchodzących, oparty plecami o kratę ryglującą zwykle wejście do celi, dziwnie przechylony w jedną stronę. Pomieszczenie pozostawało otwarte, dziewczyna weszła więc do środka na sztywnych nogach i pochyliła się nad Kramerem. Krzyknęła z przerażenia, widząc stan, w jakim się znajdował. Z nosa, ust i uszu sączyła mu się krew, w twarzy z trudem mogła dopatrzeć się dobrze przecież znanych rysów Brunona, tak bardzo była opuchnięta. Palce u prawej ręki opierały się o podłogę pod nienaturalnym kątem, przypuszczalnie złamane. Na całym ciele dostrzegła ślady podkutych butów, szczególnie liczne w okolicy brzucha i klatki

piersiowej. Bruno nie reagował na ich nadejście, ale żył, oddychał bowiem ciężko, rytmicznie uwalniając z głębi płuc świszczący pogłos.

—Co ty mu zrobiłeś? Dlaczego? Przecież on na to nie zasłużył! — Głos Debory drżał, gdy wyrzucała z siebie szybkie, bezładne pytania.

—Nie zasłużył? — Dawid popatrzył na nią kpiąco. Stał w rozkroku, z rękami założonymi na piersiach, wyraźnie napawając się całą tą sceną. — Nie zasłużył? — powtórzył. — Otóż on może i nie zasłużył, ale ty na pewno, faszystowska szmato! — spokojny, złowróźbny głos przeszedł w histeryczny krzyk. — Z zasady nie biję kobiet, dostał więc za ciebie. I wie o tym, prawda, mój bohaterze? — zwrócił się do Niemca, ale ten nie zareagował, nadal nieprzytomny. — Wyjaśniłem mu to bardzo dokładnie. A teraz zabieraj go i wynoś się. Wracam do domu i mam nadzieję, że nie zastanę tam twojego szwabskiego bękarta, dziwko.

Obrócił się na pięcie i odszedł. Na ostatnim stopniu schodów coś sobie jeszcze przypomniał, bo rzucił za siebie:

— Aha, oczywiście odwołuję nasz ślub — zaśmiał się szaleńczo i zniknął, pochłonięty przez czeluście potężnego gmaszydła gliwickiego aresztu.

* * *

— Co z nim będzie, Krzysiu?

Debora stała na szpitalnym korytarzu, przodem do okna, tyłem zaś do swego rozmówcy, obserwując tańczące w bezwietrznym powietrzu płatki śniegu. Ściemniało się powoli.

—Ma silny organizm... — doktor Orszański niepewnie przerwał zaległą po jej pytaniu ciszę.

—Będzie żył?

—Płuca są odbite, wdał się stan zapalny... Musimy czekać.

—Cały czas jest nieprzytomny. Ma wysoką gorączkę.

—To dobrze, gorączka to pozytywny objaw. Walczy z

chorobą.

—Boże, ile to jeszcze potrwa?! — Debora obróciła się ku młodemu lekarzowi i na chwilę ukryła twarz w bezpiecznym uścisku jego opiekuńczych ramion.

—Powinnaś się przespać, Deboro. Idź do domu, do Piotrusia, on też cię potrzebuje. — Krzysztof niezgrabnie poklepał ją po plecach. — Ja tu zostanę, będę go pilnował.

Drobna, ciemnowłosa kobieta wyprostowała się, otarła cisnące się do oczu łzy i spojrzała na niego trzeźwo.

— Masz rację, Krzysiu. Powinnam odwiedzić mojego syna i odciążyć trochę Grażynkę. Oboje tyle dla mnie robicie. Gdyby nie wy, nie wiem, jak przeżyłabym ostatni tydzień — z niedowierzaniem pokręciła głową. — O której kończysz dyżur? — rzuciła jeszcze przez ramię, odchodząc.

—Rano, o ósmej.

—W takim razie przyjdę rano.

Wyszła z budynku i szybkim krokiem udała się w stronę jaśniejących okien kamienicy, w której mieszkali Krzyś z Grażynką, dosłownie dwie minuty drogi od szpitala.

* * *

Obecnie małe mieszkanko na poddaszu państwo Orszańscy dzielili z Debora i jej kilkumiesięcznym synkiem. Sami wraz z córeczką zajmowali jeden pokój, swej żydowskiej przyjaciółce udostępniając drugie mikroskopijne pomieszczenie, służące przedwojennym właścicielom lokalu za składzik na szczotki. Na szczęście pokój posiadał okno, dało się więc w nim mieszkać przy zastosowaniu kilku sprytnych zabiegów z dziedziny urządzania wewnątrz. Debora i Piotruś spali w jednym łóżku, na dziecięcą kołyskę zabrakło już bowiem miejsca.

Otworzyła drzwi własnym kluczem i natychmiast ogarnęła ją ciepła atmosfera tego miejsca. Grażynką Orszańska miała ten niezwykle dar, który otrzymują przy urodzeniu niektóre kobiety

— gdziekolwiek się znalazła, rozciągała wokół siebie aurę domowego ogniska. W mieszkaniu pachniało gotującym się obiadem, niemowlakami i mlekiem.

Te wszystkie wonie przebijały się przez intensywny zapach czystości, jaką pani tego domu zdołała utrzymać w każdym najmniejszym kątku swego lokum, mimo nawału zajęć związanych z opieką nad dwojgiem dzieci.

Debora zastała ją w mikroskopijnej kuchni, zajętą obieraniem ziemniaków. Natychmiast zdjęła płaszcz, zzuła buty i odebrała z rąk Grażynki nóż, energicznie namawiając ją, aby choć chwilę odpoczęła.

—Jak Bruno? — zawołała tamta, przez otwarte drzwi między kuchnią a pokojem.

—Bez zmian, nadal jest nieprzytomny. Wysoka gorączka, brak kontaktu. I majaczy.

—Mówi coś?

—Nie, nie mówi. Po prostu, czasem płacze jak dziecko albo krzyczy. Ale nic nie można z tego zrozumieć... Wydaje mi się, że on cały czas przeżywa więzienie i to, co go tam spotkało. — Głos Debory załamał się, Grażyna momentalnie więc znalazła się w kuchni i już tuliła przyjaciółkę do siebie.

—Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, wszystko się poukłada.

—Boję się, Grażyna. Boję się, że on umrze, a ja zostanę sama z dzieckiem i dyszącym nienawiścią Dawidem nad głową. Czasem patrzę na Bruna, jak rzuca się na łożku, widzę, że cierpi i zastanawiam się, czy to wszystko miało sens.

—Jak to, czy miało sens? — Grażynka spojrzała na nią uważnie. — Co przez to rozumiesz?

—No wiesz, on się męczy. Jeśli umrze, to będzie oznaczało, że jedynie przedłużyłam jego cierpienie, niszcząc przy okazji i swoje życie.

—Głupia jesteś. Powiedz, chciałabyś żyć z Dawidem? Po tym

wszystkim, co się stało, wiedząc, jaki jest?

—Nie wiedziałabym wtedy, jaki jest...

—Prędzej czy później, dowiedziałabyś się. A co jeśli wyszłabyś za niego za mąż, a on jakoś dowiedziałby się, kto jest ojcem twojego dziecka? Wiesz, takie sprawy zawsze wychodzą na wierzch.

—Masz rację, gadam bzdury. Przepraszam. Po prostu nie wiem, co będzie dalej. Boję się. A Dawid... Dawid oznaczał stabilizację, rodzinę, znowu miałam być czyjaś, kochana, potrzebna. Poza tym, Grażynko, ja go kocham. Mimo wszystko.

Łzy kapały do garnka w połowie wypełnionego już ziemniakami, toczyły się po nożyku do owoców, który Debora ścisnęła w dłoni, moczyły jej długą spódnicę. Kobiety trwały tak chwilę w ciszy, każda zatopiona w swoich niewesołych myślach, aż w końcu atmosferę ożywił zdrowy krzyk niemowlaka.

— To twój synek — Grażyna wskazała głową na drzwi pokoju — nasza mała nie ma tak donośnego głosu.

— Chyba zgłodniał. To dobrze, bo jestem już tak pełna mleka, że zaraz wybuchnę. — Debora uśmiechnęła się, wychodząc.

* * *

Grudniowe dni i noce dzieliłam między czuwanie przy twoim łóżku, opiekę nad dzieckiem i krótkie, kradzione wam obu chwile snu. Zbliżał się koniec roku, wielkimi krokami nadchodziły święta, pierwsza wolna Gwiazdka od sześciu lat. Świat szykował się do niej z wyjątkowym pietyzmem i zwielokrotnioną radością, bo miały to być pierwsze od dawna święta niepodszyte strachem i podświadomym oczekiwaniem śmiertelnego widma, spersonifikowanego w postaciach łomoczących do drzwi esesmanów z karabinami wycelowanymi w zgromadzoną przy stole rodzinę.

Pod niejednym dachem radość mieszała się ze smutkiem,

trudno byłoby chyba odnaleźć dom, w którym wigilijny stół skupiłby wokół siebie wszystkich przedwojennych biesiadników. Wojna zabrała wielu, zbyt wielu, pozostawiając owdowiałe kobiety, osierocone dzieci, samotnych rodziców. Wspominało się tych, którzy odeszli z winy hitlerowców, o tych zaś, którzy zniknęli całkiem niedawno w więzieniach bezpieki milczano ze strachu przed kolejnymi aresztowaniami. Totalitarna władza zaczynała się rozkręcać.

W moim rodzinnym domu nie celebrowało się Gwiazdki tak, jak czynili to chrześcijanie, nie obchodziło się zresztą również świąt żydowskich w sposób właściwy ortodoksom. Każde wydarzenie religijne — katolickie czy żydowskie, a także święta państwowe traktowaliśmy z szacunkiem. Mama przygotowywała wykwintne potrawy, niekoniecznie związane z tradycją danego dnia, ale zawsze takie, które całej rodzinie najbardziej smakowały. Po dobrym obiedzie wszyscy razem szliśmy na długi, świąteczny spacer, potem razem muzykowaliśmy, wybierając utwory adekwatne do nastroju. Znałam więc i z pamięci grałam zarówno muzykę klasyczną, szlagiery przedwojennych kabaretów, jak i kolędy.

Wigilijny wieczór roku czterdziestego piątego postanowiłam spędzić w szpitalu. Krzysztof miał tego dnia wolne, Piotrusia pozostawiłam więc pod opieką państwa Orszańskich, jako prezent gwiazdkowy wręczając Grażynce butlę pełną mleka dla mego synka, i ruszyłam w stronę gmachu szpitalnego. Droga, choć krótka, tym razem okazała się trudna do przebycia. Cały dzień intensywnie padał śnieg, usypując wzdłuż ulicy imponujące zaspę, przez które ciężko było przebrnąć. Dodatkowo, na każdym kroku natykałam się na sowieckich żołnierzy, wypuszczonych z koszar na tę okazję. Co prawda, prawosławni obchodzą Boże 'Narodzenie później niż katolicy i protestanci, jednak jak widać dowództwo gliwickiego garnizonu stwierdziło, że każda sposobność jest dobra, aby żołdat mógł się napić. Korzystali oni skwapliwie z dobroci

zwierzchników i wędrowali całymi bandami ulicami Gliwic, zaczepiając napotkane kobiety. Ja również nie uniknęłam niewybrednych żartów i gwizdów z ich strony, na szczęście jednak zdążyłam zniknąć za bramą szpitalną, zanim przyszedł im do głowy pomysł realizacji propozycji rzucanych w moją stronę podpitymi głosami po polsku i rosyjsku.

Szpital trwał cichy i senny tego wieczora. Ci z pacjentów, których stan na to pozwalał, dostali przepustki do domów, personel był także maksymalnie okrojony. Szłam długim korytarzem, speszona głośnym echem moich kroków niosącym się, jak mi się wydawało, po całym budynku.

Na sali, na której zwykle leżało czterech chorych, dziś nie było nikogo poza tobą. Cieszyłam się z tego. Nie dało się ukryć twojej narodowości, często bowiem krzyczałeś głośno, wyrzucając z siebie bezładnie niemieckie słowa. Inni pacjenci reagowali na moją obecność przy twoim łóżku wyraźną niechęcią, rzucając nieżyczliwe spojrzenia i mrużąc pod nosem przekleństwa, których starałam się nie słuchać.

Tego wieczora byliśmy jednak sami, tylko ty i ja w bezgranicznej ciszy milczącego szpitala, pozwalającej wsłuchać się w rytm własnego serca. W twoim stanie zdrowia zaszły pewne zmiany, wczoraj spadła ci gorączka, z policzków zniknęły niezdrowe rumieńce, oddychałeś też spokojniej. Przed wyjściem Krzysztof stwierdził, że najgorsze minęło i lada dzień powinieneś się obudzić. Chciałam przy tym być, dlatego, mimo gorącej zachęty ze strony Grażynki, abym zjadła z nimi kolację, wybrałam czuwanie przy tobie, usypiając wcześniej mego synka.

Wyglądałeś wtedy o niebo lepiej niż w dniu, w którym tu trafiłeś. Z twarzy zeszła ci opuchlizna, powoli zniknęły z niej ślady podskórnych wybroczyn, zrastały się rozcięte wargi, Krzysztof zdjął szwy szpecące łuk brwiowy. Blizna zostanie ci przypuszczalnie do końca życia, straciłeś kilka zębów, ciężko będzie ci odzyskać dawną kondycję, ale to nieważne.

Najważniejsze, byś żył. Lekarze przystawali przy twoim łóżku i głośno wyrażali zdumienie faktem, że tak szybko wracasz do zdrowia.

Wszystko to, każda myśl, która przemknęła tego wieczoru przez moją głowę, została głośno wypowiedziana. Mówiłam do ciebie, choć nie mogłeś mnie słyszeć. Opowiadałam ci o Piotrusiu, o moim przerażeniu w dniu, gdy zorientowałam się, że jestem w ciąży, o krakowskich, samotnych dniach, nieżyczliwych spojrzeniach ludzi, którzy pamiętali i wiedzieli, kto jest sprawcą mojego rosnącego brzucha, o pierwszym liście od Dawida, wreszcie o moim przyjeździe do Gliwic, planowanym ślubie i naszym ponownym spotkaniu.

Na koniec poinformowałam cię o tym, że jest Wigilia i że ludzie tego dnia śpiewają kolędy. Podeszłam do okna i patrząc na biały świat za nim, zaczęłam nucić: „Cicha noc, święta noc...”.

— Stille Nacht, Heilige Nacht... — Ledwo cię usłyszałam, tak cichy był twój głos powracający z wielodniowego niebytu.

W dwóch skokach znalazłam się przy tobie. Zapaliłam nocną lampkę. W jej blasku twoja twarz wydawała się trupio blada, jedynie szeroko otwarte, śledzące moje ruchy oczy i usta rozchylone w niepewnym uśmiechu, przeczyły śmierci.

—Kirsche, już nie jesteś blondynką.

—To jest twój największy problem, Bruno?

—Nie, jeszcze ten, że urosły ci piersi. I tyłek.

—No wiesz! Bruno...

—Tak?

—Jak długo nie śpisz?

—Obudził mnie twój śpiew, Deboro—Żydówko.

Mówiłeś bardzo niewyraźnie i artykułowanie słów widocznie cię męczyło. Poprosiłeś jeszcze tylko o wodę i po chwili znowu spałeś. Resztę wigilijnej nocy spędziłam na stojącym obok łóżka krzeselku. Zasnęłam, z głową oplecioną ramionami, na twojej kołdrze.

* * *

Debora ocknęła się nad ranem, wezwana własnym imieniem cicho wyszeptanym prosto w ucho. Podniosła głowę. Bruno spał, jego pierś rytmicznie unosiła się i opadała w ślad za regularnym tempem oddechu. Przez chwilę zdawało jej się, że głos w uchu był po prostu porannym omamem, jakie pojawiają się u przemęczonych ludzi na granicy świadomości, ale wtedy wzrok jej rozbudził się do końca i w porannym blasku bijącym od okna ujrzała męską postać.

—Dawid. — Jedno słowo, które opuściło usta Debory z głuchym jękiem, odbiło się tysięcznym echem w sparaliżowanej strachem głowie. Szybko spojrzała na twarz Brunona, upewniając się, że jego oddech jest naprawdę, że Niemiec żyje, że Dawid nie obudził jej tylko po to, by pochwalić się, iż dokończył dzieło i udusił rannego poduszką.

—Byłem u Orszańskich, szukałem cię. Nie chcieli powiedzieć, gdzie jesteś, ale dokąd mogłaś pójść na całą noc, pozbawiając Piotrusia matczynej opieki? Nie było trudno cię znaleźć...

—Obudziłeś ich nad ranem tylko po to, by się dowiedzieć, gdzie jestem? Niepokoiliś ich w święta?

—Wczoraj, Deboro, odwiedziłem ich wczoraj wieczorem. Chciałem cię przeprosić, spędzić z tobą Wigilię. Tak jak dawniej, pamiętasz? Kiedy nasi polscy przyjaciele świętowali nadejście Bożego Narodzenia, my, Żydzi zbieraliśmy się w domu twojego ojca i muzykowaliśmy.

* * *

Dawid zatracił się na moment we wspomnieniach, bo umilkł, oczy zaszły mu łzami i zapatrzył się w jakiś odległy punkt w innym czasie i przestrzeni. Debora także milczała, obawiając się chwili, gdy Rosner uświadomi sobie, jak wygląda rzeczywistość.

Wreszcie Dawid przypomniał sobie, gdzie jest i kontynuował urwaną myśl:

—Tak jak mówiłem, nie raczyli poinformować mnie, gdzie jesteś, ale też i nie musieli. Siedzę tu przy tobie i tym Szkopie całą noc. Swoją drogą silny z niego skurwysyn, że się z tego wykaraskał. — Dawid przeniósł wzrok z twarzy Debory na oblicze Brunona i z niechętnym uznaniem pokiwał głową.

—Lekarze są zaskoczeni tym, że żyje.

—Ja też. Mam spore doświadczenie w rozpoznawaniu tego, które przesłuchanie może się skończyć dla delikwenta śmiertelnie, a które nie. Za jego życie nie postawiłbym złamanego grosza. Zwłaszcza po tym, co mu zrobiłem na koniec...

—Dawid!

—O co ci chodzi? Jemu podobni zabrali mi wszystko — młodość, całą rodzinę, spokojny sen pozbawiony koszmarów. A na koniec, kiedy myślałem, że uda mi się ułożyć wszystko od nowa, że jest jeszcze dla mnie szansa, ten tutaj wziął sobie to, co trzymało mnie przy życiu. — Obrócił się do niej wolno. — Ciebie!

Dwoma szybkimi krokami Dawid zbliżył się do Debory i pochylił ku niej wykrzywioną rozpaczą twarz.

— Kiedy tu wszedłem i zobaczyłem was razem — jego śpiącego tak spokojnie, z głupim uśmiechem na tej hitlerowskiej gębie i ciebie, z głową złożoną na rękach, w poddańczej pozie skuloną u jego łóżka, krew mnie zalała. Wiesz, co chciałem zrobić?

Debora, struchlała ze strachu, wolno pokręciła głową.

—Zauważyłem, co zrobiłaś przed chwilą, kiedy zorientowałaś się, że ja to ja. Szybko sprawdziłaś, czy twój kochanek żyje. Instynkt cię nie zawiódł, kochana. Miałem zamiar udusić go i wyjść. Obudziłabyś się rano obok zimnego trupa. Nawet nie wiedziałabyś, że to ja.

—Nie zrobiłaś tego, Dawidzie.

— Nie. Wiesz o tym, że mówisz przez sen?

Zdziwiona przekrzywiła głowę.

— Płakałaś w nocy i prosiłaś, żebym tego nie robił.

Najpierw myślałem, że się obudziłaś i wiesz, że tu jestem, potem jednak zorientowałem się, że śniesz. Spytałem, czemu mam tego nie robić. Domyślasz się, co mi odpowiedziałaś?

Zaprzeczyła.

— Odpowiedziałaś: „Znienawidziłabym cię”. Nie chcę, żebyś czuła do mnie nienawiść. Wszyscy, tylko nie ty. Chcę, żebyś żyła ze świadomością, że coś mi zawdzięczasz. Dlatego czekałem do rana.

Dawid zaśmiał się jak szaleniec. Chwyił ją mocno za ramiona i pocałował, miażdżąc przy tym boleśnie jej wargi. Nie miała dość siły, by mu się wyrwać, nie mogła krzyczeć. Ale żaden ciąg dalszy nie nastąpił. Dawid uwolnił ją i opuścił białą szpitalną salę, prawie biegnąc, pozostawiając Deborę z twarzą ukrytą w dłoniach, zmartwiałą z przerażenia.

Chwilę później poranną ciszę bożonarodzeniowego poranka przeszył pojedynczy odgłos wystrzału. Debora podbiegła do okna.

Dwa piętra niżej, na środku ulicy w białym, dziewiczym puchu świeżego śniegu, nieskażonego ludzką stopą, końskim kopytem ani też oponą samochodu, leżał Dawid Rosner, a wokół jego strzaskanej głowy wolno rozkwitała plama czerwieni. W zaciśniętej spazmatycznie dłoni wciąż jeszcze trzymał dymiący pistolet. Usta Dawida rozciągnięte były w obłąkanym uśmiechu, oczy zaś pozostały otwarte i Deborze wydawało się, że patrzą prosto na nią.

* * *

Odgłos strzału obudził Brunona, nieświadomego dramatu, który rozegrał się tuż przy nim, niezdającego sobie sprawy z tego, jak blisko śmierci był tej nocy.

—Co to było? Ktoś strzela?

—Ciii, to nic, na dworze.

* * *

Debora weszła do pokoju komendanta milicji miejskiej w asyście dwóch posterunkowych. Major Połtawski odprawił podwładnych ruchem ręki. Debora zdążyła poznać Marka podczas kolacji, jaką przygotowała na cześć majora i jego żony zaledwie kilka tygodni wcześniej. „Nasza pierwsza proszona wizyta” — śmiał się Dawid. Szefa miejscowej milicji obywatelskiej spotkał jeszcze w czasie służby w Armii Czerwonej. Służyli w jednym oddziale. Zaprzyjaźnili się — Polak i Żyd, dwóch ludzi połączonych wspólnotą losów. I galicyjskim pochodzeniem.

—Co ja mam z tobą zrobić, Deboro? — Marek patrzył na nią poważnie. Wyciągnął w jej stronę papierośnicę. Zapaliła, wdzięczna, że ma co zrobić z rozdygotanymi rękami.

—Dawid się zabił...

—Wiesz, jak to wygląda? Komendant gliwickiego aresztu, człowiek, który tak skutecznie rozliczał zbrodnie niemieckich morderców, popełnia samobójstwo, strzelając sobie w głowę i wyskakując z okna! I to dlaczego? Bo jego narzeczona ma dziecko z esesmanem...

—Wiem.

—To wygląda bardzo, bardzo źle. Posłuchaj, Deboro. Nie dostałem jeszcze rozkazu, żeby cię aresztować, ale przypuszczam, że to kwestia czasu. Formalnie jesteś teraz przesłuchiwana. Jako podejrzana o zabójstwo. Na twoje szczęście Dawid był tak uprzejmy, że wyskoczył z okna na korytarzu, nie zaś z sali twojego kochanka. Jego śmierć widziało kilka osób.

—Co to dla mnie znaczy?

— Nieco więcej czasu. Jednak nie na tyle dużo, by ten twój Szkop zdążył wydobrzeć, rozumiesz?

Debora wolno kiwnęła głową.

—Za kilka dni przyjdą po ciebie. Moi ludzie, albo nawet gorzej. Zrobią ci proce—, w najlepszym wypadku nie wyjdiesz z więzienia. Zabiorą ci dziecko. Pewnie trafi do placówki

opiekuńczej albo do jakiejś poprawnej ideologicznie rodziny.

—Boże... — Zdusiła papierosa w podsuniętej popielniczce i walczyła teraz z napływającymi pod powieki łzami.

—Nie mówię tego, żeby się nad tobą znęcać, choć nie rozumiem, jak mogłaś... Nieważne, Dawid nie chciałby, żeby stała ci się krzywda. Kochał cię do szaleństwa.

Marek otworzył szufladę i wyciągnął z niej wąską kopertę z szarego papieru. Przesunął ją po stole w stronę Debory.

—Co to jest?

—Dokumenty i bilety na pociąg do Berlina.

—Berlin?!

—A dokąd, przepraszam bardzo, miałaś zamiar udać się z tym swoim Kramerem, co?

—Nie wiem, ja... on... Jest jeszcze bardzo słaby.

—Trudno. Musi wziąć dupę w troki i spierdalać stąd. Tak, jak ty. I wasze dziecko, rozumiesz?

Debora otworzyła kopertę. Ze środka wysypały się bilety i tymczasowe dokumenty. Wystawione na małżeństwo Gretę i Antona Allermannów. Znowu zmiana tożsamości...

—Zabieraj się z Polski, Deboro. Najlepiej jeszcze dziś. Nie ma już tu dla ciebie miejsca.

—Dziękuję, Marku...

—Panowie cię odprowadzą do wyjścia — mówiąc to, wstał, otworzył drzwi i kiwnął ręką na dwóch czekających na zewnątrz funkcjonariuszy.

Nie podał jej ręki, nic już nie powiedział na pożegnanie. Rzucił jej tylko smutne spojrzenie.

* * *

Znów w drogę! Który to już raz muszę cały swój dobytek równo poukładać w sfatygowanej walizce, pamiętającej chyba młode lata mojej babki. Ledwie się zamyka, taka jest pełna. Dla siebie nic prawie nie zabieram, większość miejsca zajmują rzeczy Piotrusia.

Pieluchy, śpioszki, butelka i miś, подарowany mu przez Dawida. Przetykam łyzy i żegnam się serdecznie z Grażynką i małą Melanią. Padają życzenia bezpiecznej podróży, obietnice wymiany listów. Nie mówimy o tym, ale obie wiemy, że możemy się już nigdy więcej nie spotkać... Po schodach wbiega Krzysztof. Przyjechała taksówka, która zawiezie nas oboje do szpitala. Mąż Grażynki, mój najlepszy przyjaciel, bierze w rękę skromny bagaż, na grzbiet wrzuca plecak z ubraniami i lekami dla ciebie, Bruno. Mocno przytulam synka i wychodzimy. W kieszeni mam kopertę z biletami.

** * **

Śpisz, nadal sam w szpitalnej sali. Jesteś spokojny, nie wiesz, że za moment brutalnie wyrwiemy cię ze snu. Potrząsam twoim ramieniem. Staram się być delikatna, ale i tak jęczysz z bólu. Cały jesteś jednym wielkim krwawym sińcem. Stosunkowo najlepiej wygląda twoja twarz, co widzę dopiero teraz, kiedy stoisz wobec nas niemal nagi, trzęsąc się z zimna, nagle wyrwany ze snu. Rozumiesz powagę sytuacji i ubierasz się szybko, mimo iż wyraźnie sprawia ci to dużą trudność. Pomagam z guzikami, paskiem u spodni, zawiązuję sznurówki butów. Próbujesz zrobić kilka pierwszych kroków, ale zaraz zmęczony siadasz na łóżku. Krzyś napętnia strzykawkę płynem z małego słoiczka. Robi ci zastrzyk w ramię.

— To narkotyk i środek przeciwbólowy. Dam wam zapas, Deboro. Powtórzysz iniekcję, jeśli będzie trzeba. Tylko go nie nadużywaj. Łatwo się uzależnić...

— Krzysiu, czy on przeżyje taką podróż? — pytam szybko po polsku. Chyba zrozumiałeś, bo patrzysz na Krzysztofa wyczekująco.

On przechodzi na niemiecki:

— Tak, ma pan silny organizm, kapitanie Kramer. I dużą wolę życia. Proszę tego nie zmarnować. Ma pan się o kogo

troszczyć na tym świecie.

Kiwasz głową i przenosisz spojrzenie na Piotrusia.

** * **

Mam syna! Jeszcze do końca sobie tego nie uświadamiam, choć widzę podobieństwo, gdy patrzę na jego jasną buzię. Utkwiło mi w pamięci zdjęcie z okresu, kiedy sam byłem niemowlęciem. Spoczywam w ramionach matki i ciekawie spoglądam w obiektyw aparatu. Mam na sobie idiotyczną, anielsko—koronkową sukienkę zgodną z ówczesną modą, ale i tak widać, że wyrośnie ze mnie łobuziak. Mój synek wdał się we mnie. Nie wyprę się go, choćbym chciał. Wcale zresztą nie zamierzam zaprzeczać, że jest mój.

Tyle się zdarzyło w ciągu ostatnich kilku dni. Wróciłem z piekła, by nagle, niespodziewanie znaleźć się w niebie, gdzie czeka już na mnie moja czereśniowa boginka i trzyma w ramionach owoc nocy, którą podarowała mi tak niespodziewanie. Dziecko też jest niespodzianką. To prawda, nie uważaliśmy wtedy specjalnie, ale też nie braliśmy pod uwagę możliwych konsekwencji. Ja na pewno o nich nie myślałem. To miał być koniec, nie zaś nowy początek. Stało się inaczej. Zostałem ojcem chłopca, którego matka jest Żydówką. Pomyślałem o własnej matce. Będzie się śmiać Elizabeth Kramer, będzie ze mnie głośno drwić wszytkowiedząca rodzicielka. Zdradziłem wznioste nazistowskie ideały, za które parę lat temu myślałem bić się do ostatniej kropli krwi. Zawsze wierny... Jestem jednak pewien, że tak naprawdę Elizabeth ucieszy się i zaakceptuje moją rodzinę... Rodzinę? Czy ja nie posuwam się za daleko, Deboro? Ledwie uciekłem śmierci spod łopaty, niepewnie stoję na nogach, cały obolały i spuchnięty, nocą prześladowuje mnie upiorna twarz mego oprawcy, a już snuję plany? Nie wiem też, co ty o tym wszystkim myślisz. Nie mam pojęcia, co do mnie czujesz. Ratowałaś, ale czy kochasz? Straciłaś właśnie narzeczonego. Ja jestem tego przyczyną. Jakaż to ironia, że to właśnie jego los uczynił moim katem. Teraz musisz uciekać do kraju zamieszkanego przez zbrod-

niarzy, winnych śmierci wszystkich, których kochałaś. Ta pośpieszna, nocna ucieczka też przeze mnie! Ja nie miałem tyle odwagi, by dla ciebie wszystko zaryzykować... Co będzie dalej? Nie wiem, zobaczymy. Na razie muszę skupić się na tym, byśmy bezpiecznie dostali się do Berlina.

* * *

Taksówka czekała na nich pod samymi drzwiami szpitala. Dotarcie do niej sprawiło Brunonowi sporą trudność. Ciężko było mu także umieścić w niewielkim citroenie potężne, niemal bezwładne ciało. Krzysztof poganiał i nerwowo rozglądał się wokół. W końcu — pojechali. Pod dworcem odwrotna procedura — wysiadanie. Spokojny dotąd Piotruś nagle zaczął rozpaczliwie płakać. Zwracali na siebie zbytnią uwagę, Debora już wyobrażała sobie, jak podchodzi do nich milicyjny patrol z psem. Na szczęście, mimo późnej pory, dworzec pełen był ludzi — przyjeżdżających i wyjeżdżających, siedzących na walizkach w oczekiwaniu na pociąg i wypatrujących wychodzących z peronu bliskich. Powojenna wędrówka ludów.

Szczęśliwie znaleźli miejsce siedzące w pociągu do Berlina. Pomógł łut szczęścia i ludzka życzliwość. Rozstępowali się na widok ich małej rodziny — matki z niemowlęciem i słaniającego się na nogach ojca. Debora posadziła Brunona na podłodze w korytarzu, wręczyła mu becik z płaczącym wciąż Piotrusiem, sama umościła się obok na walizce, którą Krzysztof podał jej przez okno. Tuż przed odjazdem zastukał jeszcze w szybę.

— Tak, Krzysiu?

Dyskretnie wręczył jej kilka amerykańskich dolarów i czekoladę z darów UNRRA.

—Ale ja... nie mogę...

—Weź. Oddasz mi, jak będziesz mogła. Czekoladę zjedzcie. Oboje musicie być silni.

—Dziękuję. Napiszę, jak tylko dojedziemy do Berlina.

—Jeszcze jedna rzecz — Krzysztof stanął na palcach i kontynuował ściszym głosem: — W szpitalu, kiedy Bruno był nieprzytomny, usunąłem tatuaż... Pod pachą ma świeżo zagojoną bliznę. Jest nieduża i nie rzuca się w oczy, ale uważajcie. Uznałem, że lepsza nieoczywista blizna niż oczywiste oznaczenie esesmana. W razie gdyby na granicy ktoś wypytywał o jej pochodzenie, powiesz, że to efekt pobicia, mąż nie chciał wyprowadzić się z domu, oddać roweru... Coś wymyślisz.

Debora kiwnęła głową. Nagle jasno i wyraźnie uświadomiła sobie, na co się porywają. Dotarli do pociągu, mają bilety, siedzą — to wszystko czubek góry lodowej. Nie są wcale bezpieczni. W każdej chwili ktoś może się nimi zainteresować. Bruno rzuca się w oczy. To prawda, że bardzo zmizerniał i wychudł, porusza się z trudem, jednak wciąż jest tak samo wysoki! Wyższy od większości współpasażerów. Dokumenty mają bez zdjęć, tylko tymczasowe, obrączek brak, nawet nie uzgodnili wspólnie, co będą mówić w razie przesłuchania. On ranny, do tego marudzące niemowlę. Bała się, że w tej podróży będzie musiała liczyć tylko na siebie, by ochronić ich trójkę.

Pociąg szarpnął i ruszył powoli na zachód. Zaraz za krawędzią peronu tory zakręcały łagodnie. De—bora długo jeszcze widziała stojącego samotnie na peronie Krzysztofa.

* * *

Droga przez polskie terytorium minęła im zaskakująco spokojnie. Marek Połtawski, choć pewnie niecelowo, jednak dobrze wybrał termin. Okres między świętami a pierwszym powojennym sylwestrem był stosunkowo bezpieczny. Mniej niż zwykle patroli, ludzie życzliwiej do siebie nastawieni, zajęci własnymi sprawami. Nie zwracali na nich zbytnej uwagi. Bruno głównie spał, z dzieckiem na kolanach, z półotwartymi ustami, w które De—bora wkładała od czasu do czasu kostkę czekolady. Uśmiechał się wtedy błogo przez sen. Piotruś, początkowo

niespokojny, także zasnął w końcu, uspokojony matczynym mlekiem, ciepłem i monotonnym kołysaniem posuwającego się uparcie do przodu pociągu. Podróżowali szybko i bez niespodzianek aż do nowej granicy między Polską a Niemcami, w Guben nad Nysą. Tam do wagonów wkroczyli żołnierze sowieccy i zaczęli sprawdzać dokumenty pasażerów. Gdy ktoś im się nie spodobał, wyciągali go na peron i dokładnie sprawdzali. Szukali esesmanów, zabierali wartościowe drobiazgi — zegarki, złote obrączki, jedna z pasażerek rozstała się z cennym futrem z norek. Debora czekała zmartwiała, myśląc gorączkowo, jaką bajeczką przywitać żołdatów. Obudzony Bruno nie odzywał się, siedział tylko z uniesioną głową, wpatrzony w sufit.

—Bardzo boli? — Delikatnie dotknęła jego ręki.

—Coraz mocniej. Akurat teraz! — Próbował usadowić się wygodniej, ale tylko syknął cicho i wolno wypuścił powietrze z płuc.

Sięgnęła po plecak, odmierzyła dawkę leku i podwinęła rękaw jego swetra.

— Zapieczę.

— Przeżyję — uśmiechnął się słabo.

Specyfik zadziałał prawie natychmiast. Kiedy do ich wagonu dotarł żołnierz wrzeszczący: „ Ausweiskontrolle!”, Bruno siedział z powrotem spokojny, obejmując ręką śpiącego Piotrusia.

* * *

Boże, proszę, pomóż mi, nie pozwól im nas skrzywdzić.

* * *

— *Frau Greta und Herr Anton Allermann?* — Rosjanin sprawnie posługiwał się niemieckim.

—Ja

—*Wohin gehen Sie?*

—*Zu Hause*, Mieszkamy w Schwarzwaldzie — wołała nie ryzykować. Bruno miał mocny południowy akcent, jeśli Rosjanin

zacznie go przepytywać, a jest obyty z niemieckimi gwarami, rozpozna.

—Nie mówi pani południowym dialektem. — Był widać dobrze osłuchany z językiem niemieckim.

—Ja nie, pochodzę z Berlina.

—Skąd wracacie?

—Z Gliwic.

—Po co tam byliście? Co twój mąż robił w czasie wojny? Czemu się nie odzywa? — żołnierz nagle porzucił uprzejmy ton. Bruno mu się wyraźnie nie spodobał. — *Posmotri na mienia, giermaniec!* — krzyknął wzburzony po rosyjsku.

Ludzie zaczęli obracać głowy w ich stronę. Bruno podniósł wzrok i już—już miał się odezwać, gdy Debora postanowiła zagrać *va banque*:

— Panie oficerze, ja jestem Żydówką. Byłam w obozie... Mąż przyjechał mnie odnaleźć. On jest kaleką, nie ma nogi. Stracił ją w trzydziestym dziewiątym i od tego czasu już nie walczył. Nic nie mówi, bo jest ranny. Pobili go w Gliwicach... Proszę pozwolić nam wrócić do domu! — Rozpłakała się przy tym w głos.

Teraz już patrzyli na nich wszyscy — pasażerowie, obsługa pociągu, rosyjscy żołnierze. Przesłuchujący ich oficer zmienił się na twarzy.

— Pokaż nogę! — rzucił Brunonowi.

Niemiec uniósł nogawkę spodni, ukazując protezę.

— Dokumenty w porządku. Szczęśliwej podróży. *Ja tożę Jewriej* — rzucił Deborze na pożegnanie Rosjanin.

* * *

Ich wagon był przedostatni w składzie. W ostatnim przesłuchujący ją oficer znalazł ukrywającego się esesmana. Mężczyzna wrywał się i krzyczał, kiedy wywlekano go z pociągu. Na peronie próbował uciekać. Już miał przeskoczyć na

drugą stronę torów i bezpiecznie ukryć się przed wzrokiem prześladowców, gdy dopadła go i powaliła kula wystrzelona z radzieckiej tetetki. Pistolet dymił jeszcze w dłoni Rosjanina, gdy pociąg powoli wytaczał się ze stacji Guben. Bruno siedział poszarzały na twarzy, milczący. Debora także się nie odzywała. Zdawała sobie sprawę, że swoim występowaniem zwróciła na nich uwagę wszystkich towarzyszy podróży. Głównie kobiet, dzieci i starych mężczyzn, jednak wśród tej ludzkiej ciżby trafiło się kilku młodych, podejrzanych typków. Siedzieli teraz razem, rozmawiając półgłosem. Co jakiś czas spoglądali w ich stronę. Wreszcie jeden zebrał się na odwagę i podszedł do nich. Stał tuż obok, zapalił papierosa i zaczął demonstracyjnie wypuszczać w ich stronę dym.

Wtedy dopiero odezwał się Bruno, wcześniej śledzący bezgłośnie poczynania mężczyzny:

— Nie pal mi pan tutaj.

— Bo co? — Facet schylił się i dmuchnął mu prosto w twarz.

— Bo nie lubię, jak ktoś mi truje dzieciaka.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Tak szybko, że Deborze było potem trudno przypomnieć sobie je we właściwej kolejności.

Bruno podał jej synka. Przyjęła go niemal automatycznie, tuląc opiekuńczo w ramionach. Kramer chwycił tamtego za rękę z papierosem i obrócił ją pod takim kątem, że mężczyzna klęknął, z głową tuż nad podłogą. Bruno wolną dłonią docisnął mu twarz do drewnianych desek tak mocno, aż napadnięty zaczął wierzgać nogami.

— Spierdalaj stąd, szmaciarzu. Ale najpierw oddaj papierosy i zapalniczkę.

Zmartwiały prowokator nawet nie jęknął. Bez słowa spełnił żądania Brunona i odszedł do swoich towarzyszy.

Kramer spokojnie wyjął z paczki papierosa i odpalił go. Do celu podróży dojechali nie niepokojeni. Nikt raczej nie miał wątpliwości, że opowieść, którą Debora poczęstowała Rosjanina, była zwykłą

bajeczką. I nikt nie starał się dociec prawdy.

* * *

Jak ty to zrobiłeś, Bruno? Z połamanymi kośćmi w obandażowanej ręce? Chwilę wcześniej nie byłeś w stanie ruszyć się bez pomocy! Swoje na pewno zrobił krążący w twoich żyłach narkotyk, ale tak czy inaczej, w twoim stanie nie miałeś prawa dać takiego pokazu siły i brutalności. A jednak... W niczym nie przypominałeś tamtego młodego, rannego i przerażonego chłopaka, któremu sześć lat wcześniej uratowałam życie. Stałeś się twardy. Bezwzględny. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jak skręcasz kark tamtemu mężczyźnie, a potem spokojnie odchodzisz bez oglądania się za siebie. Było mi dziwnie. Z jednej strony odczuwałam ulgę, że nie jestem sama w tej trudnej sytuacji. Równocześnie jednak zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrafisz być niebezpieczny. Nawet teraz. Nawet ranny i nie do końca przytomny.

* * *

Historyjka o tragicznych losach mieszanego małżeństwa przydała im się jeszcze raz, podczas przekraczania granicy między radziecką i amerykańską strefą okupacyjną.

* * *

Gdy pociąg zbliżał się do Berlina, Bruno się ożywił. Z radością myślał o tym, że zatrzymają się na trochę u wuja Heiniego, brata matki. Odpoczną, on nabierze sił, pokaże Deborze to i owo i dopiero pojedą dalej. Do domu. Do Schwarzwaldu. Jeśli ona oczywiście zechce z nim być... Na razie nie pytał, nie czuł się gotowy na ewentualną odmowę.

Już sam widok berlińskiego dworca sprawił, że przysły nadzieje na spokojny odpoczynek. Częściowo zburzony gmach gęsto zaludniały setki, tysiące podróżnych. Nawoływania, płacz zmęczonych dzieci, wszędzie ludzie. Zrezygnowani, głodni, ospali, albo przeciwnie — niezdrowo ożywieni, kręcący się bez

celu we wszystkie strony. Bez pomysłu na dalszą drogę. Cel — wyrwać się z sowieckiej strefy okupacyjnej — osiągnięty. Dokąd mieli teraz iść zdemobilizowani żołnierze uwolnieni z niewoli, ozdrowieńcy z obozów śmierci, uciekinierzy z własnych, pozostawionych na wschodzie domów? Większość bez nowych adresów, pieniędzy, czekających na peronie krewnych... Widząc tężejącą minę Brunona, Debora szybko pociągnęła go za sobą do wyjścia.

Na zewnątrz wcale jednak nie było lepiej. Berlin przyjął ich, tonąc w brudnym śniegu. Miasto ruin, posypane obficie zimnym puchem. Centralne dzielnice zostały niemal zmiecione z powierzchni ziemi podczas kwietniowej bitwy o stolicę nieistniejącej już Trzeciej Rzeszy. Ocalałe budynki nadal często nie miały okien, wielu domom brakowało dachów. Po ulicach snuli się smutni, wystraszeni mieszkańcy. Mimo mrozu, wszędzie unosił się smród rozkładających się ciał. Bruno z rozpaczą obserwował zniszczenia, jakie działania wojenne poczyniły w ukochanym mieście jego dzieciństwa. Nie poznawał zburzonej, pokonanej stolicy Niemiec, która kiedyś była żywym, dumnym Berlinem. Tęsknił za nim, odkąd wyjechał stąd jako dzieciak. Teraz, widząc sceny niczym z apokalipsy, tracił nadzieję. Wszystko zniszczone!

* * *

Co myśmy najlepszego narobili!

* * *

Słabł z każdą chwilą. Im bardziej zagłębiali się w białe piekło miasta, tym mniej pewnie Bruno stawiał kroki. W końcu usiadł, zbyt zmęczony, by iść dalej. Debora podała mu ostatnią dawkę leku, który dostała od Krzysztofa i pociągnęła za rękaw grubego swetra.

—Musimy iść dalej.

—Dokąd? Po co?

—Do szpitala. Wiesz, gdzie tu jest jakiś szpital? Mieszkałeś

przecież w Berlinie!

—Tak, ale nie wiem, nie pamiętam. Wtedy wszystko wyglądało... inaczej.

Przyłożyła mu rękę do czoła. Znowu gorączka! Niedobrze. Zagadnęła pierwszego napotkanego przechodnia o lekarza.

— Dwa kroki stąd jest tymczasowy szpital amerykański. Pewnie was przyjmą. Pomóc pani?

Przez chwilę mierzyła wzrokiem niespodziewanego sojusznika. Grubawy Niemiec koło czterdziestki. Podtatusiały, łysiejący, patrzył współczująco. „Co robiłeś w czasie wojny?” pomyślała, ale zaraz sama siebie przywołała do porządku — tutaj powinna pytać o to właściwie każdego spotkanego człowieka. Zwariować można. Kiwnęła głową.

Wzięli Brunona pod rękę, mężczyzna niósł jej walizkę, Piotrusia umościła wygodnie w plecaku i poszli razem w kierunku rozświetlonych okien szpitala.

* * *

Berlin,

10 stycznia 1946 roku

Kochani Grażynko i Krzysztofie! Przepraszam, że piszę dopiero teraz, ale wyobraźcie sobie, że wcześniej nie miałam po prostu nawet koperty i znaczka! Berlin jest straszny. Pewnie mniej zniszczony niż Warszawa, jednak to miasto nie nadaje się do życia. Jak tylko Bruno poczuje się lepiej, chcę stąd uciec. Wszędzie gruzy, trupy, rozkład, na ulicach inwalidzi, bandyci, wariaci. Trzeba uważać, gdzie się chodzi, z kim rozmawia, najlepiej siedzieć w domu i nigdzie się nie pokazywać. Po przyjeździe tutaj trafiliśmy od razu do szpitala. Bruno gorączkował. Źle zniósł podróż, potem jeszcze to chore miasto... Na szczęście udało nam się dostać do strefy amerykańskiej, opiekę lekarską mają tu na naprawdę wysokim

poziomie, mimo dosyć prymitywnych warunków lokalowych. Krzysiu, jestem pewna, że z zachwytem oglądałbyś sprzęt, jakim dysponują Amerykanie! W szpitalu spędziłyśmy tydzień. Mnie, ze względu na dziecko, też pozwolono zostać. I dobrze, bo naprawdę nie wiedziałabym, gdzie się podziać. Bruno powiedział mi co prawda, że ma w mieście rodzinę. Zaraz jak tylko umieściłam go na oddziale, ruszyłam szukać ulicy, przy której miał mieszkać jego wuj, hrabia Heinrich von Eckerhant (wyobrażacie sobie — matka Brunona jest siostrą prawdziwego hrabiego!). Niestety, okazało się, że wszystko zburzone, po domu wujostwa nie ma śladu. Ciężko było mi wracać do szpitala z takimi wieściami. Liczyłam na jakieś pozytywne informacje, miałam nadzieję, że czegoś dowiem się choćby o losach Hugona. Jednak nie — niczego nie udało mi się ustalić. Na szczęście, wracając, podsłuchałam rozmowę dwóch Niemców. Okazało się, że berlińczycy szukają się poprzez karteczki przypinane na murach wokół kilku ocalałych placów miasta. Zupełnie tak samo, jak w Warszawie. Tam też przecież nie został się chyba jeden cały budynek w śródmieściu... Wiedziona instynktem zostawiłam i ja taką krótką informację wujowi Brunona.

Jak dobrze, że to zrobiłam! Przyjechał po nas osobiście wielkim amerykańskim wozem. Ten hrabia to zdaje się lepszy cwaniak — mówi po angielsku, ma zresztą amerykańską żonę i całkiem chyba nieźle mu się żyje pod „okupacją” zza oceanu. Prowadzi z Jankesami dosyć tajemnicze interesy... Zburzoną willę zamienił na mieszkanie w dalszej, mniej poszkodowanej przez wojnę części Berlina i żyje sobie całkiem wygodnie. Co prawda tylko w trzech pokojach, ale to i tak prawdziwy luksus w dzisiejszych czasach. Ucieszył się bardzo, gdy nas zobaczył i zabrał do siebie, kiedy tylko stan Brunona na to pozwolił. Natychmiast poinformował nas, że Hugo Kramer żyje i jest już u matki, w domu. Zadepeszował też do Schwarzwaldu z wieściami

o szczęśliwym odnalezieniu młodszego z braci Kramerów. Co prawda nie do końca prawdziwymi, bo Bruno przedstawił mnie wujostwu jako żonę... Nie pytali o obrączki, w ogóle odnoszę wrażenie, że nie są to ludzie konserwatywni. Odstąpili nam jeden pokój i na razie jesteśmy tutaj. Zbieramy siły. Bruno prosił, bym podziękowała Krzysiovi za zabieg estetyczny, jaki na nim przeprowadził w Krakowie. Jest całkiem zadowolony z efektu. Pożyczkę odsyłam wam przekazem — liczę na to, że szybko dotrze! Mam też nadzieję, że u was wszystko dobrze, a Mela chowa się zdrowo. Piotruś rośnie jak na drożdżach. Zresztą dobrze mnie tu karmią, więc pewnie i mleko mam najwyższej jakości! Odezwę się znowu, gdy zdecyduję, co robić dalej.

Całuję,

Wasza Debora

* * *

„Zdecyduję, co robić dalej”, napisała Debora i odłożyła na moment pióro. Siedziała zamyślona, patrząc w okno niewidzącymi oczami. Naprawdę, nie miała pojęcia, co robić dalej. Byli w Berlinie już prawie dwa tygodnie, a ona dopiero dziś poczuła się na tyle spokojna, by móc bez emocji zastanowić się nad swoją sytuacją. Odkąd Krzysztof poinformował ją o tym, że Bruno umiera w gliwickim areszcie, życie zwariowało. Próbę ratowania Niemca podjęła właściwie bezrefleksyjnie. Uznała, że jest mu to winna. Jemu i Piotrusiowi. W końcu to Bruno był biologicznym ojcem jej synka. Wcześniej przez myśl jej nie przeszło, by szukać Kramera. Tamten okupacyjny okres i ich burzliwy romans woląta uznać za zamknięty rozdział swojego życia, zwłaszcza że pojawił się Dawid...

Dawid! Jej dobry, wrażliwy i kochany narzeczony, który stał się nieobliczalnym katem! Wrócili do siebie tak, jakby nie było między nimi tych sześciu lat rozłąki. To, że wprost z gliwickiego

dworca poszli do jego mieszkania, do jego sypialni, by kochać się i pieścić, było tak naturalne, tak oczywiste. Obok spał syn innego mężczyzny, a Dawid o nic nie pytał, niczego nie chciał wiedzieć. Przyjął obce dziecko jak swoje, niemal oszalał na punkcie tego małego człowieka. Natychmiast zaczął przygotowania do ślubu. Znalazł Deborze krawcową, która miała uszyć suknię ślubną, gdzieś zdobył biały materiał, gromadził zapasy na weselne przyjęcie. Może inni ludzie widzieli, jak rodzi się w nim potwór. Debora tego nie dostrzegала. Nie chciała, a może po prostu przy niej ukochany był inny, przedwojenny. Delikatny i czuły. Taki, jak kiedyś.

* * *

A jednak wystarczyła chwila, by porzuciła go bez zastanowienia.

* * *

Nie miała nadziei, że swoimi zeznaniami pomoże esesmanowi. Była zaskoczona tak samo, jak reszta ludzi obecnych na sali sądowej. Jak sam Bruno, nie mogła uwierzyć w wyrok uniewinniający. Bez wahania przyjęła na siebie obowiązek dalszego ratowania Niemca. Gdy powiedziało się „A”, trzeba powiedzieć i „B”. Krótki, szczęśliwy epizod jej życia dobiegł końca, znów trzeba było salwować się ucieczką. Wszystkie siły skoncentrowała na ratowaniu najbliższych ludzi, jacy zostali jej na tym świecie.

Teraz obaj byli w miarę bezpieczni. Spojrzała za siebie. Piotruś spał cichutko na pleckach, przykryty ciepłym kocykiem, tym samym, w którym odbył szaloną podróż do Berlina. Leżał na środku wielkiego łóża, jakie od kilku dni dzielił ze swymi rodzicami.

Właśnie...

Bruno przedstawił ją wujostwu jako swoją żonę. W związku z tym Heinrich i Lotta von Eckerhant oddali im do dyspozycji swoją

sypialnię, jako „pokój najbardziej odpowiedni dla młodego małżeństwa”. Starszy hrabia mrugnął do niej i dodał teatralnym szeptem, że to się świetnie składa, ponieważ Lot—tie strasznie chrapie, więc on od dawna szuka pretekstu, by przestać z nią sypiać. Debora zarumieniła się lekko, widać było jednak, że rubaszne żarty są tu na porządku dziennym, bo w odpowiedzi hrabina po prostu zdzieliła męża szmatką do kurzu po łysiejącej głowie. Tak oto oboje z Brunonem wylądowali w jednej sypialni z ogromnym, pojedynczym łóżem małżeńskim. Do tej pory przebywanie razem nie stanowiło problemu. To ona panowała nad sytuacją — ona go dotykała, zmieniała opatrunki, robiła zastrzyki, pomagała tam, gdzie było to konieczne. Uważała to za naturalne — skoro zdecydowała się go ratować, zrobi to do końca. Zresztą z dnia na dzień Bruno stawał się bardziej samodzielny. Krzysztof postawił dobrą diagnozę — organizm Niemca był silny, rany goiły się na nim jak na psie, zgruchotane kości zrastały. Berliński szpital opuścił o własnych siłach, całkiem nawet szybkim krokiem przemierzając jego korytarze i pokonując schody.

To, że Debora z Piotrusiem będą mu nadal towarzyszyć, traktował widać jak oczywistość. Nie uznał za słuszne nawet z nią tego uzgodnić. Inna sprawa, że nie dała mu na to szansy. Każdą próbę poruszenia przez niego drażliwego tematu ich dalszej przyszłości zbywała, zmieniała kierunek rozmowy, bądź wręcz wychodziła. Ignorowała też niezdarne próby nawiązania przez niego fizycznej bliskości. Nie chciała, żeby ją dotykał. Czy nigdy? Nie wiedziała. Na pewno na razie. Wspomnienie Dawida było zbyt świeże. A to, co czuła do Brunona, zbyt nieoczywiste. Sama nie potrafiła nazwać tego uczucia — bliższego współczuciu i przywiązaniu, wynikającemu ze wspólnoty losu, niż miłości. Raniła go swoim zachowaniem. Widziała to w jego oczach, gestach, smutku malującym się na twarzy. Czuła się kochana i było jej z tym źle. Tak naprawdę, gdyby mogła, rozstałaby się z

Niemcem w momencie, gdy odnalazł się wuj Heinie. Dokąd jednak mogła się udać, sama z dzieckiem w obcym mieście?

A teraz to wspólne łóżko.

* * *

Leżę w ciemności i patrzę na was, uśpionych obok mnie. Czuję ciepło bijące z małego ciała naszego synka, który cichutko młaska we śnie i porusza usteczkami. Pewnie marzy o mleku. Szczęśliwy dzieciak. Taki cichy i spokojny. Bezpieczny między nami. Sypialnię spowija mrok, jednak nie jest tak gęsty, bym nie widział twojej twarzy. Ty także śpisz, odgradzona ode mnie dzieckiem niczym murem obronnym, dodatkowo ukryta pod osobnym okryciem. Otula cię mgiełka rozrzuconych na poduszce włosów, słyszę twój równy oddech, przykrywający cię koc unosi się równomiernie. Chciałbym cię dotknąć, przytulić dłoń do twojego gładkiego policzka, nie robię tego jednak. Boję się, że cię obudzę i czar pryśnie. Odsuniesz się jak oparzona, rzucisz mi pełne pretensji spojrzenie, bolesne i niechętne. Bez słowa odwrócisz się do mnie plecami. Nie robię więc nic, wdzięczny za to, że mogę choć na ciebie patrzeć. Mieć was oboje blisko. Odsuwam od siebie wciąż jeszcze myśli o przyszłości. Jeszcze nie czas. Nie jesteśmy u celu podróży. Chcę zabrać was do matki, brata, do Schwarzwaldu. Do domu. Kiedyś go nienawidziłem, chciałem uciec z niego najdalej, jak to możliwe. Porzucić bliskich i spokój górskich lasów. Myślałem, że chodzi o zemstę za ojca. Tak naprawdę chodziło mi jednak o co innego. Chciałem żyć pełną piersią, zrobić coś, być kimś, przeżyć przygodę... Udało mi się! Wyrwałem się z sielskiej anielskiej rzeczywistości mojego szczeniństwa. Zasmakowałem w wojnie. Nauczyłem się zabijać bez mrugnięcia okiem. Poczutem swoją siłę, świadom potęgi, jaka stoi za moimi plecami. Zakosztowałem bitewnego koleżeństwa, zasmakowałem władzy, jaką daje mundur i pozwolenie na przemoc. Skosztowałem tego i bardzo szybko pożałowałem spełnienia marzeń. Było już jednak za późno. Podjąłem decyzję i musiałem ponieść konsekwencje. Do końca życia będę

pewnie płacił za popełnione zbrodnie. Jestem gotów na wszystko, poza utratą ciebie i Piotrusia. Ta perspektywa mnie przeraża i osłabia. Tu, w zniszczonym Berlinie, który jest niczym memento niemieckiej winy, nie jestem w stanie nawet o tym myśleć. Muszę do domu. Czuję, że dopiero tam będę na tyle silny, by znieść to, co szykuje dla mnie przyszłość. Tam będę gotów stanąć odważnie wobec twoich decyzji i zniosę wszystko, co dla mnie szykujesz. Mam złe przeczucia, ale odsuwam je od siebie najdalej, jak to możliwe. Teraz nie czas na trudne rozmowy. Zасыpiam...

** * **

Leżę cicho, z oczami wpatrzonymi w sufit. Nie mogę zasnąć, nie uspokaja mnie równy rytm waszych oddechów. Wy obaj śpicie spokojnie — ojciec i syn. Mały człowiek leży na wznak z rączkami rozrzuconymi na boki, przykryty po czubek noska wełnianym niebieskim kocykiem. Absolutnie bezpieczny w ciepłym kokonie swojego snu. Obok niego ty, na boku, zwrócony twarzą do mnie, z jednym ramieniem pod głową, drugim opiekuńczo obejmujesz przestrzeń wokół dziecka. Niemal dotykasz mnie czubkami palców, gdybym trochę się przysunęła, także ja znalazłabym się wewnątrz chronionego przez ciebie terytorium. Nie robię tego, wręcz przeciwnie, odsuwam się, niebezpiecznie balansując ciałem na krawędzi naszego łoża. Płaczę bezgłośnie. Nie jestem w stanie powstrzymać łez, które wciąż i wciąż produkują moje oczy. Nie wiem, skąd nagle tyle ich mam. Do tej pory nie płakałam — po rodzicach, siostrze, przyjaciółach... Chciałam rozpaczać i nie mogłam. Instykt przetrwania okazał się zbyt silny. Potem ciąża. Początkowo niechciana, potem, gdy poczułam pierwsze ruchy dziecka, stała się centrum mojego świata. Bolesny poród i jest! W moim życiu pojawił się ukochany synek. Jasny i ciepły niczym promień wiosennego słońca. Wreszcie odnalazł się Dawid i nie było już miejsca na łzy. Była radość i nadzieja na życie. Nowy początek w nowym świecie. A ty

wróciłeś i wszystko zniszczyłeś! Zburzyłeś mój szklany zamek i zabrałeś wszystko, co miałam. Co mogłam znowu mieć! Miłość, szczęście, normalność. Wszystko mi odebrałeś!

Opłakuję stratę, gdy śpisz. Wreszcie mogę pozwolić sobie na żalobę, choć cierpię ostrożnie, po cichu i w samotności. Powoli ogarniam ogrom zbrodni, jakie zostały popełnione na mnie i ludziach mi bliskich. Ogarnia mnie coraz większe przerażenie rozmiarem krzywdy, jaka stała się moim udziałem. Płaczę też dlatego, że wiem, iż tamte gliwickie dni były iluzją, jaką próbowałam zastąpić rzeczywistością. Dawid, choć dla mnie dobry i kochany, nie był już tym samym chłopakiem, którego żegnałam, gdy ruszał na wojnę. Gliwice nie były Lwowem. Pokój nie wrócił życia moich bliskich. Nowy porządek nie przekreślił żydowskiego dziedzictwa, które z morderczą pasją uświadomili mi ludzie tacy jak ty. Nigdy nie zapomnę zbrodni i przemocy, jakich byłam świadkiem i ofiarą. Strach pozostanie ze mną pewnie już na zawsze. Przeżyłam, ale za jaką cenę? Jestem matką, los jeszcze raz się do mnie uśmiechnął, stawiając cię ponownie na mojej drodze, gotowego, by dzielić ze mną dalsze życie... Tylko czy ja sama potrafię jeszcze „normalnie żyć”? Czy będę w stanie cię kochać? Być z tobą? A jeśli tak, to gdzie? Nie wyobrażam sobie naszej przyszłości. Były esesman i Żydówka? Jakże to tak? Poduszkę mam mokrą od łez. Boli mnie głowa, ciąży mi twoja zbyt bliska bliskość. Muszę się uspokoić, muszę to wszystko przemyśleć. Muszę się zdecydować. Ale jeszcze nie teraz. Nie tutaj. Zasypiam, ukołyszana własnym smutkiem.

* * *

Bracie!

Piszę do ciebie ja, bo Mama nasza nie jest w stanie. Co siądzie do pisania, to moczy kartkę łzami i rozmazuje atrament. Mówi, że to łzy szczęścia. Obaj jej synowie żyją, a jeden ma nawet rodzinę! Gratulacje, Bracie. Twoja Żona nie jest Niemką,

prawda? Wybacz wścibstwo, ale wyobrażałem sobie ciebie raczej z wysoką, cycatą blondyną, taką wiesz — wagnerowską Walkirią! A tymczasem Wuj pisze, że Twoja Pani jest drobna, ciemnowłosa... No i ja sam zostałem podobno stryjem? Zaskakujesz mnie, Brunonie.

Dobra, koniec tych złośliwości, bo się wściekniesz i przestaniesz czytać, a ja przecież tak jak i Mama — cieszę się i niecierpliwie czekam naszego spotkania. Tym bardziej że nie spodziewałem się, iż sam dożyję końca wojny. Wiesz, że oskarżyli mnie o zamach na tego kurdupła Hitlera? (jak to miło, że teraz już mogę o nim pisać, co chcę). Akurat w tym nie brałem osobistego udziału... Ale zawsze miałem niewyparzoną gębę i problemy z trzymaniem języka za zębami. Do tego, jak wiesz, nie znoszę idiotów. Wmieszanie mnie w tę aferę było nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności i złej woli kilku ludzi, którym nadepnałem na odcisk. Cierpiałem więc za niewinność, choć gdybym miał taką możliwość, chętnie wziąłbym udział w tamtej awanturze. Przynajmniej wiedziałbym, za co mnie biją... Ale nic to, przeżyłem, rany mi się zagoiły, Matka mnie odkarmiła (podobno po wypuszczeniu z obozu wyglądałem jak szkielet) i zostałem bohaterem. W każdym razie oficjalnie, bo chociaż wszyscy sąsiedzi twierdzą, że w czasach Trzeciej Rzeszy byli w mentalnej opozycji albo wręcz na wewnętrznej emigracji, dobrze wiemy, jak było naprawdę. No ale mną mogą sobie wytrzeć gęby: „z tego sioła pochodzi bohater, co cierpiał za nasze winy”. Brzydzę się tym, ale niech i tak będzie.

Mama nie może się Was doczekać. Pozwoliła mi litościwie wrócić do starej wagi, a potem wręczyła pędzel, młotek i zapędziła do roboty. Masz wyszykowane piękne mieszkanie! Przerobiłem dla Was ten podwójny apartament z osobnym wejściem, wiesz, z własną łazienką, toaletą i widokiem na las. Teraz przygotowuję drugi dla siebie i Anny Marii... Aha, bo ja, widzisz, Bracie, wiosną także się żenię! Z miłą, cycatą i

wyjatkowo wygadana Amerykanką. Przyjechała do naszego kochanego Schwarzwaldu z amerykańskim wojskiem jako fachowa stenotypistka, a pozostanie w charakterze pani Kramer. Spodoba ci się Anna Maria. Jest taka... monumentalna. Z postawy teutońska do szpiku kości, choć sprawdziłem — w rodzinie nie ma żadnych niemieckich przodków. Szwedzi, Anglicy, nawet Włosi i Polacy. I ani jednego przedstawiciela narodu panów! Ale dla ciebie to już chyba nie ma znaczenia, prawda?

Jak Berlin? Podobno leży w gruzach, tak jak i Drezno, Hamburg, Breslau... To ostatnie miasto zresztą zdaje się nazywa się aktualnie Wrocław? Nałogowo czytam teraz anglojęzyczne gazety (muszę wiedzieć, co pypla moja luba), o zniszczeniach wojennych piszą tam szeroko i, mam wrażenie, z upodobaniem. Także o obozach koncentracyjnych... Straszne to wszystko. Jednak dobry stary Schwarzwald i nasza urocza wioseczka właściwie pozostała nietknięta.

Domeczki stoją, jak stały, ludzie żyją, jakby wojna wydarzyła się gdzie indziej i zupełnie komu innemu. Tyle że kilku chłopaków do domu już nie wróci, po naszym hoteliku pęta się sporo obcokrajowców (za ich noclegi płaci nam armia amerykańska, powiem ci, że to całkiem niezły interes, dobrze, że nasz kawałek gór trafił się Amerykanom, Francuzi ponoć o wiele gorsi), w sali jadalnej siedzą koledzy Anny Marii, gramofon gra czarną muzykę... Kilku gospodarzy korzystało w czasie wojny z „pomocy” zagranicznych pracowników, zatem i tych jest u nas jeszcze kilkoro, jednak powoli wyjeżdżają. Niektórzy nawet czynią to z wyraźnym żalem, wyobraź sobie. Co mają w sobie te nasze góry, że tak trudno je opuścić? Bóg mi świadkiem, że nie wiem, ale sam wróciłem tu z radością. Nie wiedziałem, że z kłami i pazurami czeka na mnie przyszła małżonka... Nie myśl, że czuję się zmuszony do ożenku. Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony! Po prostu — wojsko uczyniło ze mnie cynika i kpiarza. Ot, taka samoobrona, gdy wiesz, że każda udana

„akcja” w powietrzu oznacza setki ofiar na ziemi... Do tego te ciągłe kłamstwa, puszenie się, propagandowe gadki. I to wszystko w momencie, w którym jasne jest, że *Blitzkrieg* się nie udał i nie wrócimy do domku na kolejne święta.

Przyjeżdżaj szybko, Brunonie. Usiądziemy, napijemy się piwa i pogadamy. Obaj przeżyliśmy.

Myślę, że to dobry moment na to, by zapomnieć dawne urazy...

A propos ślubu — zostaniesz moim družbą? Kłaniaj się ode mnie Wujostwu i Szanownej Żonie. Jak Ona ma na imię?

Twój starszy brat Hugo

* * *

Drogi Bracie,

Nie przypuszczałem, że to właśnie Ty do mnie napiszesz... ale cieszę się! Masz rację, zdecydowanie już czas zapomnieć o tym, co było. Moment bardzo po temu właściwy, Niemcy teraz masowo zapominają. Odpędźmy przeszłość i my. Gratuluję Narzeczonej! Oczywiście, że zostanę Twoim družbą. Rozbawił mnie Twój list. Zapomniałem już, jak barwnie potrafisz mówić i pisać. Dobrze wiedzieć, żeś w formie. Ja też powoli nabieram sił i — nie uwierzysz — tęsknię za domem. Wujostwo są co prawda wspaniali. Goszczą nas po królewsku, karmią, ubierają, ciotka uczy mnie angielskiego, żebym mógł dogadać się z przyszłą Bratową... Szaleje na punkcie mojego syneczka, mały ma więc zapewnione wszystko, co zniszczona stolica może zaoferować najlepszemu, a nawet więcej, bo przecież oboje hrabiostwo mają jakieś, nie całkiem dla mnie jasne, powiązania w amerykańskich kręgach towarzysko—wojskowych.

Berlin faktycznie bardzo zniszczony. Tu, gdzie mieszka Wuj, domy stoją właściwie nietknięte, ale ulicę dalej zaczyna się inny świat — ruiny, groby w ogrodach, ziemia zajeżdżona gąsienicami czołgów. I ten zapach! Śmierdzi spalenizną, rozkła-

dem, śmiercią po prostu. Czuć wszystko mimo mrozu. Od umarłych gorsi są nawet żywi. Działania wojenne skończyły się ponad pół roku temu, a mimo to Berlin pełen jest uciekinierów ze strefy radzieckiej, wojennych ocalańców, zdemobilizowanych żołnierzy. Niektórzy, tak jak ja, to inwalidzi bez nóg i rąk. Przykro patrzeć... Mieszkańcy stolicy także nie są tacy, jakimi ich zapamiętałem. Mężczyźni chodzą noga za nogą, cisi, ze spuszczonej oczami, jakby przepraszała, że żyją. Zagadnięci o cokolwiek, nerwowo rozglądają się na boki, zanim odpowiedzą. A kobiety! Podobno tu w Berlinie strasznie gwałcili... Nie wiem, nie pytam o to ani Wujka, ani Cioci, słyszałem tylko plotki. Wydają się jednak niestety wiarygodne. Gdy popatrzysz w twarz berlinianki, zobaczysz w niej... nie wiem nawet, jak to nazwać — rezygnację? obojętność? Na pewno głęboki smutek i wycofanie. Szczególnie te młodsze i ładniejsze są takie nienaturalne. Poruszają się jak automaty, mówią jak automaty, ma się wrażenie, że żyją w ogóle z przyzwyczajenia. Straszne to wszystko. Zwłaszcza gdy zdasz sobie sprawę, że sam zgotowałeś im ten los...

Pisziesz, że w domu wszystko w porządku. Cieszę się bardzo i już, natychmiast zaczynam się pakować! Muszę tylko porozmawiać z Deborą (tak ma na imię Matka mojego synka), czy pojedzie ze mną. Bo widzisz, my nie jesteśmy małżeństwem. Zachowaj, proszę, tę informację na razie dla siebie. Wujostwu przedstawiłem ją jako żonę, bo tak było łatwiej. Chciałem uniknąć zbędnych pytań. Faktycznie, nie pytają, choć widzę, że Ciotkę aż język świerzbi, by dowiedzieć się czegoś więcej o Deborze. A ona jest teraz taka cicha. Skupiona na dziecku, mówi mało, coraz więcej się na szczęście uśmiecha. Uśmiech ma bardzo ładny. W ramach rewanżu — spodoba ci się moja Debora. Drobna, delikatna, wydaje się bardzo krucha, a tak naprawdę — kobieta ze stali. Zawdzięczam jej życie. Matka też będzie kontenta. Jeśli wszystko się uda, to przywiozę jej

synową bardzo uzdolnioną muzycznie. Gra na fortepianie jak anioł (fortepian mam nadzieję nadal posiadamy?).

Tak jak pisałem wyżej — nie mam pewności, czy przyjadę do domu z Rodziną. Debora bardzo wiele przeżyła. Jest Żydówką — wyobrażasz sobie — ja i Żydówka? — wojna zabiła jej bliskich, odebrała rodzinne miasto, życiowe plany, a dała tylko mnie.

I Piotrusia oczywiście. A ja cóż? Zrobiłem jej dziecko i uciekłem, a kiedy wróciłem, buciorami rozdeptałem jej plany, zabrałem narzeczonego i zmusiłem do ucieczki z miejsca, gdzie zdążyła się jako tako zadomowić. Wiem, że piszę bardzo chaotycznie, ale za dużo tych nieszczęść, by opisać je w jednym, krótkim liście. A we wszystkich mam swój osobisty bądź pośredni udział! Nie zdziwię się, jeśli w pewnym momencie Debora powie „stop” i odejdzie. Bardzo tego nie chcę i boję się tej decydującej rozmowy, która czeka nas oboje. Wolałbym zostawić to do momentu, gdy będę z powrotem na swoim terenie, z Wami.

W każdym razie, tak czy inaczej — przyjadę najszybciej, jak będzie to możliwe.

Do zobaczenia, Bruno

* * *

—Deboro?

—Tak, Bruno?

Dotknął delikatnie jej ramienia. Zaskoczył ją, gdy stała, patrząc w okno niewidzącymi oczami. Błądziła gdzieś w myślach, wzdrygnęła się więc w odpowiedzi na jego gest, przywołana nagle do rzeczywistości.

— Nie masz już trochę dosyć Berlina?

Obróciła się gwałtownie, stając z nim nagle twarzą w twarz. Po raz pierwszy od bardzo dawna byli tak blisko.

— Mam. Chcesz jechać do domu?

—Tak, Dostałem list od Hugona.

—Wszystko u niego w porządku?

—W najlepszym. Jest cały i zdrowy, żeni się na wiosnę... — Popatrzył jej w oczy, ale szybko uciekła spojrzeniem.

—Zabierzesz nas ze sobą? — zapytała nagle z pasją, jakiej się po niej nie spodziewał.

—Właśnie chciałem poprosić cię, żebyś pojechała ze mną.

Kiwnęła głową.

—Kiedy wyjeżdżamy?

—Gdy tylko będziesz gotowa i uda mi się kupić bilety.

—Jutro?

—Chyba muszę wybrać się zatem na dworzec...

* * *

Operacja zakupu biletów poszła mi zaskakująco łatwo i sprawnie. Jak za starych, dobrych czasów — po prostu okienko kasowe, pieniądze i już trzymałem w ręku przepustkę do raju. Do domu... Wyjechać mieliśmy za dwa dni. Wuj przyjął informację o naszym wyjeździe dosyć spokojnie, ciotka rozpaczła: że zimno, a Piotruś maleńki, jeszcze się przeziębi, biedaczysko. A Debora taka chudziutka, biedactwo, blada, jak ona zniesie taką podróż. A Brunonek kochany (Brunonek — wielki, ponury chłop z jedną nogą — to ja) jeszcze nie całkiem zdrowy, powinien wypocząć, nabrać sił. Tak jakbyśmy przyjechali do Berlina co najmniej z sanatorium, wprost z apartamentu królewskiego. Zegnała nas ze łzami w oczach i wymusiła obietnicę rychłych odwiedzin. Ciekawe, czy Hugo zaprosił ich na swój ślub?

* * *

A my, Deboro? Moglibyśmy pobrać się w tym samym dniu, jak myślisz? Co w ogóle myślisz? Zaskoczyłaś mnie tą absolutną akceptacją wyjazdu. Obawiałem się, że powiesz nie albo oznajmisz mi, że masz inne plany. Tylko dokąd miałybyś jechać sama z dzieckiem? Berlin, mimo że przyjął nas właściwie życzliwie, ciążył ci

chyba tak samo jak mnie. Zima i zniszczenia wojenne, dzikość zewnętrzznego świata raczej nie zachęcały do długich spacerów, a w niewielkim przecież mieszkaniu wujostwa skazana byłaś wciąż na moje towarzystwo. Na spanie ze mną w jednym łóżku. Początkowo myślałem, że to nas zbliży, ale mam wrażenie, iż stało się zupełnie inaczej. Wybudowałaś wokół siebie ochronny mur milczenia i apatii, który miał cię chronić. Przede mną?

** * **

Wyjeżdżamy zatem. Nareszcie! Siedzę w jasno oświetlonym przedziale dalekobieżnego pociągu naprzeciw ciebie. W ramionach tulę naszego synka, który guga cicho, z zadowoleniem studiując plamy brudu tworzące abstrakcyjne obrazy na suficie wagonu. Lokomotywa wydaje z siebie głośny jęk, wyje syrena, ruszamy. Piotruś nagle przypomina sobie, że jest głodny. Karmię go, dyskretnie osłaniając pieluszką obnażoną pierś. Odprężam się skupiona na dziecku, w końcu w pociągu nie ma tłoku, przedział zajmujemy tylko my w trójkę. Dopiero po chwili orientuję się, że na mnie patrzysz. Podnoszę na moment głowę i napotykam twoje smutne, stęsknione oczy. Otwierasz usta, chcesz coś powiedzieć, ale ubiegam cię. Znowu stosuję sprawdzony wybieg — opuszczam wzrok i zaczynam pieszczotliwie przygadywać syneczkowi.

jeszcze nie nadszedł właściwy moment na decyzję. Daj mi jeszcze trochę czasu. Muszę zakończyć moją żałobę, Bruno. Dopiero wtedy będę mogła spojrzeć na nas oboje z dystansu, a potem dogadać się z własnym sercem.

** * **

Schwarzwald przywitał ich zasypany śniegiem. Przydrożne zaspy wysokie były na metr, miejscami półtora i wciąż padało. Śniegowe czapy pokrywały szczyty okolicznych gór, białe nawisy niebezpiecznie zwisały z pochyłych dachów budynków i przyginały do ziemi gałęzie świerków. „Zwyczajnie, jak to w górach w zimie” — podsumował Bruno, prowadząc Deborę w stronę pensjonatu „

Alter" wężozem o białych ścianach, jakim za sprawą obfitych opadów stała się główna droga miasteczka. Nie wysłał Hugonowi telegramu z dokładną datą i godziną przyjazdu. Z mikroskopijnego budynku dworca do ich domu było tak blisko, że przejście tych kilku kroków nawet dla inwalidy i kobiety z dzieckiem nie mogło stanowić problemu.

Wychodząc z dworca, Bruno obrócił się, by popatrzeć na peron, z którego ponad sześć lat temu wyruszał na wojnę. Z jedną walizką, w czarnym, galowym mundurze, wysokich butach, wypolerowanych tak, że mógł przejrzeć się w ich cholewkach. Młody, głupi i pełen bezzasadnej dumy nazista, który bez słowa pożegnania opuścił rodzinny dom po to, by bić się za mrzonkę... Wracał teraz do miejsca, które pozostało niemal niezmienione, z tą różnicą, że w dworcowych oknach nie powiewały już nazistowskie flagi, peronu zaś nie zasiedlali podobni mu, przepelnieni bitewną gorączką młodzieńcy. Było pusto, cicho, błogo.

A on sam? Kim stał się po tych siedmiu latach, które zmiotły z powierzchni ziemi Tysiącletnią Rzeszę i rzuciły kraj na kolana? Jednonogi inwalida ze złamanym nosem, odbitymi nerkami i przetrąconym życiorysem. Nie chłopak, a dorosły mężczyzna, niby wciąż młody, a przecież wewnątrz przedwcześnie postarzały wskutek przeżyć, jakie budzić go będą krzyzącego, przerażonego do końca życia. Żaden bohater, raczej upokorzony bandyta, powracający do domu w poszukiwaniu nadziei, wybaczenia i odkupienia win. Opiekun kobiety równie jak on sam złamanej, której uczucia pozostawały nie—odgadnione. Syn marnotrawny i głupszy brat. Ojciec małego chłopca.

* * *

Oby nigdy nie spotkał cię mój los, dziecko.

* * *

Bruno pchnął ciemnobrązowe drzwi i nagle całą ich trójkę

ogarnęło ciepło i blask bijący od ognia z rozpalonego kominka. Zza przydymionych drzwi kuchennych wyrzała niemłoda, jednak wciąż piękna kobieta. Elizabeth Kramer miała dar, który posiada niewielu ludzi. Czas ją omijał, pozostawiając świeżą i przystojną, mimo upływających lat. W pierwszym momencie nie poznała syna:

— Czy mogę państwu służyć? — spytała, a nie uzyskawszy odpowiedzi, podeszła bliżej, wycierając w kuchenną ścierkę ubrudzone mąką ręce. — *Oh, mein Gott!* — krzyknęła, rozpoznawszy przybysza. — Bruno! Wróciłeś!

Po chwili ciemnawa sień pensjonatu „Alter” wypełniła się radosnym gwarem. Chórowi wybuchów śmiechu, okrzyków i poklepywań po plecach akompaniował mocny głos niemowlęcia, przestraszonego nagłym hałasem. Debora mocniej przytuliła synka i cofnęła się w cień, by z boku obserwować powitanie, jakie Brunonowi zgotowała rodzina i sąsiedzi. Czuła, jak po raz pierwszy od bardzo dawna opuszcza ją napięcie, a jego miejsce zajmuje spokój. Była bardzo, bardzo zmęczona.

Marzec roku 1946. Zima się cofa, ustępując miejsca bliskiej już wiosnie. Górskie łąki witają pierwsze, nieśmiałe kwiaty, topnieją obciążające dachy sople lodu, pachnie mokra ziemia, rodzą się owce. Blade słońce przygrzewa coraz mocniej, w miarę jak wydłuża się dzień.

Schwarzwald budzi się do nowego cyklu życia, które zaowocuje w pełnej krasie już za kilka miesięcy, gdy wiosna płynnie przejdzie w lato.

Elizabeth Kramer siedzi przy otwartych drzwiach wychodzącego na ogród tarasu i karmi łyżeczką pierworodnego wnuka. Piotruś zajada zmiksowaną zupkę z takim apetytem, jakby babka serwowała mu co najmniej swój słynny Schwarzwälder Kirschtorte, słodki specjał kuchni pensjonatu „Alter”, którym zajadają się jego goście.

—Jesteś głodomorem, jak twój tatuś, Piotrusiu. On też w twoim wieku bez przerwy ruszał buzią. I zobac, jaki duży ulus!
— Elizabeth zaczyna kwilić po dziecięcemu, widząc, że wnuczek śmieje się w głos.

—Naprawdę byłem aż takim żarłokiem, mamó? — Zza rogu budynku wychodzi Bruno w roboczym kombinezonie z podwiniętymi rękawami. — Naprawiłem ci ten płot. Teraz biorę motocykl i jadę po mięso. Nie wiesz, gdzie jest Debora?

—W saloniku. Gra.

—Ćwiczy przed wieczornym koncertem?

Matka kiwa głową. Odkąd Bruno przywiózł do domu ciemnowłosą Żydówkę, Elizabeth ani razu nie wystąpiła przed publicznością. Zrezygnowała z występów, gdy Debora z błyszczącymi oczami niczym w transie podeszła do fortepianu nazajutrz po przyjeździe z Berlina. Instrument był dobrze nastrojony, w końcu fortepianowe recitale odbywały się w „Alterze” kilka razy w tygodniu. Zwykle grała sama szefowa, czasem do instrumentu siadał któryś z gości. Tamtego dnia na wysłużonym okrągłym taborecie usiadła panna Singer. Uniosła wieko...

Grała z pamięci, bez nut. Przymknęła oczy, dłonie szybko i bezbłędnie biegły po klawiszach. Muzyka, która popłynęła spod jej palców, była tak smutna i słodka zarazem, że pani Kramer stanęły łzy w oczach. Póki płynęły dźwięki, Elizabeth nie zauważyła nawet, że za jej plecami pojawili się Bruno, Anna Maria, Hugo, wreszcie kucharka, sprzątaczką i chłopak od ogrodnika, który przyniósł świeże warzywa. Wszyscy stali w milczeniu, zasłuchani.

Wybrzmiały ostatnie tony, Debora otworzyła oczy i spojrzała na nich, zakłopotana.

— Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Elizabeth podeszła bliżej i położyła rękę na jej ramieniu:

— Graj, dziecko. Zawsze, gdy tylko będziesz miała ochotę. Będę zaszczycona, jeśli zastąpisz mnie podczas

dzisiejszego wieczornego występu.

W ten sposób Debora stała się pełnoprawnym członkiem społeczności małego górskiego miasteczka zagubionego pośród świerkowych lasów. Koncerty fortepianowe, jakie dawała dla gości pensjonatu i restauracji, stały się tak naturalne i oczywiste, że nawet nie przyszło jej do głowy protestować. Nie chciała zresztą. Świeżo odzyskana pasja muzyczna podtrzymywała kruchą równowagę jej psychiki, pozwalała czuć się potrzebną i niespodziewanie ułatwiła walkę z traumą, której zaznała w czasie wojny. Przyjechała tu pełna niepokoju, bojąc się stygmatyzacji. W końcu była ocaloną Żydówką między Niemcami, którzy jeszcze rok, dwa lata wcześniej oddaliby ją esesmanom bez mrugnięcia okiem.

Teraz dla tych samych ludzi była gwiazdą. Tłumnie odwiedzali wieczorami niewielki przecież salonik pensjonatu „Alter”, spragnieni tej odrobiny wyższej kultury, jaką niosła ze sobą jej muzyka. Raz w tygodniu odbywał się specjalny koncert dla oficerów garnizonu amerykańskiego stacjonującego w dawnych koszarach ćwiczebnych SS. Tych samych, w których kilka lat wcześniej mieszkał Bruno, szykując się do *Blitzkriegu*...

* * *

Hugo w niczym nie przesadził, opisując bratu niezwykle spokojną i sielską domową egzystencję. Tutaj naprawdę można było zapomnieć o przegranej z kretesem wojnie! Ten sam burmistrz w ratuszu, ten sam rzeźnik, ksiądz w kościele. Sąsiedzi, pola uprawne, obfitość jedzenia, mimo głodu panującego w innych regionach Niemiec. Na cmentarzu kilka świeżych grobów, czasem symbolicznych, gdyż ciało ojca lub syna pozostało na polu bitewnym, nieco nowych twarzy, ale uchodźców niewielu. Amerykanie zamiast Niemców w koszarach. Żadnych zniszczeń wojennych! Faktycznie, mieli dużo szczęścia, że ten mały kawałek Schwarzwaldu przypadł Jankesom, a nie Francuzom. Ci

ostatni podobno na potęgę wycinali lasy i wywozili ze swojej strefy okupacyjnej wszystko, co się dało. Bruno z łatwością wdrożył się w rytm codziennego życia tego miejsca, z którego niegdyś tak chętnie uciekł. Rodzinne strony przyjęły go jak matka — z otwartymi ramionami i bez pretensji. Czas dzielił między dogłądanie rodzinnego interesu i opiekę nad synem. Wolne godziny spędzał, włócząc się samotnie po okolicy. Początkowo przemierzał zimowy krajobraz konno, a gdy lody puściły, odkupił z wojskowego demobilu zdezelowany motocykl. Doprowadził go do porządku i oddawał się ulubionej rozrywce, obserwując świat z siodła własnej maszyny, z lubością wsłuchując się w niski dźwięk silnika BMW R 12.

Zamieszkali z Deborą i Piotrusiem razem w części domu, którą tak pięknie przygotował dla nich Hugo. Tylko dwa pokoje, ale za to widne i duże, z samodzielnym wejściem. Byli razem, choć właściwie osobno — Debora spała z synkiem w pokoju dziecięcym, Bruno rezydował w sypialni, samotny na wielkim, dębowym łóżku. Tęsknił za bliskością swojej *Kirsche*. Kontaktowali się oczywiście w codziennych sprawach, wymieniali informacje, dzielili się opieką nad dzieckiem, ale żyli obok siebie, każde pogrążone we własnym świecie. On z konieczności, ona z wyboru. Nie naciskał, cierpliwie czekał na zmianę, która musiała w końcu nastąpić. Decyzja dotycząca ich przyszłości, wspólnej bądź osobnej, należała do niej.

* * *

Salonik pensjonatu „Alter” wypełnił się gromkimi brawami. Artystka wstała od fortepianu i ukloniła się z gracją. Wyglądała zjawiskowo w prostej czarnej sukni, z rozpuszczonymi włosami i roziskrzonymi ze szczęścia oczami. Szybko podszedł do niej młody porucznik amerykańskiej armii. Odezwał się czystą polszczyzną, choć z lekkim amerykańskim akcentem:

— Przybyłem aż z Monachium, żeby wysłuchać pani koncertu.

Nazywam się Michael Pelczynski. Rodzice przyjechali do Stanów z Polski i zadbali o to, bym znał język przodków. Przepraszam, jeśli go kaleczę. — Skłonił się, trzasnął obcasami i złożył konwencjonalny pocałunek na jej dłoni.

—Miło mi, Debora Singer. Bardzo dobrze mówi pan po polsku. Jak podobał się mój dzisiejszy występ, poruczniku?

—Gra pani niezwykle! Ten wieczór zapamiętam jako jeden z przyjemniejszych epizodów mego pobytu w Niemczech. Zwłaszcza jeśli zaszczyci mnie pani swoim towarzystwem przy szklaneczce słynnego wiśniowego schnapsa... Chciałbym z panią chwilę porozmawiać o interesach, jeśli można.

—Sekundkę, panie poruczniku.

Debora podeszła szybko do Brunona, ponuro przyglądającego się całej scenie z kąta sali.

— Zajmiesz się Piotrusiem? Ja tu jeszcze chwilę zostanę...

Kiwnął głową i odwrócił się na pięcie, nie zaszczycając jej ani jednym słowem. Szybko zajrzał do synka. Mały spał spokojnie, nieświadom burzy, jaka właśnie toczyła się w głowie jego ojca. Bruno pozornie nie miał żadnych powodów do niepokojów. Przyzwyczał się już do hołdów składanych Deborze przez licznych wielbicieli jej talentu, jednak czuł, że tym razem chodzi o coś więcej. Młody, przystojny Amerykanin zwrócił jego uwagę już w momencie, gdy wszedł do sali. Przepchnął się do przedniego rzędu, zajął ostatnie wolne krzesło i z rozanieloną miną słuchał muzyki. Przez cały czas nie spuszczał przy tym oka z Debory! A teraz ta... randka? Czego od niej chciał? Taki szarmancki, swobodny i pewny siebie facet. Wojenny zwycięzca! Po prostu podszedł do niej i oczarował. Błysk w oku i kilka słów wystarczyło, by ta skupiona na muzyce, nieco ostatnio zbyt melancholijna kobieta, o której miłość Bruno walczył od miesięcy, śmiała się perliście i flirtowała z innym mężczyzną. Zszedł na dół i usiadł przy barze, dyskretnie obserwując tamtą

dwójkę.

* * *

—Panno Singer, w cywilu jestem muzykiem. Gram na skrzypcach w filharmonii nowojorskiej. Z tego tytułu w wojsku oddelegowano mnie do sekcji kulturalnej. Aktualnie szukam uzdolnionego pianisty, który mógłby akompaniować na instrumencie naszej wokalistce.

—Nie bardzo rozumiem...

—Występy dla amerykańskich jednostek w naszej strefie okupacyjnej w Niemczech. Potem może... wyjazd do USA?

— Proponuje mi pan pracę?

Amerikanin wstał i ukłonił się:

—Jestem panią ze wszech miar zachwycony. Jako artystką i jako kobietą.

—Panie poruczniku, ja mam tu zobowiązania, dziecko...

—Jednakże, proszę wybaczyć niedyskrecję, pozostaje pani kobietą samotną?

Debora zarumieniła się i potwierdziła lekkim skinieniem. W głowie szumiał jej wypity alkohol. Piła rzadko i teraz żałowała, że nie kontroluje się tak, jakby tego chciała.

— Zatem moja propozycja jest jak najbardziej dla pani odpowiednia. Synka może pani zabrać ze sobą, armia amerykańska zadba o opiekę na czas prób i koncertów. Sam dopilnuję tego, by niczego pani nie zabrakło. Proponowana gaża z pewnością pani nie rozczaruje.

Widząc rozterkę malującą się na jej twarzy, Michael Pelczynski ujął jej dłoń w swoje obie ręce i ucałował.

— Nie musisz dzisiaj decydować, Deboro. — Niepytany przeszedł na „ty”, skracając jeszcze bardziej dystans. — Wiem, że to duża zmiana. Dam ci czas na zastanowienie. Będę z powrotem za tydzień. Jeśli się zdecydujesz, a mam nadzieję, że tak, wówczas ustalimy szczegóły...

* * *

Bruno nieświadomie zacisnął dłonie w pięści. Pękła szklanka, którą trzymał w lewej ręce. Syknął na widok wyciekającej spomiędzy palców krwi. Ból wcale nie był zły. Otrzeźwił go i przywrócił jasność myślenia. Zniknęły czerwone koła, które jeszcze przed momentem tańczyły mu ze złości przed oczami. Wstał, hałaśliwie odsuwając na bok wysokie barowe krzesło, i trzasnął drzwiami zaplecza. Musiał zdezynfekować ranę i znaleźć jakiś opatrunek.

* * *

Michael Pelczynski zarejestrował zamieszanie, jakie rozegrało się za ich plecami. Był bystrym obserwatorem, zresztą zasięgnął wcześniej języka u odpowiednich ludzi, wiedział więc, że wysoki, ponury syn właścicielki tego lokalu jest ojcem dziecka Debory Singer. Nie byli jednak małżeństwem... Ciekawy układ. Razem mieszkają, pracują, wychowują dziecko, ale widać, że niewiele ich poza tym łączy. Choć ten Niemiec, zdaje się, wolałby, by sprawy miały się inaczej. Patrzył na grającą Żydówkę, jak czyni to człowiek zakochany. Temu akurat porucznik Pelczynski nie dziwił się ani trochę. Jemu też niezwykle spodobała się drobna, delikatna kobieta. Grała jak anioł, wyglądała jak elf. I jej ruchy! Gdy szła przez salę w długiej sukni, wydawało się, że płynie, unosząc się lekko nad podłogą. Jeśli zdecyduje się skorzystać z jego propozycji, to kto wie... W każdym razie Michael postara się być w pobliżu...

* * *

Debora także zauważyła scenę przy barze. Tak szybko, jak to było możliwe, pożegnała sympatycznego porucznika i poszła do pokoju, który dzieliła z Piotrusiem. Rozebrała się po ciemku, cichutko, by nie obudzić małego, wsunęła ciało w przytulną nocną koszulę i otuliła się szczelnie szlafrokiem.

— Czego on od ciebie chciał?!

Bruno stał w progu. Jego wysoka sylwetka zasłaniała niemal całe światło, jakie docierało do ciemnej sypialni z korytarza.

—Ciiii, obudzisz Piotrusia.

—W takim razie zapraszam do mnie. — Uczynił ręką stosowny gest i odsunął się trochę, by pozwolić jej przejść.

Był wściekły i lekko pijany. Debora zauważyła już wcześniej, że alkohol i gwałtowne zachowanie idą u niego w parze. Pił ze złości, a złość potęgowała fatalny nastrój. Przechodząc obok, poczuła, jak on pochyla się nad nią i redukuje bezpieczną przestrzeń, jaka ich od siebie oddzielała.

* * *

Bałam się ciebie w tamtym momencie, Bruno.

* * *

—O co zatem pytał ten nieco zbyt wylewny Amerykaniec? — spytał, gdy usiedli naprzeciw siebie w głębokich, skórzanych fotelach.

—Proponował mi pracę.

—Pracę? A wyglądało, jakby ci się oświadczał! — podniósł głos do krzyku.

—Może faktycznie jest nieco bezpośredni, ale uspokoję cię, chodziło o sprawy zawodowe.

—Akurat. Potrafię jeszcze rozpoznać faceta, który ślini się do kobitki... — warknął Bruno.

—Jest muzykiem i szuka akompaniarki dla amerykańskiej piosenkarki na tournée w Niemczech — przerwała mu.

—Jak ty sobie to wyobrażasz?!

—Niczego sobie nie wyobrażam. Pytałeś, czego chciał ode mnie porucznik Pelczynski, więc odpowiadam — odparła, nadal pozornie spokojna, choć tak naprawdę czuła, że jest na granicy hysterii.

Obróciła się tak, żeby Bruno nie mógł spojrzeć jej w oczy i nie widział drżenia warg. Siedzieli chwilę w ciszy. Na dole powoli zamierał gwar rozmów, pensjonat „Alter” szykował się do snu.

— Zgodzisz się? — Bruno nagle wrócił do tematu. — To chyba dla ciebie duża szansa, prawda? Co innego granie tutaj dla uciechy takich wieśniaków jak my, a trasa koncertowa, kontrakt, szeroka publiczność... inny kaliber. Kolonia, Monachium, Berlin, Hamburg... no, wielki świat! Potem może Stany. Mówiłaś, że masz tam rodzinę, na pewno pomogą ci na początek.

—Bruno... — Zaskoczona jego przemową, próbowała przerwać ten niespodziewany potok słów, ale nic to nie dało.

—Zasługujesz na to, *Kirsche*. Wcześniej nie zauważyłem, jak wielki masz talent, chociaż przecież grałaś dla mnie. Ale może dlatego, że to były inne czasy, pianino, zamiast fortepianu, ono nigdy nie brzmi tak pięknie, publiczność mało inspirująca. Teraz jednak nie mam wątpliwości. To dar i powinnaś to wykorzystać. Byłoby zbrodnią próbować cię tutaj zatrzymać.

— Twoja ręka. To coś poważnego?

Nagła zmiana tematu pomogła. Bruno wreszcie ucichł, zamrugał kilkakrotnie, zaskoczony. Popatrzył na obandażowaną dłoń, potem powoli przeniósł spojrzenie na nią.

—Nic takiego, skaleczyłem się.

—Boli?

—Już nie.

—Mogę obejrzeć? — spytała. — W końcu byłam sanitariuszką, pamiętasz? — dodała, widząc jego zdezorientowanie.

Położył rękę na stole i pozwolił jej odwinąć bandaż.

—Kto ci to opatrzył?

—Ja sam...

—W ranie masz szkło. Poczekaj chwilę. Wróciła po chwili z igłą i spirytusem.

—Będzie trochę boleć.

—W porządku. Przyzwyczaiałem się, że robisz mi krzywdę.

—Bruno!

—No co, ostatnio jeśli już mnie dotykasz, to tylko po to, żeby zrobić zastrzyk, zmienić opatrunek albo oczyścić ranę. To wszystko boli, wiesz? — poskarżył się z przerysowaną żalnością w głosie.

Puściła jego rękę i usiadła gwałtownie. Ramiona zaczęły jej drżeć. W pierwszej chwili Bruno myślał, że płacze, ale Debora się śmiała. Śmiała się! Najpierw dyskretnie, potem głośno, serdecznie, aż faktycznie w jej ciemnych oczach pojawiły się łzy. Ten śmiech był zaraźliwy, po chwili oboje chichotali jak dzieci. Bruno wstał, ale wciąż pijany alkoholem i nieco histeryczną radością zsunął się w dół, lądując na podłodze, tuż obok jej fotela. Podał jej zranioną rękę, a głowę przytulił do kolan Debory. Runęła niewidoczna bariera rezerwy i niepewności, która ich od siebie oddzielała.

—Ale postarasz się, żeby nie bolało? Otarła z policzka ostatnią łzę.

—Tak, obiecuję, że nic nie poczujesz.

—Dasz mi coś, jak będę grzeczny?

—Całusa w czoło.

—Tylko?

—Zobaczymy.

* * *

—Kocham cię, *Kirsche*.

—Wiem, Bruno.

—Wyjdź za mnie.

—Nie powinienesz klęknąć?

— Wredna jesteś. Wiesz, że z protezą ciężko się klęczy?

—A podobno miłość przenosi góry.

—Góry może i tak, ale o klękaniu nie słyszałem. Ale wiesz co? Mam coś w zamian.

Zapalił lampkę przy łóżku i uchylił szufladę nocnej szafki. Obrócił się do niej, triumfalnie uśmiechnięty. Na otwartej dłoni trzymał złoty pierścionek.

—Dla mnie? — spytała.

—To zależy. Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, to tak. Zgódź się, bo już mnie ręka boli od tej idiotycznej pozycji.

—Nie chcę, żeby coś cię znowu przeze mnie bolało. Zgadzam się!

Pierścionek leżał na jej palcu idealnie. Był złoty, delikatnie zdobiony kwiatowym wzorem otaczającym diamentowe oczko. Misterna robota złotnicza.

—Jest... piękny!

—Prawda? Dostałem go od matki. Ten pierścionek pozostaje w naszej rodzinie od pokoleń. Najstarszy syn daje go swojej żonie albo najstarsza córka przekazuje pierworodnemu. Nie wiem dlaczego, ale matka dała go mnie, choć powinien przypaść Hugonowi. Powiedziała, że przyda mi się bardziej niż bratu... Teraz jest twój.

—Kocham cię, Bruno.

—Materialistka!

Zaczęli się całować z takim żarem, jakby był to ich pierwszy dotyk od bardzo dawna. A przecież skończyli się kochać dopiero przed momentem... Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich płacz dziecka.

—Jest głodny. Muszę iść go nakarmić.

—Idź, idź, ja sobie popatrzę.

Wstała i nago przeszła przez pokój. Bruno żegnał ją rozanielonym spojrzeniem stalowych oczu. Potem sięgnął po protezę i ruszył jej śladem. W dziecięcym pokoju usiadł na brzegu łóżka, oparł głowę na dłoniach i z zachwytem obserwował, jak jego piękna narzeczona karmi ich wspólne dziecko.

* * *

Debora nie pojechała w trasę po Niemczech, chociaż zarówno Bruno, jak i Elizabeth namawiali ją, żeby spróbowała swoich sił na scenach prawdziwych filharmonii. Co prawda potencjalna kariera kusila, ale ona czula, że poza na nowo odkrytym talentem muzycznym otrzymała od losu jeszcze ważniejszy dar, którego nie chciała nadużywać. Nową rodzinę, własne miejsce na ziemi, a wraz z nimi spokój ducha. Bała się to wszystko utracić, dlatego porucznik Michael Pelczynski, który zjawił się po tygodniu, tak jak obiecywał, otrzymał odpowiedź odmowną. Mimo że Bruno obiecał, że będzie jej towarzyszył w charakterze opieki do dziecka, Debora postanowiła zostać w pensjonacie „Alter”. Podwójny ślub braci Kramerów odbył się w kwietniu roku 1946. Z Berlina przyjechali na niego wuj Heinrich von Eckerhant z małżonką, a także Krzysztof i Grażynka z córeczką. Orszańscy zostali w Schwarzwaldzie na całe lato, by jesienią wyruszyć w dalszą drogę do osiadłych w Londynie rodziców Grażyny. Hrabia Wilina musiał opuścić kraj, gdy jasne stało się, że stalinowski terror będzie trzymał Polskę w swych krwawych szponach jeszcze przez długie lata.

EPILOG

„A potem żyli długo i szczęśliwie”. Właściwie właśnie tak — banalnie, wyglądały dalsze losy moich dziadków. Spisałam jedynie najbarwniejszą ich część, stanowiącą zacyzyn mitologii rodziny Kramerów, w której mnóstwo jest dzieci, wnuków i ciepła, jakie daje dom, zdolny zgromadzić przy jednym stole całą rodzinę i przyjaciół. Dom, do którego można wrócić zawsze i z każdego zakątka świata. Miejsce, prowadzone przez powojenne lata silną ręką dziadka, ciepłe i przytulne dzięki babci.

* * *

Życie, jakie przytrafiło się Deborze i Brunonowi, może naprawdę wydać się absurdalnie zwyczajne wobec wszystkiego tego, co spotkało ich w czasie wojny. Do tej pory zastanawiam się, skąd czerpali siłę do tego, by przemóc straszne wspomnienia i pogodzić sprzeczne role, jakie wyznaczył im los — jemu kata, a jej ofiary. Udało im się chyba dlatego, że oboje potrafili być ponad to. Ona wybaczyła, choć nigdy nie zapomniała, on całe życie robił wszystko, by odkupić winy. Od samego początku angażował się w tworzący się w Niemczech ruch denazyfikacyjny, wspierając go czynem, słowem i pieniędzmi. Tych miał niemało, bo Bruno Kramer zmysł do interesów odziedziczył po swojej matce Elizabeth, nie zaś po nieszczęsnym ojcu Georgu. Razem z Hugonem znacznie rozwinęli się w branży turystycznej, dokupując kolejne nieruchomości, które przerabiali na pensjonaty, hotele i restauracje serwujące specjały lokalnej kuchni spragnionym domowej atmosfery turystom z całych Niemiec. Pod koniec lat siedemdziesiątych byli właścicielami niemal połowy miasteczka! Stało się ono modnym kurortem, gwarnym i ludnym zarówno w lecie, jak i w zimie. Gości pojawiło się jeszcze więcej, gdy bracia Kramerowie uruchomili pierwszy krzeselkowy wyciąg narciarski w okolicy.

* * *

Czy dziadkowie się kochali? Niezmiernie! Kochali i kłócili na zmianę. W końcu dziadek był zawsze pełen temperamentu, który krył pod pozornym spokojem i małomównością, babcia zaś w niczym mu nie ustępowała, jak na prawdziwą artystkę przystało. W chwilach wielkiej złości wrzeszczała za nim „Dzieciorób!”, za co on odwzajemniał jej się „Wariatką”. Trzaskał drzwiami i tak szybko, jak pozwalała mu proteza, biegł do garażu, wsiadał na motocykl i jechał, gdzie oczy poniosą. Wracał rozpromieniony, zawsze z kwiatami bądź jakąś kosztowną błyskotką „dla ukochanej małżonki”. Z okazji upadku muru berlińskiego mój niemal siedemdziesięciodwuletni dziadek kupił sobie nowusieńkiego Harleya David—sona model Electra Glide...

* * *

Dzieci Debora i Bruno faktycznie mieli sporo. Babcia urodziła trzech synów i dwie córki, w co trudno było uwierzyć, patrząc na jej wiotką sylwetkę, niezmienną mimo upływu lat. Zamiast robić karierę muzyczną, poświęciła się więc wychowaniu potomstwa, następnie zaś wnuków, w czym pomagały jej początkowo zakochana we wnukach Elizabeth, potem także Anna Maria, którą los obdarzył tylko jedną i to bardzo spokojną córką. Nie można tego powiedzieć o nas, „bruniątkach”, jak nazywała Debora swoje dzieci i wnuki. Wszyscy właściwie odziedziczyliśmy burzliwą gwałtowność dziadka albo gorący, niemal południowy temperament babki. Gdy spotykamy się całą rodziną, dawny pensjonat „Al—ter”, dziś rodowa siedziba Kramerów, staje się rojny i gwarny naszymi powitaniem, pożegnaniem i kłótniami przeplatany głośnym śmiechem.

* * *

Nazywam się Elizabeth Maria Kramer. Jestem córką Petera Kramera, w rodzinie zwanego Piotrusiem. Po babce

odziedziczyłam oryginalną, nieco egzotyczną urodę i słuch absolutny. Po dziadku chmurną naturę oraz wysoki wzrost. Pasję życia mam po obojgu. Piszę te słowa, siedząc w dawnej sypialni Debory i Brunona, z której oboje wyprowadzili się rok temu, wspólnie, wprost na drugą stronę tęczy. Motocykl, którym jechali, wpadł w poślizg na prostej drodze i stoczył się w przepaść. Prowadził dziadek. Podczas porządkowania papierów pozostałych po obojgu odkryłam, że moja ukochana babcia cierpiała na raka mózgu. Choroba nie była jeszcze na tyle zaawansowana, by zmącić jej myśli, jednak guz nie kwalifikował się do operacji. Zabiłby ją w ciągu kilkunastu tygodni.

* * *

Nie wierzę w to, że Debora i Bruno zginęli w wypadku. Dziadek był zbyt dobrym kierowcą. Myślę, że po prostu nie wyobrażał sobie dalszego życia bez niej. Postanowił więc wziąć sprawy we własne ręce. Jak zawsze.